tygodnikprzeglad.pl

Przeglad

Nr 46 (1401)
9-15.11.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Ryszard Kalisz
Nie widzę możliwości zmiany konstytucji

Prof. Rafał Chwedoruk
Kłopot prawicy z Trumpem

Bajerantka
w ekipie **Nawrockiego**

Eliza Sarnacka-Mahoney
Czy demokraci odzyskają Amerykę?



WETOMANI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

DZIECIŃSTWO BEZ PRZEMOCY

dziecinstwobezprzemocy.pl

WSPIERAJ DZIECIŃSTWO MOCY BEZ PRZEMOCY



ORGANIZACJA:

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

WSPÓŁORGANIZACJA:

Krajowa Koalicja na Rzecz Ochrony Dzieci

PARTNER GŁÓWNY:

Rzecznik Praw Dziecka

PARTNERZY FINANSOWI:

Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

LIDL

Sfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Kampania objęta została patronatami honorowymi: Marszałka Sejmu RP Włodzimierza Czarzastego, Marszałkini Senatu RP Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, Ministry Edukacji Narodowej Barbary Nowackiej, Ministra Spraw Zagranicznych Radosława Sikorskiego, Sekretarz Stanu w KPRM Katarzyny Kotuli

eprasa.pl b1b16130d5



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Przecinanie węzła gordyjskiego

Ciągle słyszę, że Polacy, nawet interesujący się polityką, nie bardzo wiedzą, o co chodzi w sporach o Trybunał Konstytucyjny. Ta niewiedza może być zrozumiała, bo skoro dostajemy tak skrajnie rozbieżne oceny przedstawiane przez wybitnych prawników, to czym mamy się kierować? Intuicją, wiarygodnością prawników, którzy oceniają sytuację w Trybunale, a może tylko i wyłącznie zaufaniem do obozu politycznego, z którym sympatyzujemy? Jeśli wszystkie możliwości sprowadzają się do naszej intuicji, to pora się zdeklarować. Tak jak ja po stronie tych, którzy próbują przywracać praworządność rozwaloną przez Ziobrę przy aprobacie Kaczyńskiego i braku reakcji Morawieckiego. Albo uznać, że choć wtedy panowało totalne bezprawie, to nic zrobić się nie da, a zbudowana przez polityków prawicy piramida układów na wszystkich szczeblach w sądownictwie i prokuraturze – musi trwać. Z jednego powodu. Osoby, które tam ulokowano i zabezpieczono im nieodwoływalność, mają gwarantować trzymanie parasola ochronnego nad ekipą Ziobry i PiS.

Dalszy brak skutecznego działania ze strony koalicji i zwlekanie z przecięciem tego węzła gordyjskiego, przebiegle splątanego przez ówczesny układ polityczny, oznaczałyby kapitulację. I definitywne porzucenie obietnic składanych wyborcom, którzy głosowali na tę koalicję także dlatego, że pod rządami PiS praworządność szorowała w Polsce po dnie.

W pełni popieram działania sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej i tych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, którzy ofiarnie stanęli w służbie państwu. Mimo agresji ze strony prezydenta Nawrockiego i urzędników jego kancelarii oraz oblegania siedziby TK przez zwolenników minionego bezprawia. Działania podjęte przez PiS i jego media pokazały, że realne poparcie dla tych struktur jest skromne. Gotowość osobistego udziału w demonstracji – nawet jeśli jest to opakowane hasłami patriotycznymi, obrony przed zamachem stanu – potwierdziło tylko kilkaset osób. A i tak większość to byli politycy, pracownicy mediów i zawodowi działacze. Zawiodły wezwania liderów Konfederacji do odwołania rządu i przyśpieszonych wyborów. Potwierdziły, że są to napaleni na objęcie rządów zadymiarze o bardzo skromnej znajomości polityki.

A najsmutniejszy wniosek jest taki, że prawica nie traktuje sądownictwa jako trzeciej władzy. Całkowicie niezależnej od prezydenta i polityków. Dopóki tego nie pojmą, spokoju nie będzie.

BĄKOWSKI



eprasa.pl b1b16130d5

W NUMERZE

KRAJ
8 **Nie widzę możliwości zmiany konstytucji** – rozmowa z Ryszardem Kaliszem
11 **Kurier – niewidzialny człowiek** Nasza wygoda, jego harówka
14 **Bajerantka w ekipie prezydenta Nawrockiego** Kim jest Justyna Orłowska
17 **Prawica w pułapce miłości do Trumpa**
19 **Kłopot prawicy z Donaldem Trumpem** – rozmowa z prof. Rafałem Chwedorukiem
21 **Parkingowa samowolka pod lupą aktywistów**
45 **Debaty pod patronatem Macieja Rataja**

TECHNOLOGIE
24 **RAM na wagę złota** Potrzeby AI są najważniejsze

ZAGRANICA
28 **Czy niebieskie tsunami zmieni Amerykę?** Korespondencja z USA
32 **Odliczanie do 61** Powyborcza układanka w Izraelu
36 **Serbia po Vučiću** W pułapce antypolityki

HISTORIA
40 **Polonia w ZSRR ofiarą Wielkiego Terroru** Władze II RP nie pomogły rodakom

OPINIE
44 **Teresa Jakubowska** Rzezie na Wołyniu – inne spojrzenie

PSYCHOLOGIA
46 **Nie tylko brak koncentracji** – rozmowa z Anetą Pawłowską-Krać

SPORT
50 **Polska nędza w Lidze Europy** Za to gole w Lidze Mistrzów

KULTURA
52 **Łowca monodramów** Jubileusz festiwalu Wiesława Gerasa
56 **Qulturalia**
66 **MAU. Obrazy Magdaleny Rytel-Wierzbickiej**

OBSERWACJE
58 **Europejskie muzea na celowniku** Rośnie zuchwałość złodziei
60 **436 tysięcy ton dyń** Polska europejskim potentatem

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański** Przecinanie węzła gordyjskiego
7 **Jerzy Bralczyk** Optymizm, czyli dialektyka
27 **Jan Widacki** Wyjście z sytuacji bez wyjścia
35 **Andrzej Romanowski** Siermiężne czasy Gomułki
39 **Andrzej Szahaj** Psychologia skorumpowana
43 **Roman Kurkiewicz** Za Wolność Waszą i Naszą!
55 **Tomasz Jastrun** Rozdziobią nas kruki, wrony
57 **Wojciech Kuczok** Faul ofensywny



36 ZAGRANICA

SERBIA PO VUČIĆU
W pułapce antypolityki



46 PSYCHOLOGIA

NIE TYLKO BRAK KONCENTRACJI
– rozmowa z Anetą Pawłowską-Krać



66 GALERIA

MAU. OBRAZY MAGDALENY RYTEL-WIERZBICKIEJ



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. NICHOLAS KAMM/AFP/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl b1b16130d5



Polski Październik 1956

Andrzej Wilk, cytując słowa premiera Józefa Cyrankiewicza z przemówienia w czerwcu 1956 r. w Poznaniu o odrąbywaniu rąk podniesionych na władzę ludową, napisał, że Cyrankiewicz „podobno do końca życia tych słów żałował". Z Józefem Cyrankiewiczem rozmawiałem kilka razy w 1987 r. Podczas ostatniego spotkania zapytałem o to przemówienie. Po chwili odpowiedział: „Niczego w życiu nie żałuję, jedyne, czego żałuję, to tamto przemówienie w Poznaniu, niepotrzebne". A więc żałował, na pewno.

Rafał Skąpski



Krętactwa posła Wiplera

W Polsce co drugi polityk jest krętaczem. Co innego mówią wyborcom, co innego robią, a głosują według partyjnych wytycznych. Wiele złego powiedziano o PZPR, ale dziś jest podobnie. PZPR była swego czasu tematem zastępczym. Jedno jest pewne, czuć w naszym kraju jakieś polityczne przesilenie. Społeczeństwo na ogół nie kupuje już byle czego, włącznie ze straszeniem Federacją Rosyjską. Widzimy, jak zakończyła się udawana przyjaźń z Ukrainą, która potrzebuje nas w roli dostarczyciela pomocy, odwzajemniając się rokiem Szuchewycza i UPA, nie wspominając o ich pomnikach, nazwach ulic i stadionów.

Damian Paweł Strączyk

Polskie górnictwo. Likwidacja zamiast naprawy



Tak jak reszta polskiego przemysłu – górnictwo jest od lat rozwalane i rozkradane przez pseudopolityków i ich ludzi, a potem bez skrupułów likwidowane pod absurdalnymi przykrywkami. Media wciskają przychylny temu kit, a ci dziennikarze, którzy przeciwstawiają się i często pokazują drugą stronę medalu, są uważani za szaleńców. Kiedy kopalnie są państwowe, to się nie opłaca, ale gdy przyjdzie inwestor z zagranicy, nagle będzie się opłacać. Prawda, że górnicy źle nie zarabiają, ale nie życzę upadku kopalń na Śląsku. Przecież tam kopalnie to spore zatrudnienie.

Michał Czarnowski

•

W zamian będzie całkowite uzależnienie od obcych korporacji. Winni są także górnicy, bo za słabo protestują i sprzedają się za urlopy górnicze oraz za odprawy.

Adam Tomasz Czabończyk

Długie życie na receptę



Z pewnością długość życia ma połączenie z genetyką, zależy też od warunków socjalno-bytowych, np. żonaci żyją statystycznie dłużej niż mężczyźni samotni. Zależy również od służby zdrowia w danym kraju – niekoniecznie kosztowna służba zdrowia jest efektywna w przeliczeniu na średnią długość życia w danym kraju. Do tego dochodzą narkotyki, alkohol, papierosy i, uwaga, działanie uboczne leków przeciwbólowych, które niszczą żołądek, jelito grube, wątrobę i nerki. Z tego pojawiają się po jakimś czasie inne schorzenia tych organów, których oczywiście nikt nie kojarzy z zażywanymi lekami przeciwbólowymi. (…)

Anna Schneider

ZDJĘCIE TYGODNIA



The times they are a-changin' (czasy się zmieniają). Bob Dylan, poeta, pieśniarz, gitarzysta, głos pokolenia i noblista, na prywatnej audiencji u Leona XIV. Watykan, 4 listopada 2026 r.

FOT. VATICAN MEDIA/LAPRESSE/AP/EAST NEWS

eprasa.pl b1b16130d5

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

W związku z nadużyciami w elektrowni Ostrołęka zatrzymano kilkadziesiąt osób w 11 województwach. Prokuratura szacuje, że Polacy zostali okradzeni na ponad miliard złotych. • Fundacja Instrat obliczyła, że 37% przychodów Mety w Polsce generują oszukańcze reklamy. Przynoszą one polskiemu Facebookowi rocznie 760 mln zł. • Ponad 1,3 mln dzieci w wieku 7-12 lat korzysta w Polsce z portali społecznościowych lub komunikatorów, choć platformy te wymagają ukończenia 13 lat. • Neosędzia Zbigniew Kapiński, który kieruje Sądem Najwyższym, po tym jak nocą wdarł się z prezydentem Nawrockim do siedziby Trybunału Konstytucyjnego, nie zdołał zwołać Zgromadzenia Ogólnego SN. Przeciwko jego działaniom zbuntowało się 28 sędziów. • Sąd Rejonowy w Tarnowie uznał, że biskup tarnowski Andrzej Jeż jest winny tuszowania przestępstw pedofilii, i wymierzył mu karę dwóch lat ograniczenia wolności poprzez potrącanie mu przez ten czas jednej czwartej pensji. Wyrok jest nieprawomocny. • Henryk Pogorzelski z Sokół (powiat Wysokie Mazowieckie) otrzymał Nagrodę Polin za badania dziejów mordu społeczności żydowskiej z 17 lutego 1945 r., jakiego dopuścili się żołnierze podziemia dowodzeni przez Kazimierza Kamieńskiego „Huzara" i Karola Gasztofta „Zemstę". • W tegorocznym rankingu MBA Perspektywy 2026 zwyciężyły ex aequo: Executive MBA z Akademii Leona Koźmińskiego i Canadian Executive MBA (CEMBA) z SGH. Założycielem Fundacji Edukacyjnej Perspektywy jest Waldemar Siwiński.

PRZEBŁYSKI



Widzenia Piotrowskiego

Jaki Trybunał Konstytucyjny, taki zamach. Nierobów, którym nie chciało się rozpatrzyć 1171 zaległych spraw, broni prawicowa koalicja. A wśród naukowców bezkonkurencyjnym liderem jest prof. UW Ryszard Piotrowski. Szybko podlizał się prezydentowi Nawrockiemu za powołanie w skład Rady Nowej Konstytucji. Może dostanie od niego nominację na profesora belwederskiego, bo ciągle jest doktorem habilitowanym. Zasłużył, mówiąc o obecnym Trybunale: „To oczywiste naruszenie konstytucji, oczywiste naruszenie prawa i oczywisty zamach na konstytucyjny organ". To się Nawrockiemu oczywiście spodobało. A jeszcze bardziej to, co Piotrowski powiedział o sędzi Annie Korwin-Piotrowskiej: „Nie jest sędzią, to jest uzurpacja".

Pora na namiot Piotrowskiego przed Trybunałem.



Siostry deweloperki

Nad morzem głowę do interesów mają nie tylko deweloperzy. W Gdyni sprytem i biznesowym instynktem wykazało się Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety. Siostry prowadziły klasztor w przedwojennym pensjonacie w dzielnicy Orłowo. I w 2020 r. postanowiły zbudować tam nowe obiekty sakralne. Dziwne to było, bo sióstr ubywało. Kasy też nie było. Rada Miasta Gdynia poszła jednak siostrom na rękę i zmieniła plan dotyczący tego miejsca. O to siostrom chodziło. Wyprowadziły się. A nieruchomość sprzedały znanemu gdyńskiemu deweloperowi – Invest Komfortowi. Miały zarobić na tym podstępie. Nie wyszło, bo rada miasta podjęła decyzję o nieuchwalaniu nowego planu. Tego korzystnego dla zakonu.

PYTANIE TYGODNIA

Polak patriota, czyli kto?

MAREK BOROWSKI,
senator KO, były wicepremier

Słowo patriotyzm pochodzi od patria, czyli ojczyzna. Patriota zatem to człowiek, który kocha Ojczyznę. Ale czym jest Ojczyzna? Czy to tylko terytorium? To też, ale Ojczyzna to przede wszystkim ludzie, którzy na tym skrawku globu żyją, z którymi łączy nas przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Bez nich pojęcie Ojczyzny jest puste. Patriota zatem to ktoś, kto szanuje innych rodaków, wspólnie z nimi troszczy się o dobrą przyszłość dla kraju, dba o dobry wizerunek Polski na świecie. Nie mówiąc już o tym, że przestrzega prawa i nie próbuje siłą narzucić swoich poglądów inaczej myślącym rodakom – nawet jeśli głośno krzyczy „Tu jest Polska" i wywija biało-czerwoną flagą. Zauważył to już Juliusz Słowacki: „Szli krzycząc: Polska! Polska! (…) Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka, spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaka?".

Prof. IP PAN, dr hab. MARTA MARCHLEWSKA,
Laboratorium Poznania Politycznego, Instytut Psychologii PAN

Wszystko zależy od tego, jaką więź z narodem odczuwamy. Rozróżniamy bezpieczną identyfikację narodową i narcyzm narodowy. Ta pierwsza wyrasta z psychologicznego bezpieczeństwa: sprzyja działaniu na rzecz wspólnoty, nie potrzebuje poklasku ani wrogów. Narcyzm narodowy rodzi się z niepewności (np. niskiego poczucia kontroli czy lękowego przywiązania) i łączy z potrzebą dowartościowania poprzez silny kolektyw (naród). Stąd poczucie niedocenienia, rozpamiętywanie krzywd i wykluczanie tych, których uzna się za „nieprawdziwych Polaków". Patriotyzm można wyrażać flagą i pamięcią o historii, ale także codzienną troską o sąsiadów czy zaangażowaniem społecznym. To, czy patriotyzm łączy, czy dzieli, zależy nie od siły deklaracji, lecz od charakteru więzi: bezpieczna identyfikacja łączy, a narcyzm narodowy rodzi podziały i wrogość.

Prof. ADAM LESZCZYŃSKI,
socjolog, historyk, dyrektor Instytutu Narutowicza, Uniwersytet SWPS

Choć do patriotyzmu przyznaje się przytłaczająca większość Polaków – to poszczególne grupy zupełnie inaczej rozumieją jego treść. Jak wynika z badań Instytutu Narutowicza, opublikowanych w raporcie „Poza honor i ofiarę: nowe ścieżki patriotyzmu w Polsce", obok tradycyjnego modelu skupionego na męczeństwie i symbolach wyłania się wzorzec konkurencyjny. To patriotyzm dumy z Polski jako kraju udanego, w którym wszystko sprawnie działa, ludzie sobie radzą. Zmienił się też autoportret Polaka. Przypisujemy sobie dziś cnoty mieszczańskie: zaradność, oszczędność i umiejętność współpracy. Wierzymy, że poradzimy sobie w każdych warunkach, a nowym źródłem patriotycznej tożsamości staje się właśnie poczucie sukcesu.

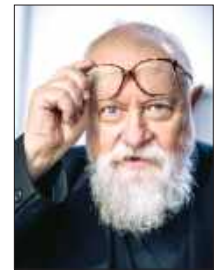
Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. YOUTUBE, WIKIPEDIA

eprasa.pl b1b16130d5



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl
Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Optymizm, czyli dialektyka

Mimo zrzędzenia na różne zrządzenia jestem raczej optymistą, w każdym razie za takiego się uważam. Zazwyczaj myślę, że jakoś to będzie, choćby za Szwejkiem, który wiedział, że nigdy nie było tak, żeby jakoś nie było. I to jakoś jest jakoś dobre. Tak myślę, a właściwie nawet tak czuję.

Ale kiedy myślę dobrze o przyszłości, to nawiedza mnie niepokojąca myśl, że uważam, że będzie dobrze, przecież właśnie dlatego, że jestem optymistą (bo uważając tak, oczywiście wiem, że nim jestem). Więc, naturalnie, gdybym nim nie był, uważałbym inaczej. Czyli… Przyznaję, że to sprawia, że moje pozytywne myślenie słabnie nieco.

Kiedyś popychałem zegarek do przodu, żeby się nie spóźniać, ale wiedziałem, że go popycham i że przecież właśnie tylko dlatego mogłem myśleć, że tak naprawdę mam zapas czasu. Przez to, że przeszkadzała mi ta świadomość, zacząłem zegarek cofać, żeby z kolei ta świadomość cofnięcia wywoływała u mnie czasową ostrożność (bo naprawdę jest później, tylko tym zegarkiem trochę manipuluję). Ale i to zaczęło mi przeszkadzać. I przekonałem się jeszcze raz, że z czasem, tym jedynym prawdziwym wrogiem człowieka, nie wygram.

Patrząc na otaczającą mnie coraz ciaśniej rzeczywistość, staram się widzieć w niej więcej dobrego, choćby po to, żeby się tym, co dobre, cieszyć. Ale przecież właśnie staram się i wiem, że się staram…

I kiedy myślę, że przecież wszystko, także to, co w tej denerwującej polityce się dzieje, musi się skończyć dobrze (oczywiście na tym etapie, z którym mam do czynienia, bo naprawdę to nic się nigdy do końca nie kończy), i że wygra zdrowy rozsądek, a nie różne obłędy, fanatyzmy, strachy, uprzedzenia i zgubne zmierzanie do konfliktów, czyli że wygra to, co chcę (i Państwo oczywiście też), żeby wygrało, i żeby wygrali ci, co trzeba, żeby wygrali – trochę przeszkadza mi to, że wiem, że tak myślę dlatego, że jestem optymistą.

Chociaż może przez to wcale nim nie jestem? ■

eprasa.pl b1b16130d5

Nie widzę możliwości zmiany konstytucji

Co się zdarzyło za bramą Trybunału Konstytucyjnego?

Rozmawia Robert Walenciak



RYSZARD KALISZ
– polityk, adwokat. Poseł SLD na Sejm w latach 2001-2015, w latach 1998-2000 szef Kancelarii Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, w latach 2004-2005 szef MSWiA. Od 2024 r. członek Państwowej Komisji Wyborczej.

Wszystko z Trybunałem Konstytucyjnym jest w porządku? Ośmiu sędziów wystarczyło do kworum? Trybunał będzie działał w tym składzie?

– Ostatnie Zgromadzenie Ogólne Sędziów Trybunału Konstytucyjnego w dniu 3 listopada odbyło się zgodnie z prawem. W czasie, kiedy się odbywało, kworum wynosiło ośmiu sędziów. To wynika z konstrukcji uchwalonej w grudniu 2016 r. głosami Zjednoczonej Prawicy ustawy o organizacji i trybie postępowania w Trybunale Konstytucyjnym. Ta ustawa używa pojęcia „dwie trzecie". Proszę zwrócić uwagę, konstytucja wskazuje, że sędziów Trybunału Konstytucyjnego jest 15. To liczba zamknięta. Tymczasem ustawa z grudnia 2016 r., mówiąc o kworum, już nie wskazuje liczby zamkniętej, czyli dopuszcza, że te dwie trzecie mogą być liczone od innej podstawy. Wskazuje więc wyraźnie, że może to być liczone od osób, które w sposób efektywny mają prawo uczestniczyć w Zgromadzeniu Ogólnym Sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

A 3 listopada...

– W tym dniu do grona uprawnionych do udziału w Zgromadzeniu Ogólnym nie można było zaliczyć, z przyczyn oczywistych, sędziego dublera Jarosława Wyrembaka, on nie jest sędzią. No i odpadły dwie osoby – Bogdan Święczkowski i Bartłomiej Sochański – w stosunku do których wydane zostało zarządzenie o miesięcznej przerwie w czynnościach sędziowskich. Nie wykonują żadnych czynności sędziowskich, tym samym nie mogą uczestniczyć w Zgromadzeniu Ogólnym Sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Czyli dwie trzecie liczyło się od 12 i wynosiło osiem.

Święczkowski ma poważne zarzuty?

– Na pewno ma zarzuty dotyczące używania przez służby specjalne systemu Pegasus. Poza tym Święczkowski nie chciał zwołać Zgromadzenia Ogólnego i poddać pod głosowanie tegoż wniosku o uchylenie immunitetu. Czyli mieliśmy do czynienia z sytuacją naruszenia zasady nemo iudex in causa sua – nikt nie może być sędzią we własnej sprawie. Święczkowski był. Jakich spraw dotyczą cztery kolejne wnioski o uchylenie immunitetu, o których mówił pan minister Żurek, tego nie wiem. Ale jeżeli prokurator generalny zdecydował się z tymi wnioskami wystąpić, to muszą być rozpatrzone przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Jeżeli sędziowie uchylą immunitet Święczowskiemu, co będzie się działo później?

– Zostaną przedstawione zarzuty, bo nie po to prokurator generalny wnosi o uchylenie immunitetu, żeby nie przedstawić zarzutów. Za zarzutami zawsze idą środki zapobiegawcze. Jednym z takich środków zapobiegawczych jest zakaz pełnienia funkcji publicznych. A jak to będzie, zobaczymy.

eprasa.pl b1b16130d5

Mamy więc ośmioro sędziów, którzy uczestniczyli w Zgromadzeniu Ogólnym. I oni będą teraz normalnie funkcjonować jako Trybunał?

– Jest tych ośmiu sędziów plus czterech innych, wybranych prawidłowo. Oni też są uwzględniani, co było widać podczas Zgromadzenia Ogólnego Sędziów Trybunału, gdy byli brani pod uwagę w losowaniach składów orzekających do postępowań dyscyplinarnych. Muszą również być brani pod uwagę w losowaniach składów orzekających do rozpoznawania spraw zawisłych.

Ale ci czterej będą odmawiać.

– Jeżeli ktoś z nich nie będzie chciał uczestniczyć w pracach Trybunału, będzie wyłączany. To normalne procedury, żaden sędzia nie może być zmuszony do orzekania. Natomiast będą losowani, jak wskazuje to jedna z ustaw uchwalonych w 2016 r., dotyczących Trybunału Konstytucyjnego.

Czyli Trybunał będzie wydawał wyroki, które będą drukowane w Dzienniku Ustaw. I co dalej? Pojawią się neosędziowie i powiedzą: my nie uznajemy tych wyroków. To jest możliwe?

– Oczywiście, że to nie jest możliwe, dlatego że orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego są ostateczne, ogłaszane w Dzienniku Ustaw i obowiązują w polskim porządku prawnym. Zwracam tu uwagę: Trybunał Konstytucyjny nie tworzy nowego prawa, ale eliminuje z porządku prawnego przepisy niekonstytucyjne, niezgodne z konstytucją. W tym sensie orzeczenia Trybunału są ostateczne, a tych przepisów nie można później stosować.

Czyli sprawa Trybunału z pańskiego punktu widzenia jest już zamknięta?

– Ależ nie! Po pierwsze, mamy do czynienia jeszcze z formalnie pełniącymi funkcję prezesem Bogdanem Święczkowskim i wiceprezesem Trybunału Konstytucyjnego Bartłomiejem Sochańskim, wybranymi wprawdzie z udziałem dublerów. Mają swoje sześcioletnie kadencje. Odwołać ich, czyli znieść ich z urzędu sędziego, może orzeczenie dyscyplinarne przeprowadzone w trybie ustawy o statusie sędziów w Trybunale Konstytucyjnym. Ale nic takiego nie nastąpiło, więc po miesięcznej przerwie będą mieli pełne prawo powrotu. Chyba że w tym czasie doszłoby do tych dwóch wspomnianych elementów, czyli w ramach postępowania karnego byłby postanowiony środek zapobiegawczy w postaci zakazu pełnienia funkcji.

Sąd dyscyplinarny to sąd wewnątrz Trybunału.

– W pierwszej instancji, jak widzieliśmy, losuje się trzech sędziów Trybunału Konstytucyjnego, a w drugiej instancji pięciu. Z tym że oczywiście nikt z tej trójki nie może zasiadać w sądzie dyscyplinarnym drugiej instancji.

Sędzia Korwin-Piotrowska mówiła, że w Trybunale czeka 1171 spraw do rozpatrzenia. Dlaczego za Święczkowskiego i za Przyłębskiej Trybunał tak wolno pracował?

– Nie wiem. Może w interesie Prawa i Sprawiedliwości była anihilacja Trybunału? A jak oni zostali wysłani na taką, powiedziałbym, frontową placówkę, to działali właśnie w kierunku tej anihilacji? Przecież widać było, że nie zajmowali się orzecznictwem co do zasady, tylko polityką. I wydawali postanowienia zabezpieczające, żeby np. Ziobro nie musiał się stawiać przed komisją śledczą, i jakieś inne, poza swoją kompetencją. Przez te lata, od roku 2017, jak już odszedł Rzepliński, Trybunał Konstytucyjny pracował w niezwykle wolnym tempie. A gdy trzeba było wydać coś kategorycznego, politycznego, to zbierał się szybko. Wyrok w sprawie przesłanek aborcyjnych – pamiętamy wszyscy, zebrali się szybko i go wydali. Tak jak chcieli.

Prezes Sądu Najwyższego Zbigniew Kapiński powiedział, że tych siedmiu pisowskich sędziów może u niego przebywać, że użyczy im pomieszczeń. Istnieje niebezpieczeństwo, że będziemy mieli dwa trybunały?

– Nie, nie… To zupełnie bez znaczenia. Tu nawet nie chodzi o to, że o Trybunale nie decyduje budynek i miejsce odbycia Zgromadzenia Ogólnego. Ważna jest pewna ciągłość instytucjonalna. A tę ciągłość zachowuje Trybunał kierowany przez najbliższy miesiąc przez sędzię Annę Korwin-Piotrowską.

Nie mam więc obaw! Wyrażam też nadzieję, że u obywateli, wśród innych sądów konstytucyjnych europejskich i światowych, wśród innych organów władzy autorytet tego Trybunału przez miesiąc kierowanego przez Annę Korwin-Piotrowską będzie wzrastał. Już zresztą widać, po pierwszych decyzjach, chociażby po publicznym, jawnym odbyciu Zgromadzenia Ogólnego Sędziów Trybunału Konstytucyjnego, po tym, jak przebiegała dyskusja, że to organ poważny, z poważnymi ludźmi. To wybitni prawnicy o bardzo wielkiej kompetencji moralnej i niezawiśli pod każdym względem.

Zbigniewa Kapińskiego widzieliśmy w nocy 30 października u boku prezydenta.

– Wyszedł całkowicie poza swoją rolę, stając się takim pomocnikiem prezydenta, a nie jest od tego! Jest przecież szefem odrębnej władzy, niezależnej, czyli Sądu Najwyższego! Tymczasem pojawił się z prezydentem Karolem Nawrockim w nocy z piątku na sobotę w budynku Trybunału Konstytucyjnego.

Jako przyboczny Karola Nawrockiego.

– Dla mnie to był szok. Zresztą pojawienie się prezydenta – też.

Dlaczego?

– W ustawie pisowskiej z grudnia 2016 r. jest wyraźnie wskazane, kiedy prezydent, pierwszy prezes Sądu Najwyższego i inni najwyżsi przedstawiciele państwa pojawiają się w Trybunale Konstytucyjnym. To jest tzw. Uroczyste Zgromadzenie Sędziów Trybunału Konstytucyjnego połączone z corocznym uroczystym spotkaniem. Wtedy, raz w roku, zapraszany jest prezydent, pierwszy prezes SN, premier itd. Gdyby ustawodawca w 2016 r. chciał

Trybunał Konstytucyjny nie tworzy nowego prawa, tylko eliminuje z porządku prawnego przepisy niekonstytucyjne.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b1b16130d5

umożliwić prezydentowi częstszy udział, nie tworzyłby tego specjalnego przepisu.

Czyli to wejście prezydenta do Trybunału było naruszeniem trójpodziału władzy?

– Tak.

Tylko że wszedł, posiedział i wyszedł.

– Dla mnie jest to niezrozumiałe, bo zakładałem, że i pan prezydent, i jego współpracownicy są ludźmi o dużej umiejętności socjotechnicznej. A tu raptem dokonali czegoś, co nie przyniosło żadnego efektu. Weszli, rozepchali się, usiedli na kanapach, posiedzieli i wyszli. Rozumiałbym, gdyby takie działanie miało jakiś cel: wprowadzenie tam kogoś, zainstalowanie, ale w takiej sytuacji...

Święczkowski nie może być sędzią we własnej sprawie.

Myśleli pewnie, że wejdą, zainstalują Święczkowskiego i załatwią sprawę.

– Ale Święczkowski z nimi nie poszedł. Może był mądrzejszy w tej sytuacji?

Co dalej, pańskim zdaniem, będzie się działo z Trybunałem?

– Trzeba stabilizować sytuację. Tak, by Trybunał był organem w pełni niezależnym, sędziowie byli w pełni niezawiśli, aby był uznawany przede wszystkim przez obywateli, przez inne organy władzy państwowej i przez środowisko międzynarodowe. W styczniu musi być wybrany kolejny sędzia Trybunału Konstytucyjnego i to już będzie dziewięciu wybranych przez ten Sejm.

A jeżeli Bogdan Święczkowski zostanie złożony przez sąd dyscyplinarny z urzędu sędziego? Wówczas trzeba wybierać nowego prezesa.

– Zobaczymy, jak sprawy się potoczą.

PiS przecież za chwilę powie, a w zasadzie już mówi: to jest pseudotrybunał, my w ogóle jesteśmy przeciw, nie słuchamy tych wyroków, które on wydaje! Co wtedy?

– Państwo demokratyczne, państwo prawne – zwracam uwagę na ten element – ma środki, żeby przymusić wszystkich do przestrzegania prawa. A tymi środkami dysponuje rząd.

Konstytucja nie przewidziała takiego zderzenia, prawda? Takiej bitwy o Trybunał.

– Konstytucja jest umową, nie może wszystkiego przewidzieć, bo życie jest dużo bogatsze niż wyobraźnia ludzi.

Ale widzi pan, że ta konstytucja stała ością w gardle Kaczyńskiemu i prawicy.

– To o tyle prawda, że Jarosław Kaczyński już w 2003 r., podczas tzw. konwencji konstytucyjnej PiS, mówił o konieczności zmiany konstytucji i utworzeniu w Polsce ośrodka dyspozycji politycznej. Wziął to prawdopodobnie z myśli prof. Stanisława Ehrlicha. A przecież tego rodzaju ośrodek myśli i dyspozycji politycznej, o jakim mówił, to coś totalnie pozakonstytucyjnego!

Biuro Polityczne KC PZPR... To jego wyobrażenie i tak działa.

– Konstytucja z 1997 r. opiera się na obywatelu, jego prawach i wolnościach, jako podstawowej kategorii. Jej art. 1 stanowi, że Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli. Natomiast koncepcja, na której opierają się ruchy populistyczno-nacjonalistyczne na świecie, jako główny podmiot stawia naród.

Czyli wodza narodu.

– I to naród rozumiany nie w kategoriach obywatelskich, tylko etnicznych, tak jak w Polsce, czy w kategoriach religijnych, albo tak jak naród chcą traktować zwolennicy MAGA w Stanach Zjednoczonych – że to są ci „starzy" Amerykanie. Stąd ta wrogość wobec imigrantów. Ale w Polsce, w dającej się przewidzieć przyszłości, nie widzę możliwości zmiany konstytucji. Czyli trzeba jej przestrzegać.

Nawrocki w takim razie się nie rozepcha?

– On chce się rozepchać. Widać to jak na dłoni. Nie mianuje ambasadorów, bo chce mieć większą władzę w polityce zagranicznej. Nie mianuje generałów, bo chce mieć większą władzę w siłach zbrojnych. Nie mówiąc o wymiarze sprawiedliwości, o Trybunale Konstytucyjnym itd. Karol Nawrocki rozpycha się więc, chce pokazać swoją siłę sprawczą, również mięśni. Ale z konstytucją i prawem to ma niewiele wspólnego, dlatego że rola prezydenta jest w konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. bardzo dokładnie opisana.

Jest najwyższym przedstawicielem państwa i może działać tylko w granicach, które wyznaczają mu funkcje ustrojowe. A funkcje ustrojowe zawarte są w art. 126. Prezydent wbrew temu, co mówią jego współpracownicy, nie jest strażnikiem konstytucji. On czuwa nad przestrzeganiem konstytucji, a to zupełnie inna formuła ustrojowa, dlatego że czuwając, sam nie rozstrzyga. Ma prawo złożyć wniosek do Trybunału Konstytucyjnego. Ale nie może powiedzieć: pan jest sędzią, a pani nie jest sędzią.

Jego kompetencje są związane nie z bezpośrednim zarządzaniem, tylko z symbolicznym uosobieniem majestatu Rzeczypospolitej. I szkoda, że z tym majestatem coś nie wychodzi.



Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b1b16130d5

Kurier – niewidzialny człowiek



Praca, w której szefem został algorytm

Kornel Wawrzyniak

Zanim klikniemy „zamów", zanim w aplikacji pojawi się ikonka roweru, skutera albo samochodu, zanim gorąca zupa, pizza czy paczka karmy dla psa trafią pod nasze drzwi, po drugiej stronie ekranu ktoś zaczyna wyścig z czasem. Nie znamy jego imienia. Często nie poznamy nawet jego twarzy. Kurier stał się niewidzialnym elementem miejskiej infrastruktury. Tymczasem za wygodą, którą kupujemy jednym kliknięciem, stoi mniej przyjemna prawda: o algorytmach, które zastąpiły szefów, i o ludziach, którzy dowożą nam zakupy, ale coraz rzadziej mają poczucie przynależności do jakiejkolwiek wspólnoty.

W ciągłym niedoczasie

Jeżeli istnieje jedno zdanie najlepiej opisujące współczesną pracę kuriera, brzmi ono: musisz się śpieszyć. Bardziej niż konkurencja. Po zamówienie, do klienta, na następne zlecenie. W reportażach kurierzy niemal jednogłośnie powtarzają, że czas jest najcenniejszą walutą. Bo im go brakuje. Jeden klient nie odbiera telefonu. Drugi podał błędny adres. Trzeci wychodzi z mieszkania przez pięć minut. Czwarty nie ma gotówki. Każda taka sytuacja to kolejne minuty straty. A kilka minut może zdecydować o przebiegu dnia i zarobkach.

Jak mówił kurier cytowany przez „Newsweeka": „Mam 150 paczek, więc gdybym na każdego klienta poczekał tylko kilka minut, to samego czekania byłoby kilka godzin dziennie". Presja czasu jest wpisana w ten zawód niezależnie od tego, czy mówimy o kurierach dostarczających jedzenie, czy o kierowcach rozwożących paczki. „Forbes" przywołuje relacje pracowników, którzy w okresie świątecznym mają do rozwiezienia nawet 200-220 przesyłek dziennie. Kurierzy platform gastronomicznych funkcjonują pod podobną presją, tyle że mierzoną nie liczbą paczek, lecz kolejnymi minutami dostawy. Oznacza to, że nawet najbanalniejsza przeszkoda – brak numeru mieszkania, niedziałający domofon, korek – urasta do rangi problemu systemowego.

– Można powiedzieć, że swój czas dzielę między trzy adresy: pracę, dom i działkę. Na każdy z nich czasem coś zamawiam. Ostatnio przez mój błąd kurier ze składnikami na obiad pojechał na działkę. To pół godziny drogi w jedną stronę od domu. Nie miałem szans tam dotrzeć. Kurierowi też nie opłacało się jechać do mnie. Porozmawialiśmy chwilę przez telefon. Mężczyzna pochodzący z Pakistanu mówił, że płacą mu tylko za zrealizowane zamówienia. Nawet jeśli to wina klienta. Zaproponowałem, że oddam mu należność za kurs choćby BLIK-iem, ale chyba się przestraszył i rozłączył – relacjonuje 37-letni Bartek z Warszawy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b1b16130d5

Kurierzy opowiadają, że jeśli coś się wysypie na początku dnia, często sypie się wszystko. W relacjach kurierów nieustannie powraca ten sam motyw: klient i dostawca żyją w różnych rzeczywistościach. Dla klienta dostawa jest jednorazowym wydarzeniem, minutą w ciągu dnia. Dla kuriera to jeden z kilkudziesięciu punktów na trasie. Podczas gdy klient oczekuje indywidualnego podejścia, kurier jest rozliczany ze skutecznie wykonanych zleceń. To dlatego odbiorca często nie rozumie, czemu nie można poczekać 10 minut, podjechać kilka kilometrów dalej albo zmienić adresu dostawy w trakcie kursu. Ale z perspektywy kuriera może to oznaczać opóźnienie całego dnia pracy.

Sam jak kurier

Paradoksalnie ten niewidzialny na co dzień kurier staje się adresatem wszelkich frustracji klientów, choć najczęściej nie ma wpływu na przyczynę problemu. Jak zauważa rozmówca „Forbesa", opowiadający anonimowo o swojej pracy, klient traktuje człowieka stojącego pod drzwiami jako reprezentanta całego procesu: sklepu, magazynu, firmy logistycznej, systemu informatycznego i obsługi klienta jednocześnie. Kurier jest ostatnim ogniwem. A więc i pierwszym do obwiniania. Reporter Piotr Szostak, który zatrudnił się jako kurier Uber Eats, pisał, że ludzie odwracają od dostawców wzrok. Kurier staje się częścią krajobrazu. Kimś, kogo zauważamy dopiero, gdy zamówienie przyjedzie za późno.

To paradoks współczesnej gospodarki wygody. Z jednej strony, aplikacje pozwalają zamówić pod drzwi niemal wszystko: pizzę, leki, alkohol, zakupy spożywcze i sekszabawki. Z drugiej – skutecznie ukrywają ludzi, którzy tę wygodę zapewniają. Wystarczy kilka kliknięć na ekranie i jedzenie „pojawia się" pod drzwiami, a przesyłka trafia do paczkomatu. Cały wysiłek pozostaje poza kadrem. A przecież za każdym zamówieniem stoi człowiek marznący na rowerze zimą, moknący w ulewie albo błądzący po labiryncie nowych osiedli.

– Wnosiliśmy kiedyś z kolegą szafę, ok. 800 kg elementów w kilkudziesięciu paczkach, na 10. piętro w bloku. Akurat winda była zepsuta. Ostatnia paczka okazała się delikatnie rozerwana. Elementy w środku nie były uszkodzone. Sprawdziłem to, pokazałem klientowi, ale był nieubłagany – zwrot. Czy wróciliśmy do magazynu, aby wymienić tę jedną felerną paczkę? Nie. Musieliśmy zabrać wszystko na magazyn. Taka polityka firmy – relacjonuje kurier Adam, który od siedmiu lat jeździ po Warszawie dla firmy meblarskiej.

Jednym z najbardziej przejmujących wątków reportaży o kurierach nie są jednak ani zmęczenie, ani niskie zarobki, ale samotność. Kurierzy spotykają dziennie setki ludzi i jednocześnie pozostają niemal całkowicie sami. Czekają razem pod restauracjami i punktami odbioru. Mijają się na klatkach schodowych, spotykają pod galeriami handlowymi. Ale rzadko tworzą wspólnotę.

Aplikacje pozwalają zamówić pod drzwi niemal wszystko, ale skutecznie ukrywają ludzi, którzy tę wygodę zapewniają.

Piotr Szostak pisał o pracownikach Uber Eats jako o ludziach funkcjonujących w stanie społecznej niewidzialności. Katarzyna Duda, autorka książki „Uberyzacja", mówi wręcz o „radykalnej samotności" kurierów. To szczególnie widoczne w przypadku migrantów. Przyjeżdżają do Polski z Ukrainy, Gruzji, Indii, Pakistanu, Nigerii czy krajów Azji Centralnej. Mieszkają w wieloosobowych pokojach w hostelach, pracują samotnie i przez większość dnia kontaktują się wyłącznie z aplikacją.

– Dzisiaj mi wstyd za pewną sytuację. Dzwonek do drzwi. Otworzyłem. Kurier dziwnie gestykulując, próbował mi coś wyjaśnić. W ręku miał zmasakrowane opakowanie z zupą. Nie mówił po polsku ani po angielsku. Zaskoczenie sprawiło, że pomyślałem: pijany. Wziąłem zamówienie bez słowa i zamknąłem drzwi. Z zupą nie jego wina. Źle zapakowano. Dziś wiem, że trzeba było pomóc. Dać ręcznik papierowy, uśmiechnąć się. A kurier pewnie się bał krzyków klienta – wspomina Marcel, informatyk z Wrocławia.

Jak zauważa Katarzyna Duda, dla niektórych jej rozmówców zwykła rozmowa była wydarzeniem tak rzadkim, że po wielu miesiącach pobytu w Polsce autorka stawała się pierwszą osobą, która poświęcała im dłuższą uwagę. To nie jest tylko problem rynku pracy. To problem społeczny. Bo coraz większa grupa ludzi żyje obok nas, ale poza naszym światem.

Uberyzacja, czyli co

Najważniejszą zmianą ostatnich lat nie jest jednak możliwość zamówienia dowolnej rzeczy z dostawą pod drzwi, lecz pojawienie się nowego rodzaju pracodawcy, którym stał się algorytm. Kurier – szczególnie dowożący jedzenie czy zakupy – nie zna przełożonego. Nie chodzi na zebrania. Nie rozmawia z kierownikiem. Nie negocjuje warunków. O wszystkim decyduje aplikacja. To ona przydziela zlecenia, wylicza stawki i mierzy wydajność. I może ograniczyć liczbę godzin pracy albo odciąć dostęp do platformy. Na osobne omówienie zasługuje zjawisko, które Katarzyna Duda opisuje jako uberyzację pracy. To pojęcie znacznie szersze niż sama działalność Ubera i podobnych firm. Oznacza model zatrudnienia oparty na platformach cyfrowych, które rozbijają tradycyjną relację pracownik-pracodawca i zastępują ją siecią algorytmów, pośredników oraz krótkoterminowych zleceń.

W teorii wszystko wygląda atrakcyjnie: brak rozmów kwalifikacyjnych, elastyczne godziny, możliwość pracy „na własnych zasadach", szybki start. W praktyce: nieprzewidywalny dochód, brak stabilności, przerzucenie kosztów na pracownika oraz brak realnego wpływu na własną sytuację. Autorka „Uberyzacji" zwraca uwagę, że platformy stworzyły skuteczną iluzję wolności. Kurier ma wrażenie, że sam decyduje o czasie pracy, bo nikt nie stoi nad nim z zegarkiem.

eprasa.pl b1b16130d5

Ta wolność okazuje się jednak ograniczona. Kurier może wybrać godzinę rozpoczęcia pracy, ale nie decyduje o liczbie zamówień. Nie wie, ile jutro zarobi. Nie zna dokładnych zasad wyliczania stawek. Nie zna kryteriów działania algorytmu. Do niedawna wiedział przynajmniej, ile zarobi za przepracowaną godzinę. Dziś może przejechać kilkadziesiąt kilometrów i dopiero wieczorem przekonać się, czy dzień był opłacalny.

Jak zauważa Katarzyna Duda, część kurierów zaczyna „grać" z aplikacją. Uczą się jej metodą prób i błędów, próbując odgadywać mechanizmy przydzielania kursów czy bonusów. Kurier funkcjonuje trochę jak gracz komputerowy (to zjawisko nazywa się grywalizacją). Otrzymuje zadania, cele i premie. Musi realizować określoną liczbę dostaw, by zdobyć bonusy i utrzymać wysoką pozycję w systemie. Tyle że zasad gry nie zna nawet sam uczestnik. Jeżeli po wykonaniu 14. kursu aplikacja nie przydzieli 15., bonus przepada. Dlaczego? Nie wiadomo.

Jednym z najbardziej niepokojących aspektów uberyzacji jest właśnie niewidzialność władzy. W tradycyjnej firmie można było porozmawiać z kierownikiem, złożyć skargę czy negocjować warunki. W świecie platform cyfrowych decyzje podejmowane są automatycznie. Algorytm nie wyjaśnia swoich motywacji i nie ponosi odpowiedzialności. Przyznaje kursy, zmienia stawki, obniża widoczność konta i ocenia pracowników według swoich kryteriów.

Pracownik funkcjonuje w ciągłej niepewności. Nie wie, dlaczego otrzymał dane zlecenie i czy system potraktował go sprawiedliwie. To nowa forma podporządkowania. Tym skuteczniejsza, że pozostaje niewidoczna. Jedną z najważniejszych obserwacji Katarzyny Dudy jest pojęcie niewidzialnej pracy. Klient widzi tylko moment dostawy. Nie widzi dojazdu, szukania adresu, czekania pod restauracją ani godzin spędzonych w oczekiwaniu na kolejne zlecenie. A właśnie za te fragmenty dnia pracy kurier często nie otrzymuje wynagrodzenia.

Dr Karol Muszyński z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven i Fundacji Kaleckiego zwraca uwagę w „Gazecie Wyborczej", że system platformowy przerzuca znaczną część ryzyka ekonomicznego z przedsiębiorcy na pracownika. W klasycznym modelu zatrudnienia pracownik otrzymuje wynagrodzenie za pozostawanie do dyspozycji pracodawcy. Platforma płaci wyłącznie za wykonane zadanie, a nie za gotowość do pracy i czas między kolejnymi zleceniami.

Kurier jest zwiastunem kierunku, w którym zmierza rynek pracy.

To fundamentalna zmiana. Pracownik pozostaje do dyspozycji systemu, ale system nie ponosi wobec niego podobnej odpowiedzialności. Ryzyko zostaje przesunięte na wykonawcę. To on finansuje przestoje, kupuje sprzęt, ponosi koszty paliwa i bierze na siebie skutki choroby czy wypadku.

Można powiedzieć, że to zarządzanie bez twarzy, ale jednak ktoś nadal ustala reguły gry i czerpie zyski. To korporacyjny ideał transcendentalnego rozproszenia w chmurze. Jest tylko system, któremu podporządkowuje się jednostki. Dlatego wielu badaczy mówi o „zarządzaniu algorytmicznym" – systemie, w którym władza nie zniknęła, lecz stała się mniej widoczna.

Kurier jest nie tyle wyjątkiem, ile zwiastunem kierunku, w którym zmierza współczesny rynek pracy. Najważniejsze pytanie nie brzmi dziś, czy kurierzy mają ciężko, lecz kto z nas za kilka lat będzie pracował w podobnym modelu. Uberyzacja nie jest historią o dostawcach jedzenia. Kurierzy są jedynie pierwszą grupą zawodową, na której widać skutki rewolucji technologicznej. To oni jako pierwsi spotkali świat, w którym szef zniknął z pola widzenia, ale jego władza stała się jeszcze większa. Dlatego warto pamiętać, że po drugiej stronie aplikacji jest imigrant albo student próbujący dorobić, kierowca, który żyje między trasą a magazynem.

Praca kuriera to jeden z symboli współczesnej gospodarki, obiecującej wygodę, szybkość i dostępność. Niestety, im bardziej cenimy wygodę, tym mniej zastanawiamy się nad jej kosztem. Może warto czasem spojrzeć ponad wąski horyzont własnego komfortu?

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl b1b16130d5

Bajerantka w ekipie prezydenta Nawrockiego

Andrzej Sikorski



Prezydent Karol Nawrocki i odznaczona Justyna Orłowska na uroczystości wręczenia odznaczeń państwowych w siedzibie Instytutu Pileckiego w Nowym Jorku, 21 września 2026 r.

21 września br. Karol Nawrocki podczas szczytu Polish-American Economic Summit w siedzibie Instytutu Pileckiego w Nowym Jorku wręczył 36-letniej Justynie Orłowskiej nominację na ambasadora – przedstawiciela specjalnego Prezydenta RP ds. innowacji i nowych technologii.

„Nowa pani ambasador będzie odpowiadała za sektor nowych technologii, za szczególne relacje biznesowe ze Stanami Zjednoczonymi. To doświadczenie, które wnosi do Kancelarii Prezydenta – doświadczenie z GovTechu, doświadczenie ze współpracy z sektorem nowych technologii w Stanach Zjednoczonych – z całą pewnością będzie bardzo ważne dla całej naszej ojczyzny, dla Polski. Dziękuję za przyjęcie tej nominacji. Wiem, że mamy wiele do zrobienia, wiele rzeczy, które stają dzisiaj przed nami, nowych zadań; i z całą pewnością życiorys Pani Justyny gwarantuje, że skończy się to sukcesem. Więc jeszcze raz wielkie gratulacje, Pani Justyno, Państwa proszę o brawa”, powiedział Karol Nawrocki w laudacji.

Szkopuł w tym, że nie ma czegoś takiego jak ambasador prezydenta, a Orłowska nie ma żadnego umocowania, aby odpowiadać za polsko-amerykańskie relacje biznesowe. Rządy i biznesmeni nie potrzebują zaś figurantki do załatwiania interesów. Równie dobrze Orłowska mogłaby być ambasadorką ds. kontaktów z kosmitami.

Wybitna finansistka i menedżerka

„Gazeta Wyborcza” oraz inne opiniotwórcze media podają, że Orłowska „z wykształcenia jest ekonometryczką, finansistką i ekspertką od zarządzania funduszami” i „pracowała m.in. w firmach konsultingowych”. Może pochwalić się karierą w administracji państwowej. Doradzała Mateuszowi Morawieckiemu, gdy ten był ministrem rozwoju regionalnego i premierem. W 2018 r. została dyrektorką programu GovTech Polska w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. W 2020 r. powołano ją na pełnomocniczkę Prezesa Rady Ministrów ds. GovTech, a następnie powierzono jej kierowanie Centrum GovTech w KPRM.

Ale to nie wszystko. W 2025 r. Orłowska dostała od prezydenta Andrzeja Dudy Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Jest też laureatką nagrody Digital Shapers 2019 – ogólnopolskiego wyróżnienia przyznawanego przez Fundację Digital Poland osobom działającym w obszarze cyfryzacji i nowych technologii. W 2019 r. redakcja „Rzeczpospolitej” uznała Orłowską za „liderkę i wizjonerkę cyfryzacji w Polsce”, przyznając jej specjalne wyróżnienie. Kolejna prestiżowa nagroda to Cyfrowy Orzeł 2020 „za wkład w działania na rzecz cyfryzacji oraz usprawnianie dialogu między sektorem publicznym a innowatorami”, przyznawany przez Związek Cyfrowa Polska zrzeszający największe w Polsce firmy z branży cyfrowej i nowoczesnych technologii.

W 2020 r. Justyna Orłowska znalazła się na prestiżowej liście „30 przed 30” magazynu biznesowego „Forbes”, na której uwzględniono 30 Polek i Polaków, którzy nie ukończyli jeszcze 30. roku życia, „ale mają potencjał, by w przyszłości stać się liderami biznesu”, a „ich dotychczasowe osiągnięcia są imponujące”. Redaktorzy „Forbesa”

eprasa.pl b1b16130d5

tak scharakteryzowali Orłowską: „Porzuciła karierę w świecie biznesu na rzecz administracji publicznej. Jest pełnomocnikiem premiera Mateusza Morawieckiego ds. GovTech Polska".

Staż z robienia kawy

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie jeden szczegół. Otóż w tych opowieściach nic się nie klei. Ambasadorka Nawrockiego urodziła się w 1990 r. w Suwałkach, tam chodziła do liceum. Potem studiowała w Warszawie na SGH, gdzie zrobiła licencjat i magisterkę. W 2016 r., świeżo po studiach, w wieku zaledwie 26 lat, została doradczynią Mateusza Morawieckiego, który miał już za sobą długoletnią karierę w Banku Zachodnim WBK. W jakich sprawach dwudziestoparoletnia panienka mogła służyć radą byłemu banksterowi i ministrowi o potężnych ambicjach politycznych, tego nie wie nikt.

Mocno wątpliwe są też jej doświadczenie zawodowe i sukcesy „w świecie biznesu". Orłowska twierdzi, że pracowała w firmach konsultingowych, m.in. Capital One Advisers, Ipopema Securities i Enterprise Investors, gdzie realizowała projekty związane z analityką w bankowości inwestycyjnej. Jak wyglądała ta praca, zdradziła mi Anna Czywczyńska, dyrektorka ds. komunikacji i public affairs Enterprise Investors.

„Pani Justyna Orłowska odbyła w Enterprise Investors dwumiesięczny staż, który trwał od 1 grudnia 2014 r. do 31 stycznia 2015 r. W tym czasie wspierała zespół inwestycyjny w ocenie potencjalnych projektów w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Do jej zadań należały m.in. analiza rynków i branż, identyfikacja potencjalnych celów inwestycyjnych, opracowywanie profili spółek oraz gromadzenie i analiza danych finansowych. Był to standardowy zakres zadań powierzanych naszym stażystom", napisała w odpowiedzi na moje pytania dyr. Czywczyńska.

Jednak ludzie, którzy pamiętają Orłowską z 60-dniowego stażu w Enterprise Investors, utrzymują, że jej głównym zadaniem było przygotowywanie kawy i segregowanie dokumentów. „Czy wyobraża pan sobie, że ktokolwiek o zdrowych zmysłach powierzyłby osobie z zerowym doświadczeniem, świeżo po studiach lub w trakcie studiów jakieś odpowiedzialne zadanie? Gdy dowiedziałem się, że Orłowska kreuje się na wybitną specjalistkę od inwestycji i jeszcze wspomniała o pracy w naszej firmie, to się uśmiałem. Orłowska przypomina Nikodema Dyzmę", mówi menedżer z kilkudziesięcioletnim stażem.

Moi informatorzy utrzymują, że podobnie odpowiedzialne zadania jak w Enterprise Investors Orłowska wykonywała też w pozostałych firmach. Znamienne jest, że prezes Capital One Advisers w ogóle nie odpowiedział na moje pytania dotyczące Orłowskiej, a dom maklerski Ipopema Securities zasłonił się przepisami RODO, twierdząc, że nie jest uprawniony do udzielania informacji „bez zgody samej zainteresowanej".

Niezbyt wylewna była także Ewa Balicka-Sawiak, rzeczniczka Polskiego Instytutu Ekonomicznego, którego Orłowska od 2020 r. ma być ekspertką. Okazuje się, że już nie jest, bo w 2023 r. zrezygnowano z jej usług. Nie dowiedziałem się natomiast, dlaczego w ogóle została ekspertką PIE i doradzała dyrektorowi „w sprawach związanych z realizacją działań statutowych Instytutu, w szczególności z zakresu prowadzonej działalności badawczo-rozwojowej, współpracy z instytutami badawczymi, jednostkami akademickimi oraz komunikacji zewnętrznej", skoro nie miała kompetencji. Pani rzecznik nie zdradziła też, ile ekspertyz i na jaki temat przygotowała Orłowska i jakie trzeba spełniać wymogi, aby zostać ekspertem PIE. Zdaje się, jej że ekspercka wiedza była nic niewarta, bo za pracę nie dostała złamanego grosza.

Mądralińska

Ponieważ biznes nie poznał się na jej talentach, młoda kobieta poszła do rządu PiS, gdzie zajmowała się szeroko pojętą cyfryzacją administracji i usług publicznych, choć nigdy nie miała z tym nic wspólnego. Nie miała także doświadczenia w pracy w administracji publicznej ani w zarządzaniu ludźmi. Jako przedstawicielka premiera Mateusza Morawieckiego występowała na licznych konferencjach, sympozjach, panelach i udzielała wywiadów mediom, kreując się na specjalistkę w dziedzinie nowych technologii. Gdy uważnie wsłuchać się w to, co mówiła, były to banały okraszone frazesami. Okazuje się, że w jałowych dyskusjach o cyfryzacji nie trzeba mieć specjalistycznej wiedzy, wystarczy robić mądre miny i posługiwać się zestawem formułek. W artykule na temat zmian w obszarze legislacji cyfrowej w UE, zamieszczonym w „Rzeczpospolitej" w dziale „Opinie prawne", Orłowska, zamiast skupić się na problemie, rozwodziła się nad mitologią grecką (sic!).

Wezwana przed sejmową komisję śledczą ds. afery wizowej Orłowska udawała idiotkę. Nie rozumiała prostych pytań.

„Pierwsza teza, jaką da się wyprowadzić z mitologii, to to, że programiści są nieomylni. Pierwszym z bohaterów mitologii greckiej, o którym w kontekście technologii należy wspomnieć, jest Hefajstos. Ten bóg, znany jako bóg ognia, kowali i złotników, to ówczesny innowator, który zamiast Doliny Krzemowej za swoją siedzibę obrał wnętrza wulkanu Etna i na życzenie Zeusa tworzył nie tylko pioruny i strzały dla Erosa, ale też spiżowe wielkoludy i inne stworzenia. Dziś powiedzielibyśmy, że wytwarzał prototypy robotów humanoidalnych – androidów. W związku z temperamentem Zeusa typowym dla tyrana, większość rękodzieł wychodzących spod rąk Hefajstosa było stworzonych do siania niepokoju i zła. Pandora, żona Epimeteusza (»wstecz myślącego« – stąd jego naiwność), brata Prometeusza, powstała celem sprowadzenia na ziemię wszelkich nieszczęść jako kara za nieposłuszeństwo Prometeusza. Jednak nawet Bogowie, niczym

FOT. PAP/ RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl b1b16130d5

dzisiejsi programiści, nie byli w stanie stworzyć maszyny idealnej – na ludzi sprowadziła nie tylko koszmary, ale też nadzieję", napisała pełnomocniczka premiera ds. GovTech w poczytnym dzienniku, którego czytelnikami są elity prawnicze i biznesowe.

Rosyjscy agenci z polskimi wizami

Jako pełnomocniczka premiera ds. GovTech Orłowska realizowała rządowy program „Poland.Business Harbour", o którym mówiła, że „branża technologiczna prosi i błaga o to". Początkowo chodziło w nim, żeby ściągnąć do Polski informatyków i firmy IT z Białorusi. Potem program rozszerzono na obywateli i firmy z Rosji, Ukrainy, Mołdawii, Gruzji i Azerbejdżanu. Program pozwalał na wydanie wizy na rok (z możliwością przedłużenia) i był skierowany nie tylko do informatyków, ale i ich rodzin, by osiedlali się u nas na stałe. W ramach „Poland. Business Harbour" polskie wizy otrzymało 95 tys. osób.

Jak zauważyła Najwyższa Izba Kontroli, w praktyce uzyskanie wizy w ramach tego programu stało się najprostszym, najszybszym i najtańszym sposobem uzyskania możliwości wjazdu na teren całej Unii Europejskiej, a „rola konsula w procesie rozpatrywania wniosku o wizę została sprowadzona praktycznie do jej udzielenia". Działo się to w tym samym czasie, gdy rząd PiS prowadził krucjatę antyimigrancką. Nie wiadomo, co się stało z informatykami ze Wschodu. Gdzie podjęli pracę w Polsce, czy może wyjechali do innych państw Unii.

Najbardziej bulwersujące było to, że „Poland.Business Harbour" został uruchomiony bez podstawy prawnej (jego zasad nie zebrano w żadnym dokumencie) i zagrażał bezpieczeństwu państwa. Polskie służby nie weryfikowały rzekomych informatyków, nie sprawdzano ani ich kwalifikacji, ani dla kogo mieli pracować. Nad Wisłę trafiło kilka tysięcy ludzi z Białorusi i Rosji, z czego ponad 1,8 tys. Rosjan już po wybuchu wojny w Ukrainie. Ilu wśród nich było agentów obcych służb i hakerów – możemy tylko spekulować, a byli na pewno.

Nie ma nic do powiedzenia

Wezwana przed sejmową komisję śledczą ds. afery wizowej Orłowska udawała idiotkę. Nie rozumiała prostych pytań, mówiła nie na temat, czym doprowadzała do irytacji posłów. Nie potrafiła powiedzieć, w jakich okolicznościach i dlaczego została doradczynią Mateusza Morawieckiego ani jak trafiła do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, kto był inicjatorem programu „Poland. Business Harbour" i kto był za niego odpowiedzialny. Orłowska przechwalała się, że dzięki programowi do Polski przyjechały „wybitne talenty" informatyczne, ale nie potrafiła wymienić choćby jednej osoby z nazwiska. Dociskana przez posła Krzysztofa Mulawę z Konfederacji stwierdziła, że słowo „talent" jest pojęciem bardzo szerokim. Mulawa zapytał o rzekome miliardowe inwestycje, które powstały dzięki „Poland. Business Harbour", na co Orłowska odpowiedziała, że „nie chce ich wymienić tutaj". Gdy Mulawa nie dawał za wygraną, prosząc o podanie nazwy choć jednej firmy, przyszła ambasadorka prezydenta RP uznała, że „można znaleźć to w internecie". Nie potrafiła wymienić nazwisk przełożonych, współpracowników i podwładnych oraz zakresu ich kompetencji. Poproszona o podanie nazwisk swoich zastępców gadała od rzeczy: „Szanowni państwo, najprawdopodobniej było to kilka lub kilkanaście osób, ponieważ departament GovTech zawsze był zespołem zwinnym i małym. Agile – tak. Agile – tak. To jest taka nomenklatura z zarządzania. Myślę, że… Waterfall, agile – zarządzanie zwinne, tak. Mam na myśli zarządzanie zwinne. Duże struktury nie pozwalają na zarządzanie zwinne i na realizowanie innowacyjnych projektów". Przy tym pełnomocniczce premiera w ogóle nie przeszkadzało, że jej podwładni do celów służbowych używali prywatnej poczty, jakby nie słyszała o aferze z ministrem Michałem Dworczykiem.

Zachowanie Orłowskiej przed komisją śledczą może wskazywać, że była marionetką Morawieckiego w KPRM. Ale nawet taka rola nie zwalnia jej z odpowiedzialności. Do Prokuratury Okręgowej w Łodzi trafiło zawiadomienie komisji śledczej o podejrzeniu popełniania przestępstwa przez Orłowską, która swoimi działaniami doprowadziła (z innymi urzędnikami i ministrami) do tego, że do Polski i na teren UE wjechali masowo imigranci, nie wiadomo z jaką przeszłością i w jakim celu.

Nazwisko ambasadorki Nawrockiego przewija się też w aferze Zondacrypto. Jak ujawniła „Gazeta Wyborcza", Orłowska jako przedstawicielka prezydenta grała pierwsze skrzypce (oprócz aferzysty Przemysława Krala) w panelu podczas Polish-American Strategic Industries Summit, którego organizatorem była TV Republika. Impreza stanowiła część oficjalnej wizyty Nawrockiego w Waszyngtonie we wrześniu 2025 r. Według „GW" „wizyta i towarzyszący jej szczyt były otwarciem nowego projektu", którego Nawrocki „miał być politycznym centrum, Republika wsparciem medialnym, a Zondacrypto filarem ekonomicznym".

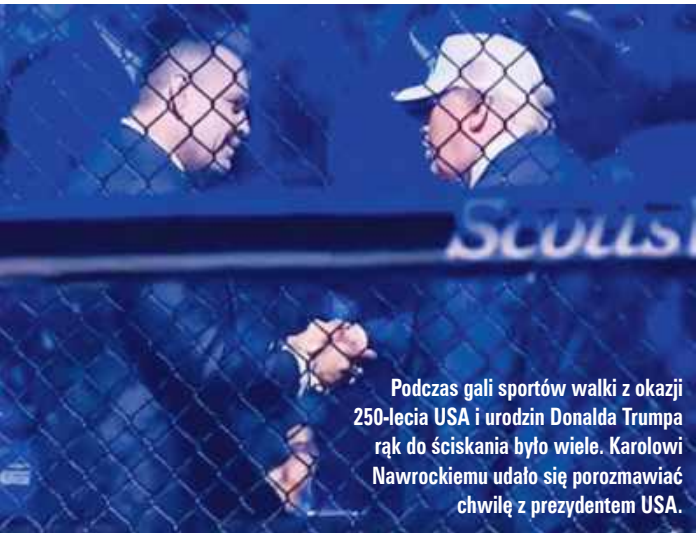
O powiązanej z przestępcami giełdzie kryptowalut i zaginięciu jej prezesa Sylwestra Suszka było już wtedy głośno. Ale Orłowskiej to nie przeszkadzało. Podczas panelu zapowiedziała, że poprowadzi w Kancelarii Prezydenta RP prace nad Funduszem Nowych Technologii, mającym zajmować się też rynkiem kryptowalut, którego Nawrocki nie chciał objąć państwowymi regulacjami, wetując rządową ustawę.

Andrzej Sikorski

Orłowska realizowała rządowy program „Poland.Business Harbour", w ramach którego wizy otrzymało 95 tys. osób z Białorusi, Rosji, Ukrainy, Mołdawii, Gruzji i Azerbejdżanu.

eprasa.pl b1b16130d5

PRAWICA W PUŁAPCE MIŁOŚCI DO TRUMPA





Podczas gali sportów walki z okazji 250-lecia USA i urodzin Donalda Trumpa rąk do ściskania było wiele. Karolowi Nawrockiemu udało się porozmawiać chwilę z prezydentem USA.

Robert Walenciak

Szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki połyka własny język. „Byli tacy, którzy przewidywali klęskę Donalda Trumpa, klęskę republikanów – mówił w TV Republika. – To się nie odbyło. Republikanie nie wygrali tych wyborów połówkowych, ale nie przegrali ich sromotnie".

Sprostujmy te głupoty. Republikanie i Donald Trump przegrali wybory połówkowe sromotnie, ponieśli klęskę. Wygibasy słowne Boguckiego i innych polityków polskiej prawicy, bardziej świadczą o nich samych niż o tym, co się zdarzyło w USA. Bo w Polsce PiS i Karol Nawrocki z uwielbienia dla Trumpa zrobili oś politycznego działania.

Gdy dwa lata temu Trump wygrał prezydencki wyścig, posłowie PiS założyli czerwone czapeczki z hasłem wyborczym republikanów „Make America Great Again", wstali z miejsc i skandowali: „Donald Trump! Donald Trump!". „Cieszymy się ze zwycięstwa Donalda Trumpa. Sądzę, że to jest powszechne w naszej partii", deklarował Jarosław Kaczyński.

Z kolei Konfederacja wypuściła okolicznościowy klip, w którym usłyszeliśmy: „Donald Trump wraca do Białego Domu. Ta walka niemal kosztowała go życie, ale Trump się nie poddał. Wstał i zagrzewał ludzi dobrej woli do walki przeciwko rewolucji kulturowej, cywilizacji śmierci, masowej imigracji i ekoterroryzmowi".

Można rzec, że miłość polskiej prawicy do Trumpa nie zna granic. Europoseł PiS Dominik Tarczyński chwalił się, że działał w sztabie wyborczym Trumpa i dostarczył sztabowcom prezydenta USA donosy na Tuska oraz Sikorskiego. A potem bronił amerykańskiego prezydenta, jak potrafił. W lutym 2025 r. Biały Dom opublikował zdjęcie Trumpa w koronie. Wówczas piosenkarka Madonna napisała: „Obecnie mamy prezydenta, który nazywa siebie »naszym królem«. Jeśli to żart, nie śmieję się". Tarczyński jej odpowiedział: „Mamy w du**e twój obłęd. Amerykanie po raz kolejny przemówili. Pi***ol się, tak jak to robisz na scenie dla pieniędzy. Jeśli ci się nie podoba, przeprowadź się do Kanady lub Meksyku".

Z kolei gdy Trump żądał Grenlandii, Jacek Sasin tłumaczył, że to wina… Europy: „W obliczu zagrożeń, które generuje Rosja, w naszym interesie jest ścisły sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. Na tym powinniśmy się koncentrować, a nie egzaltować się tym, że jakiś mały kraj poczuł się dotknięty, bo został źle potraktowany przez swojego sojusznika". Natomiast Przemysław Czarnek po słynnej awanturze w Białym Domu, kiedy przed kamerami Trump beształ Zełenskiego, wołając: „Nie masz kart!", winą obarczał prezydenta Ukrainy: „No, głupek byśmy powiedzieli. Tak się zachował niestety i tu nie ma co owijać słów w bawełnę".

Gdy Donald Trump ogłosił umowę z Rosją na dostawę diesla, PiS też za nim stanęło. „Zdarzają się drobne tąpnięcia – tłumaczył Karol Karski, dodając: – Jakbym musiał wybierać w kwestii bezpieczeństwa: Unia czy Stany, to wybrałbym Stany".

Ale oni wszyscy i tak byli nie dość oddani Trumpowi w porównaniu z Karolem Nawrockim vel Nauroki.

FOT. WHITE HOUSE/DANIEL TOROK, PLATFORMAX

eprasa.pl b1b16130d5

„Wasz prezydent jest prawdziwym przyjacielem Polski”, mówił Nawrocki podczas konwencji CPAC w Dallas, podkreślając, że Trump jest „prawdziwym wojownikiem” i „walczy o lepsze życie dla Amerykanów”. „Potrzebujemy takich liderów”, podsumowywał. A w Polsce, na spotkaniu z mieszkańcami Sokołowa, zachwycał się: „Mamy prezydenta Donalda Trumpa, który Polskę kocha, który szanuje polskiego prezydenta”.

Gdy we wrześniu br. prezydent był w Nowym Jorku, brał udział w sesji ONZ, miał też możliwość spotkania z Trumpem. Opowiadał o tym szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz: „Niezwykle istotnym elementem wczorajszego dnia był udział w kolacji wydawanej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, Karol Nawrocki wraz z małżonką udali się na tę kolację. Karol Nawrocki miał też bezpośrednią rozmowę z Donaldem Trumpem. Ewidentnie widać dobrą relację osobistą pomiędzy prezydentami”.

Także we wrześniu Trump zamieścił na swojej platformie wpis dotyczący bazy: „Dzięki odważnemu przywództwu mojego przyjaciela Karola Nawrockiego, prezydenta Polski, czynione są znaczne postępy w kierunku utworzenia bazy US Army w Polsce”. Nawrocki odpowiedział: „Dziękuję, panie prezydencie, za miłe słowa, naszą przyjaźń i pana silne zaangażowanie w partnerstwo polsko-amerykańskie. Jesteśmy gotowi kontynuować nasze wysiłki na rzecz wzmocnienia współpracy obronnej, poważnie, odpowiedzialnie i zawsze razem”.

Takich obrazków nie sposób zliczyć. Politycy prawicy są zakochani w Trumpie i całkowicie mu ulegli. Polska w ich wizjach odgrywa rolę usłużnego potakiwacza. W tej usłużności widzą gwarancję bezpieczeństwa i rozwoju. I jako usłużne pieski warczą na tych, którzy nie podobają się ich panu. Nawrocki poucza więc Europę, że za mało wydaje na obronność, PiS – że Europa jest lewacka i się stacza. A Unię trzeba rozbić. I tak bez końca.

A Rosja? Gdy okazuje się, że dla Trumpa Rosja i różne umowy z nią są ważniejsze? To niczego nie zmienia. Stoją usłużnie z boku i czekają, aż Trumpowi zmieni się humor. I zawsze jest przez nich usprawiedliwiany. Obsadzany w roli co najmniej potrójnej: szeryfa, wodza i proroka. Gdy ogłaszał cła, mówiono, że to nie polityk, lecz biznesmen, a to jego strategia biznesowa. Kiedy z kolei składał Rosji propozycje wspólnych przedsięwzięć, tłumaczono, że to taka przebiegła taktyka. Kiedy wywołał wojnę w Zatoce, jego polscy wielbiciele orzekli, że musiał bronić świata przed irańską bombą atomową. Gdy krytykowano go za obcesowe zachowanie, klaskali, bo wobec wrogów trzeba być twardym. A teraz, po klęsce wyborów połówkowych, prezydenccy urzędnicy próbują to bagatelizować jako mało znaczące wydarzenie. Twierdzą, że Donald Trump wciąż rozdaje karty.

Na świecie Partia Trumpa, zespół jego zwolenników, trzeszczy, już się z niej ewakuują. U nas – wierni do końca.

Wróćmy na ziemię. To nie była zwykła porażka, lecz niemal polityczna egzekucja. Jak do niej doszło? Znamy tłumaczenia republikanów: ceny ropy zadecydowały! Drożyzna! Ale przecież te ceny nie wzięły się znikąd. Jakiś powód był. Wszyscy wiemy jaki. Niemądra polityka Trumpa. Nieprzemyślana wojna z Iranem. Wybory połówkowe stanowiły referendum w sprawie Trumpa. Przegrał je. Z powodu tego, co robi, bezmyślnie wzniecając niepotrzebną wojnę. Pełen pychy i niewiedzy nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji swoich działań, z tego, jak się zachowuje. Bo to również silnie działa.

Jakże celnie ujął to brytyjski pisarz Nate White zapytany, dlaczego niektórzy Brytyjczycy nie lubią Donalda Trumpa: „Lubimy się pośmiać. I choć Trump może być śmieszny, nigdy nie powiedział niczego ironicznego, dowcipnego czy choćby lekko zabawnego – ani razu. (…) On nawet nie wydaje się rozumieć, czym jest żart – jego pojęcie żartu to wulgarny komentarz, niepiśmienna obelga, przypadkowy akt okrucieństwa. Trump to troll. I jak wszyscy trolle nigdy nie jest zabawny i nigdy się nie śmieje, on obraża albo drwi. A co gorsza, nie tylko mówi prymitywnymi, bezmyślnymi obelgami – on tak naprawdę myśli. Jego umysł to prosty algorytm drobnych uprzedzeń i odruchowej złośliwości. Nigdy nie ma tam głębszej warstwy ironii, złożoności, niuansów czy głębi. Wszystko jest powierzchowne (…)”.

To nie są wynurzenia pojedynczego pisarza. Odczucia dotyczące Trumpa są powszechne. Nie tylko w Ameryce. Nieprzypadkowo więc, gdy dziś Trump popiera kogoś w wyborach, to jest jak pocałunek śmierci. Na Węgrzech pupil Trumpa Viktor Orbán w wyborach został wręcz zmieciony. Jego rywal Péter Magyar zdobył konstytucyjną większość. W Danii wszyscy spodziewali się absolutnej klęski socjaldemokratów. Aż do momentu, kiedy Donald Trump zażądał Grenlandii. Na fali „Grenlandia jest nasza” socjaldemokraci obronili swoją pozycję, a Mette Frederiksen zbudowała nową koalicję i rządzi państwem.

Geert Wilders, nazywany holenderskim Trumpem, jesienią 2025 r. przegrał boleśnie. Zwyciężyła liberalno-lewicowa partia D66 i ona desygnowała premiera. A w Brazylii wszyscy skazywali 80-letniego Lulę na polityczną śmierć, zwłaszcza że przegrał w pierwszej turze. Ale w drugiej, niesiony hasłem, że Brazylia nie będzie się kłaniała Trumpowi, pokonał Flávia Bolsonara, syna Jaira Bolsonara, byłego prezydenta, który schronił się w USA. Tendencję tę dostrzegają także liderzy Zgromadzenia Narodowego we Francji i AfD w Niemczech. Zarówno Marine Le Pen, jak i Alice Weidel dystansują się od Ameryki. I drżą, by Trump sobie o nich nie przypomniał.

Na całym świecie Partia Trumpa, zespół jego zwolenników, trzeszczy, już się z niej ewakuują. U nas – wierni do końca. Czyjego końca?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b1b16130d5

KŁOPOT PRAWICY Z DONALDEM TRUMPEM

Rozmawia Robert Walenciak



Prof. RAFAŁ CHWEDORUK
– politolog z Uniwersytetu Warszawskiego

Dlaczego polska prawica jest tak oddana Tumpowi?

– Dziwne byłoby, gdyby nie była oddana. Odgrywa tu rolę zwłaszcza czynnik historyczny. Polską prawicą rządzi trumna Ronalda Reagana z czasów zimnej wojny. Na to nakładały się szersze czynniki: antykomunizm rodem z lat 80., przeświadczenie o szczególnej roli Stanów Zjednoczonych w historii Polski oraz geografia wyborcza. PiS ma wyborców w tych regionach, w których była największa emigracja do USA: na Podkarpaciu, Podhalu, w Łomżyńskiem, gdzie więzi rodzinne z emigracją są wciąż utrzymywane. I gdzie żywe są nastroje proamerykańskie.

Ale przecież widać, że Trump jest zupełnie inny niż Reagan.

– Tak jak mieliśmy do czynienia z mitem Reagana, analogicznie mamy do czynienia z mitem w przypadku Trumpa. Mamy mit jego konserwatyzmu obyczajowego, na to składa się też trochę antykomunizm. Bo różne wystąpienia Trumpa pod adresem europejskiej lewicy mogą na polskim komentariacie prawicowym robić wrażenie. Wreszcie pewien mit sprawczości – bo dwa lata temu pokonał demokratów. Poza tym, choć jest milionerem, był uosobieniem antyelitarności. Najciekawsze jest w tym wszystkim to, że Trump jest entuzjastycznie przyjmowany przez naszą prawicę, mimo że jego polityka wobec Kremla niekoniecznie odpowiada temu, co zawsze o Rosji mówiło PiS, i co robiło, kiedy sprawowało władzę. To chyba najlepszy dowód na to, że mamy do czynienia z pewną wiarą w mit, a nie z przyziemną i realistyczną oceną polityki.

Kolegowanie się Trumpa z Rosją PiS nie przeszkadza?

– Właśnie na tym polega mit. Jest skonstruowany selektywnie. Na tym polega też polityka historyczna, że balansuje się między prawdą historyczną, nie do końca z nią zgodnie, a tym, co się chce powiedzieć. Nie przykładałbym jednak do wątku rosyjskiego większej wagi, ponieważ w Polsce wszyscy już wszystkich zdążyli oskarżyć o działania na rzecz Rosji. Jest to tak absolutnie zbanalizowane, że nikt na to nie zwraca uwagi, więc myślę, że w przypadku Trumpa to nie jest jedyny wątek, który może dziwić polską opinię publiczną.

A co dziwi?

– Przede wszystkim jego nieprzewidywalność i niestabilność. Sytuacja na Bliskim Wschodzie. Skomplikowane relacje z Europą, gdzieś tam tkwiące zapowiedzi aneksji: Kanady, Grenlandii. Myślę, że to jest głównym paliwem. A paliwo rosyjskie zwietrzało, ponieważ wszyscy z niego korzystali. Zwykły efekt inflacji.

Forma uprawiania polityki przez Trumpa, jego narcystyczne tyrady, ataki na słabszych są obrzydliwe dla Europejczyka. Prawicy to nie przeszkadza? Nie czuje, że to ją ciągnie w dół?

– Polska prawica jest konglomeratem bardzo różnych, często sprzecznych tradycji. Pożenić Piłsudskiego z Dmowskim to prawdziwa sztuka. Jeszcze dodać do tego Witosa. Widać to w bardzo wielu sprawach, w stosunku do gospodarki, gdzie na polskiej prawicy występują postawy od libertariańskich po wręcz etatystyczne. Widać to także po paradoksie: z jednej strony mamy na prawicy fascynację ruchem MAGA z jego izolacjonizmem i realistycznym modelem stosunków międzynarodowych opartym na wielkich mocarstwach, a z drugiej – fascynację neokonserwatystami. Czyli entuzjazm dla interwencji w Iraku, w Afganistanie i podejście zupełnie inne niż europejskie do ataków na Iran. To najdobitniej pokazuje, że uprawianie polityki polega dziś

Polska prawica jest konglomeratem różnych, często sprzecznych tradycji. Pożenić Piłsudskiego z Dmowskim to prawdziwa sztuka. I dodać do tego Witosa.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b1b16130d5

na tym, że wyborcy zachowują się jak klient w supermarkecie. Wyborca wchodzi i wybiera sobie z półek to, co wydaje mu się potrzebne, nie myśląc o tym, czy to, co włoży do koszyka, będzie tworzyło całość pozwalającą ugotować obiad. To zaspokojenie doraźnych potrzeb estetycznych, a nie jakiś plan.

Analogicznie jest z podejściem do Trumpa. I w tym wypadku zwraca uwagę to, że o ile prawica z reguły na swoim filoamerykanizmie wygrywała w ostatnich latach, o tyle w tym wypadku nie wyczuła zmiany postaw społecznych.

XX w. i początku XXI w. Najstarsza część elektoratu prawicy już pewnie do końca swoich dni będzie egzystowała w cieniu mitu Ameryki, Reagana i Trumpa. Dla konsolidacji żelaznego elektoratu PiS ma to więc pewien sens. Natomiast w szerszej skali staje się coraz bardziej dyskusyjne. Trudno dziś sobie wyobrazić, by plany ekspansji trumpistów na Europę, szukania dużych partnerów politycznych, głównie wśród twardej prawicy, ale z reguły określanej mianem populistycznej, mogły rokować sukces. Może raczej się zdarzyć, że potencjalni partnerzy

Na naszych oczach zaczyna się erozja mitu Ameryki. Dotyczy przede wszystkim młodych ludzi, głosujących na lewicę, KO czy Konfederację.

Nie poszła drogą Czarzastego.

– Który zdaje się pierwszy wyczuł, jaką drogą będzie to szło w świadomości społecznej. Bo na naszych oczach zaczyna się erozja mitu Ameryki. Dotyczy przede wszystkim młodych ludzi, głosujących na lewicę, KO czy Konfederację. Dla nich Ameryka normalnieje. A jak normalnieje, to przyglądają się jej już nie przez różowe okulary. Ci młodzi ludzie wiedzą, jaki jest poziom życia w Stanach Zjednoczonych, jak wygląda ochrona zdrowia i kwestia bezpieczeństwa publicznego.

I mówią, że u nas lepiej.

– To było nie do pomyślenia w świecie wielkich mitów końca międzynarodowi polskiej prawicy, nawet jeśli odniosą sukcesy w wyborach w Europie, będą grali własną grę, pragmatyczną. Czyli nie będą proamerykańscy.

Czy w takim razie liderzy naszej prawicy będą chcieli, żeby Trump przyjechał do Polski i wzywał do głosowania na PiS czy na listę Nawrockiego?

– Nie ulega wątpliwości, że możliwość kontaktu z Trumpem, zdjęcia itd. bardzo pomogły „człowiekowi znikąd", którym był Karol Nawrocki. To go bardzo wzmacniało i oczywiście było pochodną doświadczenia PiS – kontaktów z republikanami. W tej chwili takie sytuacje niewiele by PiS pomogły, natomiast z pewnością stanowiłyby paliwo dla koalicji rządzącej. Nawet ci, którzy patrzą przychylnie na Stany Zjednoczone i na samego Trumpa, nie mogą zaprzeczyć, że już nie wiadomo za bardzo, o co mu w polityce chodzi. Owszem, można prowadzić politykę, która większości nie będzie się podobać, ale pod jednym warunkiem – że wszyscy będą wiedzieli, do czego ta polityka zmierza. Natomiast tu w dużej mierze mamy do czynienia z chaosem. A remedium na chaos w jednej dziedzinie okazuje się jego powiększenie w drugiej. I nie widać żadnej sprawy, która w prosty sposób mogłaby szybko się zakończyć sukcesem politycznym Trumpa.

Trump zatem polskiej prawicy pomaga czy raczej przeszkadza?

– W obecnej sytuacji pomógłby jej minimalnie, natomiast pośrednio by zaszkodził. Przypominam, prawica w Polsce jest bardzo zróżnicowana. I choć Jarosław Kaczyński wewnątrz niej wygrał rozgrywkę wokół Trybunału Konstytucyjnego – wszyscy musieli się stawić, by bronić instytucji i działań PiS w tej materii – to nie zaciera owego pluralizmu. Zwłaszcza Konfederacja, która ma wyborców w olbrzymim procencie niezaczerpniętych z PiS, młodych, może być chętna do zdystansowania się od Trumpa. Tym bardziej że młode pokolenie jest czułe na jego anachroniczny styl uprawiania polityki, a także na kwestię polityki bliskowschodniej w jego wykonaniu.

Czyli w Polsce polityka coraz bardziej polega na tym, żeby być przeciw. Prawicę przede wszystkim jednoczy Tusk?

– Powiedziałbym, że z dwóch Donaldów dla polskiej prawicy dużo bardziej użyteczny jest Tusk. PiS, wiadomo, zawsze przedstawiało siebie jako antytezę Tuska. Natomiast dla wyborców Konfederacji może być przedstawiany jako uosobienie starego świata. A Konfederacja chciałaby z tym światem walczyć. Stąd pytanie, co byłoby bez Tuska. Czy bez niego wewnątrz polskiej prawicy byłaby jakakolwiek nić porozumienia?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Odszedł

dr Eugeniusz Rudczyk

Absolwent Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.
Lekarz z powołania. Aktywnie zabiegał o przywrócenie WAM.
Dla licznych pacjentów doktor Judym. Pomocny, życzliwy i serdeczny.
Entuzjasta i optymista do ostatnich godzin życia.
Mój przyjaciel. Czytał „Przegląd", bliski mu ideowo, i nasze książki.

Braciom, Pawłowi i Czesławowi, oraz Bliskim Gienia bardzo współczuję

Jerzy Domański

eprasa.pl b1b16130d5

Parkingowa samowolka pod lupą aktywistów

Maciej Belowski



Zaparkowany na chodniku samochód, dostawczak stojący na przejściu, ktoś „tylko na chwilę" zajmujący ścieżkę rowerową – takie widoki znamy z ulic. Pieszy musi zejść na jezdnię, bo nie ma jak przejść, a kierowca złości się na kogoś, kto wbiega na drogę w niedozwolonym miejscu. Każdy ma wytłumaczenie: „wszyscy tak robią", „nie miałem gdzie stanąć", „śpieszyłem się". Dziś coraz częściej nagrania takich sytuacji trafiają do internetu. I dzielą ludzi na zwolenników i przeciwników aktywistów z kamerami.

Jednym z najbardziej znanych jest Wojciech Galeński, twórca kanału Samochodoza (@Wojtek_dokladnie_Samochodoza), subskrybowanego przez ponad 133 tys. osób. Jego działalność budzi pytanie, czy nagrywający kierowców uczą szacunku do pieszych, czy tylko dolewają oliwy do ognia.

Od błota na chodniku do tysięcy subskrybentów

Na co dzień Galeński jest kierowcą autobusów. Równolegle prowadzi kanał, na którym dokumentuje przewinienia kierowców i akcje dotyczące złego parkowania: na terenach zielonych, chodnikach, przejściach dla pieszych czy drogach dla rowerów. Zgłasza je policji i straży miejskiej, często dyskutuje z kierowcami na miejscu zdarzenia.

W filmikach Galeńskiego powtarza się kilka schematów. Nagrywa scenki z komentarzem i po kilku tygodniach wraca sprawdzić, co się zmieniło. Czasem staje na chodniku lub ścieżce rowerowej na drodze auta, które popełniło wykroczenie, albo gdy kierowca próbuje po chodniku objechać jezdnię zablokowaną przez źle zaparkowane auta. Tłumaczy mu wykroczenie i wzywa policję lub straż miejską. Bywa też żartobliwie – jak w filmiku sprzed sześciu lat, gdzie zasypał auto zaparkowane na pasie zieleni trawą. Kierowcy reagują różnie: jedni przyznają się do błędu, drudzy wdają w ostre rozmowy, niekiedy dochodzi do przepychanek, a nawet próby przejechania.

Samochodoza z nazwy kanału to „dziwna choroba cywilizacyjna", którą Galeński opisał w filmie z czerwca 2020 r.: uzależnienie od samochodu, które każe niszczyć mienie i narażać zdrowie innych.

Podobną działalność prowadzi Konfitura, czyli Maksym Szewczuk. On także dokumentuje przypadki złego parkowania i reaguje na nie na miejscu. W maju 2026 r. w filmie „Bagażnik doświadczeń (Wileński – odc. 2)" pokazał, jak kierowcy mimo wolnych miejsc parkingowych 100 m dalej wjeżdżają pod samo wejście cerkwi. Obaj twórcy internetowi należą do najbardziej rozpoznawalnych w Polsce osób walczących z nieprawidłowym parkowaniem, czasem nawet współpracują.

A zaczęło się od chodnika w centrum Warszawy w 2012 r., w czasie mistrzostw piłkarskich. – To było w Alejach Jerozolimskich, mniej więcej pod numerem 100. Kierowcy jeździli po chodniku i parkowali na trawniku, który zamienił się w błoto. Później błotem stał się sam chodnik, piesi w nim grzęźli, a płyty klawiszowały i ochlapywały ubrania – opowiada Galeński.

Najpierw robił zdjęcia i dzwonił do służb, dopiero potem sięgnął po kamerę. Jedno z nagrań wrzucił do sieci dla znajomych. – Nagle film stał się wiralem. W jeden dzień było

FOT. WOJCIECH GALEŃSKI/FACEBOOK

eprasa.pl b1b16130d5

100 tys. wyświetleń, potem poszło dalej, na Wykop (polski serwis społecznościowy typu social news – przyp. red.). Okazało się, że ludzie to oglądają – wspomina.

Przez pierwsze lata działał, jak podkreśla, wyłącznie z pobudek społecznych. Dziś kanał ma własną dynamikę, a z działalnością wiążą się pieniądze. – Setki osób rocznie podchodzą do mnie na ulicy, dziękują, gratulują. To mnie napędza: zasięgi motywują do kolejnych filmów, a te dają kolejne zasięgi. Pieniądze od widzów rekompensują trud, bo to nie są tylko śmieszne rozmowy z kierowcami, to również rozmowy trudne oraz godziny spędzone przed komputerem.

Za najważniejszą w swojej działalności uważa edukację. – Myślę, że ten cel już został osiągnięty, bo takich kanałów jak mój jest w Polsce z pięć. Teraz tłumaczymy szczegóły, np. po co są dane przepisy, komu i czemu służą. Nie jestem ślepym strażnikiem przepisów – tłumaczy. Jego zdaniem pieszy, zwłaszcza starszy, o kulach czy dziecko, powinien być traktowany przez kierujących jak „święta krowa". Przyznaje też, że lubi przekonywać ludzi do swoich racji. – Największą satysfakcję mam, gdy kierowca uznaje, że popełnił błąd.



Aktywista Wojciech Galeński, twórca kanału Samochodoza, subskrybowanego przez ponad 133 tys. osób.

Pożyteczna zabawa w szeryfa

Akcje bywają różne, od żartu po sytuacje groźne. Na filmach widać próby przejechania, spychanie zderzakiem i szarpaniny. Czy agresja kończy się na ekranie? Galeński mówi, że hejt dotyka go głównie w sieci. – Twarzą w twarz powiedziały mi, co o mnie myślą, tylko trzy osoby, nie licząc tych, które nagrywam. Reszta to internet, tam ludzie czują się bezpieczni i pozwalają sobie na więcej. Obelgi zdarzają się jednak i na ulicy.

Bardziej niepokoi go zmiana reakcji policji. Z jego relacji wynika, że interwencje coraz częściej obracają się przeciw niemu. – Kiedyś kończyło się pouczeniem albo lekceważeniem tematu. Dziś spotykam się z agresją również w wykonaniu policjantów. Jeden z nich wkładał mi prowokująco w twarz rękę z długopisem, żebym się odwinął. Inny wyrwał mi kamerę z roweru – twierdzi Galeński.

Podaje też przykład rowerowej przejażdżki z żoną. Zgłosił policjantom zbyt bliskie wyprzedzanie ich przez auto, co kierowca potwierdził. Interwencja skończyła się jednak tym, że Galeński zdenerwował się i zaklął, za co dostał 100 zł mandatu. – Role się odwracają. Oni szukają moich wykroczeń – mówi. Zastrzega, że nie wszyscy policjanci tacy są. – Jeden powie: „Panie Wojtku, popieram pana", drugi pozdrowi mnie na ulicy, ale są i inni, którzy tak prowadzą czynności, żeby uprzykrzyć mi życie.

Przyznaje, że i jemu zdarzały się poważne wpadki – jak stłuczenie szyby w lutym tego roku. Chodzi o zdarzenie z 19 lutego przy ul. Noakowskiego w Warszawie. Galeński opublikował jednak krótkie wideooświadczenie, w którym odniósł się do zdarzenia.

Internet jest podzielony. Na Reddicie część pisze, że takich ludzi potrzeba sto razy więcej, bo kierowcy parkują na chodnikach, a służby machają ręką, inni uznają cel za słuszny, ale metody za zbyt ostre. Pod filmami na TikToku i Facebooku obok gratulacji pojawiają się komentarze typu „kapuś-konfident społeczny" albo zarzut, że autor „bawi się w szeryfa". Na forach internetowych i pod postami dotyczącymi źle zaparkowanych aut zachęty do nalepiania naklejek i rysowania markerami po karoserii mieszają się z pogróżkami pod adresem takich nagrywających jak Samochodoza i Konfitura: „Oni kiedyś źle skończą i to nie groźba, a przepowiednia".

Dlaczego za kierownicą puszczają nerwy

Dlaczego uprzejmy na co dzień sąsiad potrafi zastawić chodnik albo zajechać drogę pieszemu? Dr Wojciech Korchut, psycholog transportu z Uniwersytetu SWPS, wskazuje trzy przyczyny, a jako pierwszą duże zantagonizowanie naszego społeczeństwa: – To, co dzieje się na drodze, jest odzwierciedleniem tego, co dzieje się w naszym kraju. Polskie społeczeństwo jest bardzo spolaryzowane i widać to w każdej dziedzinie. Ci sami ludzie sieją hejt albo są na niego narażeni w polityce czy gospodarce. Trudno, żeby na drogach było inaczej, bo to są te same osoby.

Drugi powód to anonimowość. – Jeśli zwrócę komuś uwagę w sklepie, nie jestem anonimowy ani ja, ani on. W samochodzie jesteśmy trochę anonimowi. Wystarczy kilka wizyt na siłowni, żeby podejść do drugiego auta i kopnąć w oponę – ocenia dr Korchut.

Trzeci to status. – Staliśmy się społeczeństwem konsumentów i zbieraczy dóbr, więc widzimy wrogów tam, gdzie zagrożone jest nasze dobro. Samochód jest dla wielu wyznacznikiem statusu społecznego, dlatego gdy ktoś zwraca nam uwagę, reagujemy bardziej emocjonalnie niż praktycznie – wyjaśnia psycholog.

Zastrzega jednak, że nie każdy kierowca tak się zachowuje. – Do tego trzeba posiadać określone cechy

eprasa.pl b1b16130d5

osobowości, np. niewielką empatię lub obniżony samokrytycyzm. To może być bardzo wykształcony człowiek, mający sporą wiedzę ogólną, ale brakuje mu tzw. inteligencji społecznej. Dotyczy to szczególnie osób, u których hierarchia potrzeb koncentruje się na własnym ego.

Czy działania aktywistów mogą to zmienić? Dr Korchut jest sceptyczny. – To działania pozorne, bo i efekt jest mało znaczący – ocenia. Nie wierzy też w same kary. – Karami nawyków się nie zmieni. Skuteczniejsze byłyby nagroda i porządna edukacja, a dziś szkoły jazdy uczą głównie znaków i parkowania między słupkami.

Widzi jednak poprawę w relacjach kierowców z pieszymi. – Kierowca przed pasami coraz częściej zaprasza gestem, a piesi dziękują skinieniem głowy – mówi. To zmiana z ostatnich pięciu lat. Na szybką przemianę mentalności obecnych kierowców psycholog jednak nie liczy: – To pokolenie dzisiejszych kierowców jest już stracone. Musimy zacząć od edukacji.

Bitwa na paragrafy

Gdy aktywista staje przed maską, pojawia się pytanie o prawo. Oskar Możdżyń, prawnik z portalu AutoPrawo.pl, uprzedza, że jednoznacznych odpowiedzi nie ma, a wyczerpujące omówienie tematu wymagałoby napisania podręcznika. Komentuje więc te zagadnienia, które najczęściej pojawiają się w filmach.

Zaczyna od kierowców: – Takie zachowania można rozpatrywać na gruncie kilkunastu różnych przepisów, które dopiero w połączeniu stosuje się do konkretnej sprawy. Kierowca prawie zawsze za coś odpowie, jeśli będzie próbował złamać taki opór. Minimum to art. 217 Kodeksu karnego, naruszenie nietykalności cielesnej, nawet bez uszczerbku na zdrowiu. W 2019 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia (wyrok z 2 października, sygn. II K 261/18) uznał za takie działanie popychanie autem mężczyzny stojącego przed maską, ale odstąpił od wymierzenia kary kierowcy, bo pokrzywdzony wcześniej pokazywał mu obraźliwe gesty.

Odpowiedzialność może jednak też ponieść aktywista. – To art. 90 Kodeksu wykroczeń – tamowanie lub utrudnianie ruchu. Gdy przyjeżdża policja, może zaproponować mandaty obu stronom – wyjaśnia Możdżyń i przywołuje sprawę z 2017 r. (Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia, wyrok z 5 stycznia, sygn. XI W 4183/16). Sąd ukarał naganą pieszego, który stanął na jezdni, żeby zatrzymać kierowcę regularnie jadącego pod prąd. – Sąd uznał, że to, co robił ten człowiek, jest społecznie ważne, ale od tego są służby.

Prawo, jak tłumaczy Możdżyń, polega na ważeniu dóbr. – Z jednej strony, mamy tymczasowe ograniczenie swobody kierowcy, który nie może odjechać, z drugiej – porządek ruchu, bo dziesiątki osób muszą ominąć auto albo nie przejdą z psem po rozjeżdżonym trawniku. Jedni uznają za ważniejsze jedno, drudzy – drugie.

A trawa czy naklejki na aucie? Takie rzeczy mogą być złośliwym niepokojeniem z art. 107 Kodeksu wykroczeń, ale ciąganie się za coś podobnego po sądach to teoria, bo angażowanie organów ścigania i sądów do takich spraw to typowe pieniactwo. Z orzeczeń, które prawnik przesłał redakcji, wynika, że o uszkodzeniu auta z art. 288 Kodeksu karnego można mówić, gdy do naprawy nie wystarcza umycie czy wypolerowanie karoserii. Tak uznał sąd w sprawie mężczyzny, który kluczami zarysował zaparkowane auto (Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa, wyrok z 13 sierpnia 2015 r., sygn. III K 286/15).

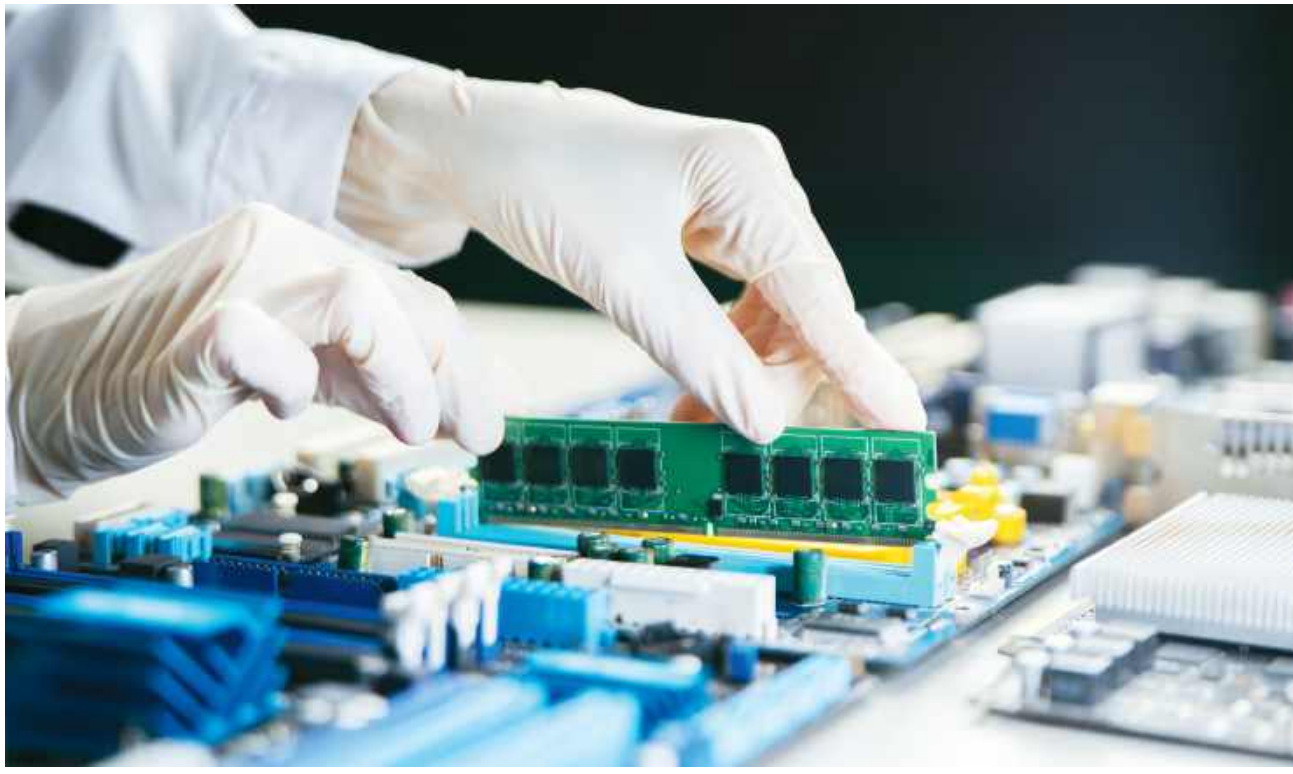
Mecenas źródło konfliktu widzi gdzie indziej. – Służby są angażowane przez opieszałość zarządców dróg i złe projektowanie przestrzeni miejskiej. To one dostają rykoszetem za brak parkingów i słabo rozwinięty transport publiczny – wskazuje. Podkreśla też, że kierowcy mają większą odpowiedzialność. – Nawet jeśli moje prawa zostały naruszone, muszę pamiętać, że siedzę w potężnej maszynie, którą można zrobić dużą krzywdę. To nie przepychanka dwóch aut, tylko samochód kontra człowiek. Nawet przy bardzo małej prędkości można kogoś poważnie uszkodzić.

Czy kamery uczą szacunku, czy tylko podgrzewają spór – pytanie pozostaje otwarte. Najważniejszy jest jednak człowiek. Konflikty rodzą się na drodze, ale stoją za nimi ludzie: w ciągu dnia bywają zarówno kierowcami, jak i pieszymi czy rowerzystami. Łatwo o tym zapominamy.

Maciej Belowski



eprasa.pl b1b16130d5



RAM na wagę złota

Jak sztuczna inteligencja wystawiła rachunek elektronice

Marek Czarkowski

Ktoś, kto chciałby dzisiaj zbudować komputer wyposażony w solidną kartę graficzną, przeżyje szok, gdy zobaczy cenę modelu MSI GeForce RTX 5070 Ti Gaming Trio wyposażonego w 16 GB pamięci GDDR7 – między 6 tys. a 7 tys. zł. Na początku 2025 r., gdy na rynku pojawiły się pierwsze karty wyposażone w układy GeForce RTX 5070 Ti, kosztowały 3899 zł.

A to nie koniec. By stać się właścicielem karty graficznej Asus ROG Astral GeForce RTX 5080 OC 16GB GDDR7, trzeba mieć w portfelu nawet 16 499 zł. Cena Gigabyte Aorus GeForce RTX 5090 Master ICE 32GB GDDR7 to już prawie 41 tys. zł. Rekord należy do monstrum o nazwie PNY RTX PRO 6000 Blackwell Server Edition 96GB GDDR7, którego cena może sięgać od 71 tys. do nawet 130 tys. zł!

Także ceny pamięci RAM, bez której nie będzie działał żaden komputer, poszybowały w górę. Jeśli na przełomie lat 2024-2025 standardowe 32 GB RAM kosztowało 350-550 zł, to dziś cena mieści się w przedziale 2,3-2,5 tys. zł. A najbardziej wypasione wersje to wydatek ponad 8 tys. zł!

I pomyśleć, że jeszcze w roku 2023 najwięksi producenci – południowokoreańskie Samsung Electronics i SK Hynix (ich łączny udział w światowym rynku pamięci to 67%) oraz amerykański Micron Technology (22% udziału) – ograniczali pracę fabryk, aby zatrzymać gwałtowny spadek cen układów scalonych. Dzisiaj producenci komputerów walczą o dostawy, a branża ostrzega przed kolejnymi latami napięć. A przecież w tym czasie nie zniknął krzem ani nie doszło do wielkiej katastrofy.

Wystarczyło, że zmienił się klient. Obecnie lepszymi klientami są firmy budujące gigantyczne centra danych, służące rozwojowi modeli sztucznej inteligencji.

Pandemiczny rachunek

Początku tej historii trzeba szukać w przyśpieszeniu zakupów w czasie pandemii COVID-19. Praca i nauka w domu sprzyjały sprzedaży komputerów, tabletów i urządzeń sieciowych, a niepewność dostaw zachęcała firmy takie jak Dell czy Lenovo do gromadzenia zapasów. Gdy jednak gospodarstwa domowe i firmy wyposażyły już stanowiska pracy w pecety i laptopy, rynek się załamał. W końcu nikt nie kupuje co roku nowego sprzętu. Z perspektywy koncernów wyglądało to jak załamanie się popytu.

Już w ostatnim kwartale 2021 r. ceny układów pamięci zaczęły spadać. Pogorszenie się koniunktury było spowodowane rozbudową linii

eprasa.pl b1b16130d5

produkcyjnych pod wcześniejszy wzrost i słabnącym zapotrzebowaniem. W konsekwencji światowe przychody ze sprzedaży zmniejszyły się w trzecim kwartale 2022 r. o 28,8% względem poprzedniego kwartału, a w czwartym spadły o kolejne 32,5%. To była katastrofa.

W ostatnim kwartale 2022 r. kontraktowe ceny serwerowych pamięci DDR4 obniżyły się o kolejne 23-28%, a serwerowych DDR5 – o 30-35%. Ich producenci schodzili z ceny, próbując w ten sposób skłonić klientów do zakupów.

Samsung zwiększał dostawy, ale jego przychody i tak malały, bo ustępstwa cenowe były zbyt głębokie. Amerykański Micron Technology zapowiedział ograniczanie produkcji. Mniejszy japoński producent Kioxia Corporation zdecydował o zmniejszeniu mocy produkcyjnych o 30%. Południowokoreański SK Hynix w październiku 2022 r. zapowiedział cięcia nakładów inwestycyjnych w kolejnym roku o ponad połowę.

Pod koniec 2023 r. sytuacja zaczęła się odwracać. W październiku analitycy prognozowali, że w czwartym kwartale ceny kontraktowe pamięci wzrosną o 3-8%. Wszystko zmieniło się zaś w roku 2024.

30 listopada 2022 r. amerykańska firma OpenAI oficjalnie uruchomiła darmową wersję badawczą ChatGPT – pierwszy zaawansowany system konwersacyjny oparty na sztucznej inteligencji, który stał się katalizatorem globalnej rewolucji w tej dziedzinie. Jednocześnie okazało się, że AI potrzebuje bardzo dużo nowoczesnych układów pamięci. Akceleratory sprzętowe, czyli wyspecjalizowane układy scalone zaprojektowane tak, by z maksymalną wydajnością wykonywać operacje matematyczne leżące u podstaw nowoczesnego uczenia maszynowego i głębokiego uczenia, potrzebowały szybkiego dostępu do danych używanych podczas obliczeń. Serwery musiały mieć własne układy pamięci operacyjnej do pracy procesorów, przygotowania zadań i obsługi całego systemu. Centra danych potrzebowały zaś pamięci po to, by przechowywać zbiory treningowe, modele, wyniki oraz informacje wykorzystywane przy odpowiadaniu użytkownikom.

Szczególnie potrzebne były układy pamięci HBM (High Bandwidth Memory) o bardzo wysokiej przepustowości. Firmy budujące centra danych zaczęły składać ogromne zamówienia u producentów pamięci – Samsunga, SK Hynix i Micron Technology.

Najlepszym rozwiązaniem okazało się przestawienie linii produkujących tradycyjne pamięci RAM na produkcję pamięci HBM. Oznaczało to ograniczenie produkcji układów stosowanych w kartach graficznych, laptopach i PC. A to z kolei oznaczało bardzo szybki wzrost cen tych układów na półkach sklepowych. Wzrost, który nieprędko się zakończy, bo wspomniani główni producenci bardzo ostrożnie mówią o budowie nowych fabryk i linii produkcyjnych. Samsungowi i SK Hynix odpowiada sytuacja, w której szefowie firm technologicznych rozwijających sztuczną inteligencję osobiście udają się z wizytami do Korei Południowej, by prowadzić negocjacje i zapewniać swoim spółkom dostawy pamięci na lata naprzód.

Telewizor i smartfon też mają pamięć

Telewizor bywa postrzegany jako ekran z głośnikami, ale modele typu Smart są również komputerami. Ich pamięć operacyjna wykorzystywana jest do pracy systemu i aplikacji, do przetwarzania danych, przechowywania oprogramowania i zainstalowanych usług. Telewizory nie potrzebują wyrafinowanych pamięci HBM takich jak akceleratory AI. Może jednak odbić się na nich ograniczenie produkcji innych układów, zmiana priorytetów dostawców i wycofywanie starszych rodzajów kości (czyli układów scalonych). Znaczenie ma cena urządzenia. W telewizorach pamięć nie jest jedynym ani najważniejszym składnikiem kosztów – liczą się też panele, elektronika, obudowa i logistyka.

Oszczędzanie na pamięciach ma jednak granice. Za mało pamięci RAM może utrudniać płynną pracę telewizora, a jego właściciel zwykle nie dołoży po zakupie dodatkowego modułu pamięci – tak jak to bywa w komputerze stacjonarnym. Oszczędność producenta ciąży zatem użytkownikowi przez cały okres eksploatacji urządzenia.

Dlatego skutki podwyżek cen tych układów trzeba mierzyć nie tylko kwotą na rachunku. Ważna jest również relacja ceny do wyposażenia i zdolność sprzętu do sprawnej pracy w kolejnych latach. Jeśli nowa generacja telewizorów pozostaje przy tej samej ilości pamięci mimo bardziej wymagającego systemu, konsument otrzyma za swoje pieniądze mniej.

Na przełomie lat 2024-2025 standardowe 32 GB RAM kosztowało 350-550 zł. Dziś cena mieści się w przedziale 2,3-2,5 tys. zł.

To samo dotyczy smartfonów, konsol do gier i innych urządzeń elektronicznych. Producenci smartfonów, tacy jak Xiaomi, Apple, Oppo, Huawei czy Motorola, zmuszeni są ograniczyć liczbę modeli i rezygnować ze zwiększania pamięci.

Dekodery, routery oraz urządzenia inteligentnego domu nie potrzebują wielu gigabajtów, ale koszt ich przeprojektowania i późniejszych testów może być nieproporcjonalnie wysoki w relacji do wartości pojedynczego układu.

W o wiele gorszej sytuacji znaleźli się producenci samochodów, które dziś są tak naprawdę komputerami na kołach. Dotyczy to zwłaszcza samochodów elektrycznych. Jeśli w 2023 r. zapotrzebowanie przeciętnego auta na pamięci wynosiło ok. 90 GB, to obecnie sięga ono 278 GB.

Wszystkie europejskie koncerny motoryzacyjne, takie jak Volkswagen Group, Stellantis, Renault Group, Mercedes Benz i BMW, zmuszone

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b1b16130d5

były czasowo zatrzymywać linie produkcyjne z powodu problemów z dostawami układów do swoich modeli. Trzeba też było podnieść ceny i zadowolić się skromniejszymi marżami. Wzrost cen tych podzespołów zmusił producentów samochodów do ograniczania w tańszych wersjach modeli zaawansowanych systemów wspomagania kierowcy (ADAS) lub do podnoszenia cen gotowych pojazdów.

Pamiętać przy tym należy, że elektronika w motoryzacji musi spełniać rygorystyczne normy odporności na skrajne temperatury i drgania, a certyfikacja nowych układów trwa miesiącami. Dlatego koncerny motoryzacyjne nie mogą łatwo sięgnąć po tańsze zamienniki. Co oznacza czasem miliardowe straty.

Dzieje się tak, gdyż spółki rozbudowujące infrastrukturę sztucznej inteligencji płacą za układy pamięci więcej i nawet Volkswagen czy Stellantis nie mogą z nimi konkurować.

Mroczne perspektywy

Przyszłość nie rysuje się w różowych barwach. Cytowany przez magazyn „PC Gamer" szef Micron Technology Sanjay Mehrotra powiedział, że w latach 2027-2028 popyt na pamięci będzie przewyższał podaż. „Nie widzimy momentu, w którym podaż dogoni popyt", stwierdził i tłumaczył, że budowa nowych czystych pomieszczeń, w których można by produkować te układy, trwa długo, a możliwości nowo uruchamianej linii produkcyjnej są zwiększane stopniowo.

Jeszcze dłuższą perspektywę przedstawił Kwak Noh-jung, prezes SK Hynix. Według relacji serwisu ITHardware sytuacja taka będzie się utrzymywać do końca 2030 r. Szef południowokoreańskiego koncernu również miał wskazywać jako przyczynę popyt związany z AI.

Także Samsung nie ukrywa, do kogo kieruje ofertę. W listopadowej relacji portalu MoneyToday Kim Jaejune kierujący działem produkcji pamięci zapowiadał dalsze zwiększanie udziału w sprzedaży układów HBM, serwerowego DRAM i SSD w odpowiedzi na rosnący popyt ze strony właścicieli centrów danych obsługujących AI.

Dla tych trzech gigantów obecna sytuacja jest finansowym eldorado. Po latach bolesnych strat spowodowanych powtarzającymi się cyklami nadpodaży dzisiaj ich zyski są rekordowe. Wzrost cen pamięci to zaś naturalny mechanizm rynkowy, w którym ograniczona podaż musi zrównoważyć bezprecedensowy głód centrów danych.

Szef OpenAI Sam Altman nie ukrywa, że z perspektywy rozwoju sztucznej inteligencji tradycyjne podejście do podziału zasobów pamięci na świecie jest nieefektywne. W publicznych wypowiedziach wprost twierdził, że pamięć RAM znajdująca się w zwykłych domowych komputerach czy laptopach to „okropna" alokacja rzadkich zasobów. Według jego narracji gigantyczne ilości pamięci są marnowane w urządzeniach końcowych, których potencjał użytkownicy wykorzystują w ułamkowym procencie, a światowe zasoby tych układów powinny płynąć tam, gdzie budowana jest prawdziwa inteligencja – czyli do wielkich centrów danych.

Jeśli w 2023 r. zapotrzebowanie przeciętnego auta na pamięci wynosiło ok. 90 GB, to obecnie sięga 278 GB.

Podobny pogląd prezentuje Dario Amodei, szef Anthropic, który mówi, że o ile we wczesnych latach wyścigu założenie brzmiało: „im więcej układów i pamięci dokupimy, tym lepszy model AI dostaniemy", o tyle dziś zaczynają się liczyć ogromne koszty, ograniczenia energetyczne oraz trudności w pozyskiwaniu surowców i zaawansowanych komponentów półprzewodnikowych.

Dla Amodeiego i Altmana pamięć HBM oraz szybkie układy DRAM to kwestia być albo nie być w wyścigu o AGI (sztuczną inteligencję ogólną). Ich zdaniem wysokie ceny w sklepach czy problemy składających komputery graczy są marginalnym efektem ubocznym transformacji cyfrowej o historycznej skali – procesu, w którym rynek konsumencki po prostu przegrał walkę o moce produkcyjne fabryk półprzewodników.

Marek Czarkowski



Prenumerata pocztowa PRZEGLĄDU 2027

Jeden egzemplarz w prenumeracie 9 zł

Zamówienia można składać do 25 listopada 2026 r.

117 zł – I kwartał 234 zł – I półrocze 468 zł – cały rok

We wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: **sklep.poczta-polska.pl**

eprasa.pl b1b16130d5



Z Galicji

Jan Widacki

Wyjście z sytuacji bez wyjścia

Najpierw kilka bezspornych faktów, o których należy pamiętać. Trybunał Konstytucyjny składa się z 15 sędziów, wybieranych przez Sejm na dziewięcioletnią, niepowtarzalną kadencję. Właśnie skończyła się kadencja ośmiu spośród nich. Sejm zgodnie z prawem wybrał w ich miejsce ośmiu nowych. Obowiązkiem nowo wybranych sędziów jest złożenie ślubowania, zgodnie z prawem „wobec prezydenta". Obowiązkiem prezydenta jest ślubowanie od nich przyjąć. Prezydent wywiązał się z tego obowiązku wobec trzech. Od reszty ślubowania nie przyjął. Co więcej, zaczął kwestionować wybór dokonany przez Sejm. Takich uprawnień nie ma. Powtórzmy raz jeszcze: prezydent mianuje sędziów sądów powszechnych i Sądu Najwyższego. Ale nawet tu nie może ich powoływać wedle swego widzimisię, tylko po rekomendacji Krajowej Rady Sądownictwa. W stosunku do sędziów TK nie ma nawet takiego uprawnienia. Ich wybiera Sejm. Tu funkcja prezydenta jest wyłącznie ceremonialna. Ma przyjąć ślubowanie od nowo wybranych sędziów, nadając wydarzeniu wysoką rangę swoją obecnością. Uchylanie się przez niego od tego obowiązku jest deliktem konstytucyjnym, za który powinien być pociągnięty do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu.

Wobec postawy prezydenta wybrani przez Sejm sędziowie tam złożyli ślubowanie, w obecności marszałka, a podpisany tekst ślubowania przesłali prezydentowi. Prezydent nie uznaje tego ślubowania za ważne, co więcej, uważa, że nowo wybrani sędziowie nie są sędziami. Posłuszny prezydentowi, ale nieposłuszny konstytucji prezes TK pan Święczkowski nie dopuszcza nowych sędziów do orzekania. Ma w tym nie tylko polityczny interes swojego środowiska, ale także interes jak najbardziej osobisty. Prokuratura domaga się uchylenia mu immunitetu i chce mu postawić zarzuty karne. Immunitet może uchylić tylko Trybunał. Niekompletny TK nie działa. Jeden z najważniejszych organów państwa, mający za zadanie kontrolę konstytucyjności aktów prawnych, jest sparaliżowany. Przez prezydenta i swojego prezesa. Nie tylko nie orzeka, nie debatuje nad uchyleniem immunitetu prezesowi, ale nawet nie jest w stanie uchwalić projektu budżetu, bo do tego potrzeba uchwały zgromadzenia sędziów. Bez tego w budżecie na rok następny TK nie będzie miał pieniędzy na funkcjonowanie.

Sytuacja jest patowa. Legalnego wyjścia z niej nie ma. Nie ma też możliwości postawienia prezydenta przed Trybunałem Stanu, bo większość parlamentarna jest za mała, aby tego dokonać. Poza tym ta procedura jest czasochłonna, a sam fakt jej wszczęcia nie zmienia jeszcze sytuacji TK. Ten nadal nie działa. Wobec czego większość składu Trybunału, tych nowych ośmioro sędziów pod przewodnictwem Anny Korwin-Piotrowskiej, przejmuje inicjatywę. Sędzia Korwin-Piotrowska jako sędzia z najdłuższym stażem obejmuje kierownictwo. Stosując odpowiednio przepisy dotyczące Sądu Najwyższego i sądów powszechnych, zawiesza na miesiąc w pełnieniu obowiązków prezesa Święczkowskiego oraz jego zastępcę sędziego Sochańskiego i zwołuje zgromadzenie sędziów.

Polityczni mocodawcy Święczkowskiego z prezydentem Nawrockim krzyczą o zamachu stanu, prezydent przerywa wyprawę do Senegalu, zawraca samolot do Warszawy, po czym jako kwalifikowany ochroniarz wiceprezesa Sochańskiego wprowadza go do TK, przedzierając się przez kordon policji ochraniający budynek od zewnątrz, rozpychając sędziów i bohatersko przełamując fizycznie opór sędzi Korwin-Piotrowskiej. Zdobywszy na chwilę gmach, siedzi w nim później nie wiadomo po co do piątej rano, wreszcie go opuszcza. Sędziowie, którym zdążył powiedzieć, że nie są sędziami, zostają i działają nadal. Przed gmachem gromadzi się tłum elektoratu prawicy i cała czołówka PiS. Jest sam prezes Kaczyński. Chcą wtargnąć do środka, też nie wiadomo po co. By zlinczować obecnych tam sędziów czy tylko ich zastąpić? Poseł Matecki chce sforsować bramę, ale manualnie jest, zdaje się, równie sprawny jak intelektualnie i nie udaje mu się, tym bardziej że policja mu przeszkadza.

Niektórzy wrażliwi prawnicy legaliści do tej pory nawet sympatyzujący z obozem władzy oburzają się, że sędzia Korwin-Piotrowska złamała prawo. Spór dzieli też Fundację Helsińską. Niektórzy prorządowi prawnicy wyczyniają prawniczo-logiczne łamańce, aby uzasadnić legalność postępowania sędzi i pozostałej siódemki. Niepotrzebnie. Z sytuacji patowej, zaistniałej z winy prezydenta, nie ma konstytucyjnie poprawnego wyjścia. Pat miał trwać? Trybunał miał nie działać? Legalnie wybrani sędziowie mieli nie orzekać? Trybunał miał pozostać bez budżetu na rok 2027? Oceniajmy więc nie to, czy prawo zostało nagięte, bo zostało. Musiało być. Zapytajmy nie o to, czy działania te były zgodne z prawem, ale czy służą przywracaniu TK do życia. Czy generalnie służą poprawie praworządności, przerywają bezprawie spowodowane przez prezydenta, skutkujące paraliżem albo wręcz unicestwieniem Trybunału. Gdy celu tego nie da się osiągnąć w zupełnej zgodzie z prawem. Bo żadna konstytucja nie przewiduje sytuacji, w której głównym celem prezydenta jest zwalczanie rządu i paraliżowanie demokratycznych instytucji państwa. Tak na marginesie: Okrągły Stół w 1989 r. też nie był zgodny z konstytucją. ■

eprasa.pl b1b16130d5

Czy niebieskie tsunami zmieni Amerykę?

Porażka Trumpa nie oznacza pozbycia się jego naśladowców

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA



Socjaldemokrata Abdul El-Sayed, nowy senator z Michigan, wyszedł do wyborców z radykalnymi jak na Amerykę rozwiązaniami. Nz. z żoną Sarah Jukaku. Detroit, 4 listopada 2026 r.

Nikt, kogo znam, a kto kibicował w tych wyborach demokratom, nie zaopatrzył się zawczasu w szampana. Sparzyliśmy się na prognozach sondażowni w kilku ostatnich cyklach wyborczych i teraz wręcz karciliśmy się nawzajem za nadstawianie ucha na optymistycznie brzmiące prognozy. Gdy we wtorkowy wieczór wymienialiśmy się ze znajomymi wrażeniami z finału wyborów, większość na kolejne zwycięstwa demokratów reagowała niedowierzaniem. Byli i tacy, którzy w ogóle nie śledzili wiadomości. Nie byli w stanie udźwignąć stresu.

Dmuchaliśmy na zimne

Dzielę się tym doświadczeniem, bo to moim zdaniem konieczne, by zrozumieć nie tylko skalę desperacji, z jaką progresywna Ameryka poszła do wyborów, ale i ogrom wciąż odczuwanego rozczarowania partią po jej wielkiej przegranej przed dwoma laty. Ile zwłaszcza waszyngtoński establishment nadal ma do zrobienia, by odzyskać zaufanie własnej bazy. Wtorkowy triumf pomaga, ale to najbliższe miesiące i lata pokażą, czy demokratów stać będzie na przekucie go w coś trwałego i konstruktywnego, czy może potwierdzi się teza, że niebieskie tsunami wydarzyło się przede wszystkim dlatego, że czerwona ściana przysnęła.

Mamy świadomość ceny, jaką kraj i świat zapłaciły za tamtą przegraną. *Trifecta* republikanów, czyli kontrola nad trzema kluczowymi organami władzy: prezydenturą i obiema izbami Kongresu, szybko przecież przyjęła postać prezydenckiego jedynowładztwa taranującego mechanizmy kontroli i równowagi, a nawet fundamenty amerykańskiej państwowości. Nie przypadkiem w przeddzień wyborów aż 70% Amerykanów bało się, że Trump nie zaakceptuje ewentualnej porażki i Amerykę może czekać kolejny 6 stycznia, tym razem na skalę ogólnokrajową („Washington Post”/ABC News/Ipsos, 20 października 2026).

Prawie połowa wyborców obawiała się zamieszek i ingerencji służb mundurowych, co mogłoby stać się dla Trumpa pretekstem do wprowadzenia stanu wyjątkowego i unieważnienia wyborów (States United Democracy Center/YouGov, luty 2026).

Druga administracja Trumpa zmieniona w jego osobisty dwór i prywatną kancelarię prawną dołożyła przecież wszelkich starań, by zasiać w narodzie przeświadczenie, że ryzyko fałszerstw wyborczych, które będą wymagały specjalnych działań, mamy większe niż kiedykolwiek. Niżej podpisana należy do tych, którzy, zanim dali upust radości z wyników, poczuli przede wszystkim ulgę i wdzięczność za to, że 3 listopada

eprasa.pl b1b16130d5

2026 r. nie przeszedł do historii jako dzień, w którym w Ameryce oficjalnie skończyła się demokracja.

Zostawiliśmy nowy błękitny ślad

Tuż po wyborach w jednej z rzadkich chwil autorefleksji Trump przyznał, że republikanie zebrali cięgi za wywołaną przez niego wojnę w Iranie i spowodowany nią wzrost cen paliwa. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie dodał, że wojnę wywołać musiał, a jej cele wciąż są słuszne i aktualne.

To listopadowe wyborcze referendum dotyczyło również miejsca miliarderów w amerykańskiej polityce. Elon Musk, największy darczyńca republikanów, wpompował w ich tegoroczne kampanie prawie pół miliarda dolarów, w tym ponad 200 mln w Teksasie, gdzie znajdują się siedziby i fabryki jego firm. Mimo to wyścig do Senatu wygrał tam demokrata James Talarico, któremu hasło „Teksas nie jest na sprzedaż" przysporzyło wyborców. Jednocześnie aż w 13 stanach na kartach wyborczych znalazły się propozycje większego nadzoru nad budową i regulacją zasad działania serwerowni AI. Przeszły wszędzie, a ponad połowa wyborców potwierdzała w sondażach exit poll, że stosunek do tej sprawy przesądził o tym, na kogo oddali głos.

Należy jednak podkreślić, że stosunek Amerykanów do większej redystrybucji dochodów pod postacią nowego podatku od majątku miliarderów pozostaje kwestią sporną. Propozycja znalazła się na kartach wyborczych w Kalifornii, ale wniosek „tax the rich" nie przeszedł.

Co oprócz tego, że niebieska fala okazała się niebieskim tsunami – demokraci zapewnili sobie aż 80-osobową przewagę w Izbie Reprezentantów i co najmniej czteroosobową przewagę w Senacie – było największym zaskoczeniem tych wyborów? Stały się nim mocne niebieskie wykwity na czerwonym suknie Głębokiego Południa – stanów żyjących dawniej z bawełny i niewolnictwa.

Liderem tej „niebieskiej niespodzianki" bezapelacyjnie został Teksas. James Talarico, który jako 37-latek będzie najmłodszym członkiem obecnego Senatu, to pierwszy teksański demokrata na tym stanowisku od prawie 40 lat. Ale zmiana kolorów nastąpi również w pałacach gubernatorskim i prokuratorskim. Gubernatora Grega Abbotta, który zyskał światowy rozgłos, gdy w 2023 r., w czasie kryzysu migracyjnego, zamknął przed służbami federalnymi dostęp do części południowej granicy, zastąpi Gina Hinojosa – pierwsza Latynoska na tym stanowisku w historii USA. A prokuratora Kena Paxtona, rywala Talarica w wyścigu o miejsce w Senacie – demokrata Nathan Johnson. Historycznym wydarzeniem jest też przejęcie przez teksańskich demokratów izby niższej stanowego parlamentu – czego nie oglądano w Austin od prawie ćwierć wieku.

Niebieska fala rozlała się także po Karolinie Południowej, gdzie demokratka Annie Andrews pokonała republikankę Darline Graham, siostrę zmarłego kilka miesięcy temu senatora Lindseya Grahama, namaszczoną na jego następczynię osobiście przez Donalda Trumpa. Ostatni raz demokraci z Karoliny Południowej wyjeżdżali do Waszyngtonu pod koniec ubiegłego wieku.

Demokratycznych senatorów wybrały również Karolina Północna i Georgia. Zwycięzca z tej drugiej, przystojny i charyzmatyczny Jon Ossoff, uważany jest za współczesne wcielenie JFK i pierwszorzędny materiał na demokratycznego kandydata w wyścigu prezydenckim w 2028 r. Historię Georgii na niebiesko przepisały także Keisha Lance Bottoms – wygrywając fotel gubernatorski i stając się pierwszą Afroamerykanką na tym stanowisku – oraz Jasmine Clark, pierwsza kongresmenka Afroamerykanka z tytułem doktora nauk.

Ciekawe, nawet jeśli nie tak już brzemienne w skutki, okazały się też zwycięstwa trzech demokratycznych kongresmenów na Florydzie. Trzy miesiące przed wyborami Floryda zarządzana przez trumpistę Rona DeSantisa przerysowała mapy swoich okręgów wyborczych, aby zwiększyć szanse na wygraną republikanów (tzw. gerrymandering). Plan jednak się nie powiódł.

Za najbardziej niesamowity i trzymający w napięciu można chyba uznać scenariusz wyborczy z Missisipi, gdzie o fotel senatora walczył Afroamerykanin demokrata Scott Colom. Gdy ten tekst powstawał, wyniki nadal nie były znane, a Colom miał nad republikańską rywalką Cindy Hyde-Smith 1,8 tys. głosów przewagi. Afroamerykańskiego senatora stan ten nie miał od roku 1881, a demokraty w Waszyngtonie – od roku 1982.

Zmieniliśmy reguły gry

Demokratyczne zwycięstwa na Południu, w bastionie konserwatystów, gdzie dwa lata temu Trump wygrał z kilkunasto-, a nawet kilkudziesięciopunktową przewagą, mają jednak znaczenie także z innego powodu. Sygnalizują, że Południe najprawdopodobniej zacznie też odgrywać nową rolę w wyborach prezydenckich.

Najbliższe miesiące pokażą, czy demokraci przekują wygraną w coś konstruktywnego, czy może niebieskie tsunami wydarzyło się dlatego, że czerwona ściana przysnęła.

Od końca ubiegłego wieku wybory prezydenckie w USA zaczęły wyróżniać dwie rzeczy. Pierwszą była coraz większa przewidywalność wyników głosowania w poszczególnych stanach, za co odpowiadały wspomniany już gerrymandering oraz utrwalające się różnice kulturowe między stanami i całymi regionami kraju (np. „niebieskie wybrzeża" kontra Głębokie Południe). Drugą – rosnące w tym układzie znaczenie tzw. stanów wahających się. Wszystko to ze względu na stosowany w USA system wyborów elektorskich.

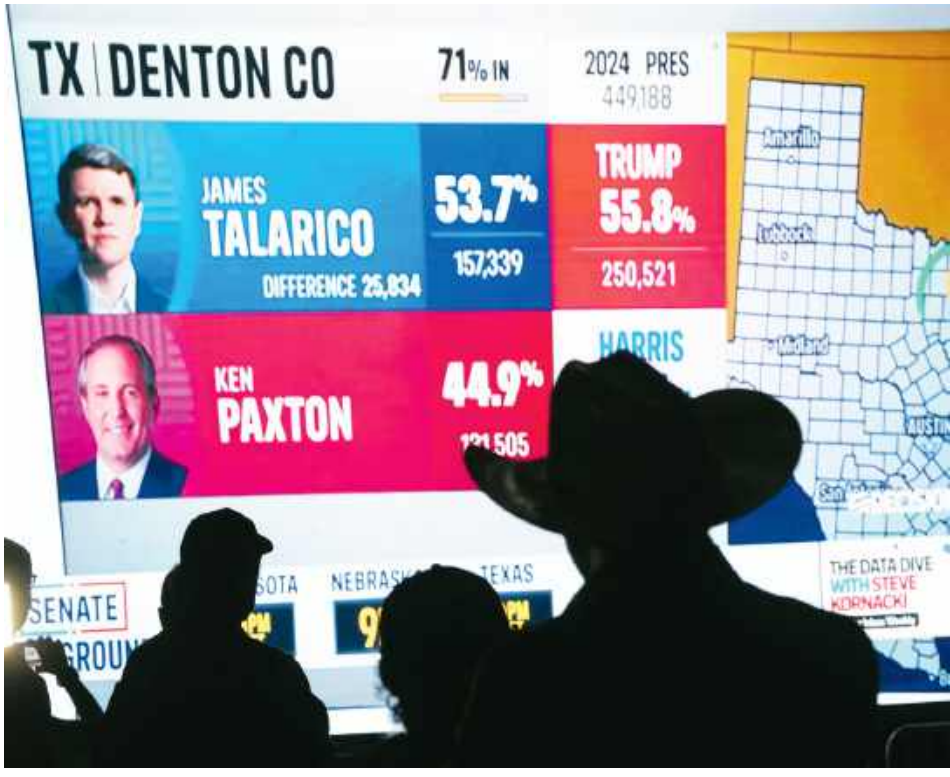
Amerykanie nie wybierają bowiem prezydenta bezpośrednio. Robią to przypisani do każdego stanu

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl b1b16130d5

w określonej liczbie elektorzy, zobowiązani oddawać głosy na tego kandydata, który w ich stanie wygrał w głosowaniu powszechnym. Ponieważ bez stanów wahających się rozłożenie głosów na kandydatów obu stron jest wyrównane, a system działa w formie zwycięzca bierze wszystko, widać, dlaczego realna walka rozgrywa się dziś właściwie tylko tam. Żelazny legion stanów wahających się od dekad tworzą Michigan, Newada, Karolina Północna, Pensylwania i Wisconsin. W 2016 r. dołączyły do nich Arizona i Georgia.

Głębokie Południe w związku z konfederacką przeszłością i historią swojej reorientacji na republikanów jako partię lepiej reprezentującą interesy spadkobierców bawełnianych fortun funkcjonowało dotąd w politycznej świadomości USA jako teren nieprzyjazny demokratom. Jeszcze w maju 2024 r. raport opublikowany przez Rural Voter Institute donosił, że wyborcy z Południa „powszechnie postrzegają demokratów jako politycznych nerdów, a republikanów jako obrońców wartości, przez co ci pierwsi uznawani są za oderwanych od rzeczywistości" („2024 Blueprint for Rural and Small-Town Voter Communication"). Jednak demografowie już od jakiegoś czasu zapowiadają, że Południe będzie się zmieniać, bo od co najmniej dekady jest to najmłodszy, najszybciej rozwijający się i najszybciej dywersyfikujący etnicznie region Ameryki.



37-letni James Talarico zostanie najmłodszym członkiem obecnego Senatu i pierwszym teksańskim demokratą na tym stanowisku od prawie 40 lat.

Zaczynają o tym mówić także politolodzy, np. Michael Li, ekspert z Brennan Center for Justice przy Uniwersytecie Nowojorskim. „Przyszłość polityki naszego kraju będzie w coraz większym stopniu należeć do Południa (…). Jeśli nie zaczniecie zabiegać o poparcie tamtejszego elektoratu, jeśli będziecie jedynie próbować ograniczać siłę głosu czarnych wyborców, Latynosów i Amerykanów pochodzenia azjatyckiego, to gdy ci wyborcy staną się nie tylko istotną siłą polityczną, ale wręcz większością w tych stanach, znajdziecie się na straconej pozycji", zaapelował do republikanów na antenie bostońskiego radia WBUR tuż przed wyborami („The political scramble for the new South", 15 października 2026).

Jon Ossoff uważany jest za współczesne wcielenie JFK i pierwszorzędny materiał na demokratycznego kandydata w wyścigu prezydenckim 2028.

Wiele więc wskazuje na to, że wybory 2026 przejdą do historii USA i nakreślą nową mapę stanów wahających się. I już dziś wiadomo, że zapowiada to niebywale ciekawe czasy. Ruch MAGA i jego kapłani spod sztandaru białych nacjonalistów wpajali przecież wszystkim przez ostatnią dekadę, że sprawiedliwości rasowej już dawno stało się zadość. Poza tym Ameryka jest i powinna pozostać krajem praktykującym tradycje prymatu władzy i kultury białego chrześcijanina. Strategia Południa (używanie języka rasizmu poprzez kody językowe), która wciąż republikanom się opłaca, zostanie wystawiona na ciężką próbę. Z drugiej strony możemy się spodziewać, że walka o głosy Południa będzie w najbliższej przyszłości filarem nowego trumpizmu. Wszak trumpizm jako myśl polityczna i strategia nie zniknie, nie ma co do tego wątpliwości. Ani z chwilą zaprzysiężenia nowego Kongresu w styczniu przyszłego roku, ani nawet za dwa lata, gdy Trump wyprowadzi się z Białego Domu.

Straciliśmy cierpliwość

Co jeszcze pokazały wybory? Że Amerykanie mają już dość politycznych remontów, jakie fundowali im prezydenci przez co najmniej ostatnie ćwierćwiecze, i żądają realnej transformacji. Kompromitacja Trumpa, do której doprowadziła nie tylko jego nieodpowiedzialna i arogancka polityka, ale i bezprecedensowa korupcja, to jasny sygnał zarówno dla kandydatów, jak i dla społeczeństwa, że czas oczekiwania naprawdę się skończył. Na tym zresztą polegał fenomen demokratycznych kampanii

eprasa.pl b1b16130d5

i kandydatów, którzy zabłysnęli w tych wyborach najmocniej. Socjaldemokratów pokroju Abdula El-Sayeda, nowego senatora z Michigan, Melat Kiros – nowej kongresmenki z Kolorado czy Chrisa Rabba – nowego kongresmena z Pensylwanii, którzy wyszli do swoich wyborców z radykalnymi jak na Amerykę rozwiązaniami.

Mowa tu o takich postulatach jak powszechna opieka medyczna, dotowane żłobki i przedszkola, resuscytacja systemu komunikacji publicznej czy wreszcie reset w inwestycjach w dotowane mieszkalnictwo komunalne. Amerykańska polityka tak jak amerykańska dusza jest pragmatyczna. Nie byłoby tych kandydatów, gdyby nie sprawdzili, że grunt jest naprawdę gotowy. Czy się uda, to oczywiście inna sprawa.

Na większe sukcesy można będzie pewnie liczyć raczej na poziomie stanowym niż federalnym. Wyborcy stanu Kolorado, w którym mieszkam, zatwierdzili w tych wyborach fundusze na uruchomienie kolei pasażerskiej, która rozładuje korki między największymi miastami w stanie, na głównym szlaku komunikacyjnym biegnącym z północy na południe. W sąsiadującym z Kolorado Wyomingu, który ma podobną infrastrukturę torową i odległości między miastami aż proszące się o pasażerskie połączenia kolejowe, taka inicjatywa z miejsca zostałaby utrącona, bo stan – na wszystkich poziomach – kontrolują republikanie.

Nie rozgromiliśmy (jeszcze) trumpizmu

Nie mogę zakończyć tego tekstu, nie odnosząc się do wyścigu prezydenckiego za dwa lata, na który wyniki tegorocznych wyborów będą miały wpływ zasadniczy. Zajmę jednak stanowisko, które może się wydać kontrowersyjne: nie powinniśmy się śpieszyć z deklaracjami, że porażka Trumpa oznacza pozbycie się z tych wyborów jego naśladowców, w tym najbardziej oczywistego dotąd faworyta po stronie republikańskiej, wiceprezydenta J.D. Vance'a.

Z ciężkim sercem przestrzegam także przed proklamacją końca ery trumpizmu w politycznym życiu Ameryki, a pewnie i świata. O tym też zadecydują najbliższe dwa lata. Piłka będzie po stronie demokratów, a wyzwanie dwojakie. Po pierwsze, jak rozegrają sprawę rozliczenia Trumpa i jego administracji z nadużyć, bezprawia i korupcji. Po drugie, bez względu na to, co będzie się działo w kraju (np. wetomat Trumpa) i na świecie (np. przedłużająca się wojna w Iranie), wyborcy będą oczekiwać od nich realpolitik, która namacalnie i w stosunkowo krótkim czasie poprawi ich byt materialny.

Trumpizm na niczym nie pasie się lepiej niż na narracji o niesprawiedliwości, ofiarach i odwecie. Nietrudno sobie wyobrazić, że ślamazarni w realizowaniu ekonomicznych obietnic wyborczych demokraci włożą w ręce MAGA całkiem nowe narzędzia walki. Na ich niekorzyść będzie też działał fakt, że pamięć w polityce jest jeszcze krótsza niż w życiu prywatnym, a dezinformacja, polaryzacja i wojny kulturowe tradycyjnie posłużą republikanom.

Nie zapominajmy wreszcie, że J.D. Vance jest szczególnym rodzajem polityka. To, co w tej chwili poczytuje mu się za słabość, jego „wykształciuchostwo" zbyt bijące po oczach rolniczo-robotniczą bazę MAGA, za jakiś czas może stać się jego atutem.

Trump, czy to się nam podoba, czy nie, rozbudził w Amerykanach refleksje na temat związku między zobowiązaniami USA na świecie a stanem portfela przeciętnego zjadacza chleba. Może więc się okazać, że będzie to spadek, który pozostanie z nami na dłużej. A w takiej sytuacji J.D. Vance, który od początku kariery politycznej konsekwentnie ustawiał się w pozycji naczelnego izolacjonisty i inteligentnego radykała, może zostać odebrany jako ktoś, kogo wyborcy zrażeni agresywnym prostactwem i wulgaryzmem Trumpa będą oczekiwać.

Następstwa decyzji, jakie zapadać będą w Kongresie przez najbliższe dwa lata, przełożą się oczywiście na prezydenckie szanse wyborcze kandydatów demokratycznych, a co za tym idzie – na przyszłość partii. Nie wiadomo niestety, czy wszyscy mają jednakową tego świadomość. Najlepiej wypadają tutaj najmłodsi. James Talarico już w zwycięskiej przemowie w noc wyborów zadeklarował: „Oni (wyborcy) nie wysłali nas do Waszyngtonu po polityczną zemstę. Wysłali nas, byśmy obniżyli im koszty życia, wytrzebili korupcję i z powrotem ustawili gospodarkę na właściwych torach".

Demokratyczny establishment z Waszyngtonu zdaje się mieć odmienne zdanie. Szykujący się na stanowisko szefa kongresowej Komisji ds. Nadzoru i Reform Robert Garcia już w środę po wyborach „doradził" ekipie z Białego Domu, by zaczęła kontaktować się z prawnikami, aby nie zabrakło jej na to czasu, gdy rozpoczną się śledztwa i przesłuchania.

Entuzjastą trzeciego impeachmentu dla Trumpa stał się po wyborach także Adam Smith, wysoki rangą demokrata ze stanu Waszyngton, zasiadający w Kongresie już od 1996 r. A jeszcze w maju uważał, że po wygranej demokraci powinni się skupić wyłącznie na realizacji wyborczych obietnic.

Hakeem Jeffries, najprawdopodobniej nowy przewodniczący Izby Reprezentantów, oraz Chuck Schumer, który w styczniu zostanie przewodniczącym demokratycznej większości w Senacie, jeszcze w tej sprawie się nie wypowiedzieli.

Na razie otwieramy szampana i cieszymy się chwilą, na którą tak długo i z takim lękiem czekaliśmy. Staramy się być dobrej myśli, choć z tyłu głowy mamy uporczywe: oby się nie okazało, że partia, która z takim trudem wystąpiła w wyborach jako w miarę zjednoczona i skupiona wokół tych samych celów, teraz pęknie.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Południe najprawdopodobniej zacznie odgrywać nową rolę także w wyborach prezydenckich.

eprasa.pl b1b16130d5

Jakub Katulski

Odliczanie do 61

To od ugrupowań arabskich zależy przyszła koalicja rządowa w Izraelu

Wybory dowiodły, że Beniamin Netanjahu w oczach Izraelczyków wciąż jest liderem popularności. Niezależnie od skandali i oczekiwań rozliczenia go za 7 października 2023 r. obóz Netanjahu okazał się silniejszy, niż przewidywano, i wyprzedził sojusz Gadiego Eisenkota stosunkiem 53 do 48 mandatów (na 120 możliwych). Problem jednak w tym, że żaden z obozów syjonistycznych nie ma samodzielnej większości. Językiem u wagi są ugrupowania arabskich obywateli Izraela. 19 zdobytych przez nie mandatów odegra kluczową rolę w konsultacjach, które 4 listopada rozpoczął prezydent Icchak Herzog.

Największym zaskoczeniem jest właśnie niedoszacowanie partii obywateli arabskich oraz Likudu, a także przeszacowanie siły opozycji antynetanjahowskiej. Przedwyborcze sondaże pokazywały, że partia premiera może liczyć na 19-21 mandatów, podczas gdy ostatecznie udało jej się zdobyć 27. Ugrupowaniom arabskim sondażownie dawały 14-16 mandatów. Różnica pomiędzy sondażami a ostatecznym podziałem mandatów wynika przede wszystkim ze złego oszacowania frekwencji.

W tegorocznych wyborach według wyliczeń Kanału 12 izraelskiej telewizji poszło do urn aż 80% uprawnionych wyborców arabskich, choć w maju przewidywano, że będzie ich ok. 53%. Prognoza ta nie była bezpodstawna. Arabscy wyborcy w Izraelu z różnych przyczyn tracą zwykle motywację na ostatnim odcinku wyścigu wyborczego. Często ma na to wpływ przekonanie o niższej wartości ich głosów, które może i wprowadzają do parlamentu ich reprezentację, ale ta jest politycznie izolowana i ma niewielką moc sprawczą. Tym razem jednak nie da się odmówić arabskim parlamentarzystom sprawczości.

Badanie Arika Rudnickiego dla Centrum Mosze Dajana z maja tego roku wskazywało, że dla arabskich wyborców jednym z głównych problemów było poczucie braku bezpieczeństwa, wynikające przede wszystkim z przemocy panującej w ich części społeczeństwa. Arabowie od lat skarżą się na to, że policja nimi się nie interesuje, co ma się przyczyniać do wzrostu liczby brutalnych przestępstw i rozkwitu przestępczości zorganizowanej. Do tego dochodzi obawa przed intensyfikacją działań zbrojnych w regionie.

Wspólna Lista – sojusz ugrupowań akcentujących palestyńską tożsamość i skrajnej lewicy – otwarcie deklaruje, że jej politycy nie wejdą do koalicji, „dopóki trwa okupacja".

Co istotne, badania opinii publicznej prowadzone w społeczności arabskiej po 7 października wskazują, że ci obywatele Izraela mniej chętnie wypowiadają się o polityce w mediach społecznościowych. Czują też, że nie mogą swobodnie wyrażać solidarności z Palestyńczykami w Gazie lub na Zachodnim Brzegu, choć w wielu przypadkach są z nimi blisko spokrewnieni, a żydowska część społeczeństwa patrzy podejrzliwie na wyrazy empatii wobec cierpienia wywołanego wojną.

Kto będzie w koalicji?

Według badań Rudnickiego dla Centrum Dajana 77,2% arabskich wyborców chciałoby wejścia ugrupowania arabskiego do koalicji rządowej. Co z tego jednak, skoro obóz Netanjahu, do którego należą Ocma Jehudit Itamara Ben-Gwira i Religijny Syjonizm Becalela Smotricza, taką sytuację wyklucza. Ben-Gwir po wyborach wzywał wręcz do aresztowania liderów partii arabskich. Obóz Eisenkota, choć wewnętrznie zróżnicowany, również stawia arabskim koalicjantom warunki: muszą zaakceptować, że Izrael jest państwem narodu żydowskiego, demokratycznym, zgodzić się na pobór arabskich obywateli do służby narodowej (w tym wojskowej) i potępić Hamas jako organizację terrorystyczną, którą „trzeba zniszczyć". Paradoksalnie przez dekady państwo samo zwalniało Arabów ze służby wojskowej, bo – jak tłumaczył mi w 2024 r. socjolog Sammy Smooha w rozmowie przeprowadzonej dla „Przeglądu" – podejrzewano ich o nielojalność.

Ten sprawdzian lojalności przechodził już Mansur Abbas, gdy jego islamistyczne ugrupowanie Ra'am weszło w skład koalicji rządowej tworzonej w 2021 r. przez Naftalego Bennetta i Jaira Lapida. Jego partia weszła do rządu jako pierwsze w historii Izraela samodzielne ugrupowanie arabskie. Problem? Abbas okazał się jedynym przywódcą partii koalicyjnej, który nie dostał ani ministerstwa, ani nawet – jak pokazuje rejestr Knesetu – obiecanego mu w umowie koalicyjnej stanowiska wiceministra. Nic się nie zmieniło, nawet gdy pół roku później Abbas publicznie deklarował, że „Izrael narodził się jako państwo żydowskie" i takim pozostanie. Po pięciu latach Ra'am znów jest partią „nie do przyjęcia", a Netanjahu oskarża ją publicznie o „kradzież wyborów".

Ra'am od miesięcy domaga się odwołania Itamara Ben-Gwira z resortu nadzorującego policję – w styczniu Abbas zarzucał Ben-Gwirowi ingerowanie w jej pracę, w czasie gdy „arabska krew leje się codziennie", mając na myśli przede wszystkim przemoc

eprasa.pl b1b16130d5



W tegorocznych wyborach do urn poszło aż 80% uprawnionych wyborców arabskich. Umm al-Fahm w północnym Izraelu, 27 października 2026 r.

w sektorze arabskim. Po wyborach zapewniał zaś w wywiadzie na Kanale 12 telewizji, że warunki Eisenkota nie będą dla jego partii istotną przeszkodą w rozmowach koalicyjnych.

Problem jednak w tym, że zaufanie do Ra'am stara się podkopać sam premier, wskazując, że to katarska inspiracja i łapówki mają stać za wysoką frekwencją arabskich wyborców. Dowodem na to ma być „Ra'amgate". W dniu wyborów izraelska policja miała w domach trzech działaczy Ra'am znaleźć koperty z gotówką (według „Israel Hayom" 10 tys. szekli, a według portalu Times of Israel – „dziesiątki tysięcy") i karty do głosowania na Ra'am. Policję zawiadomił Ido Norden pełniący obowiązki szefa kancelarii Netanjahu, a funkcjonariusze dokonali przeszukania – jak przyznano w sądzie – bez stosownego nakazu.

Nie jest jasne, jakie informacje i skąd pozyskał Norden. Sąd w Beer Szewie nie zgodził się na przedłużenie aresztu działaczy Ra'am, uznając ich wyjaśnienia za wiarygodne: według nich gotówka należała do Ruchu Islamskiego i była przeznaczona dla ubogich rodzin. Wszyscy zatrzymani są już na wolności i niewiele wskazuje na to, by postawiono im zarzuty, zwłaszcza związane z korupcją wyborczą.

Ra'am nie jest jedynym ugrupowaniem arabskim, na jakie głosowano w tych wyborach. Wspólna Lista – sojusz złożony z ugrupowań akcentujących palestyńską tożsamość i skrajnej lewicy, w tym Komunistycznej Partii Izraela, Maki – otwarcie deklaruje, że jej politycy nie wejdą do koalicji, „dopóki trwa okupacja", i domaga się wycofania Izraela z terytoriów zajmowanych od 1967 r. Wspólna Lista nie wyklucza jednak wspierania koalicji „z zewnątrz", np. poprzez strategiczne wstrzymanie się od głosu lub poparcie wotum zaufania dla przyszłego premiera.

Akulturacja

Dla części izraelskiej opinii publicznej podejrzana jednak pozostaje sama tożsamość arabskich obywateli. Dobrze pokazał to głos na rzecz normalizacji stosunków arabsko-izraelskich Loaja Al-Szarifa, aktywisty urodzonego w saudyjskiej Dżuddzie i mieszkającego w Abu Zabi, chętnie cytowanego przez izraelską prawicę i zachodnie organizacje proizraelskie, takie jak StandWithUs. Kilka dni po wyborach radził w portalu X arabskim obywatelom Izraela, by potępili Hamas, uznali Izrael za „żydowskie państwo narodu żydowskiego" i „przyznali, że są arabskimi obywatelami Izraela, a nie Palestyńczykami". Wtedy, jak przekonywał, każdy Izraelczyk będzie na nich głosował. Głównym problemem ma być bowiem to, że „większość" z nich wciąż identyfikuje się jako Palestyńczycy, a „na prywatnych spotkaniach" marzą „o zniszczeniu Izraela" (co Al-Szarif miał słyszeć osobiście). Wpis zebrał tysiące polubień – w dużej mierze wśród izraelskich odbiorców.

Tymczasem z badań wynika, że palestyńska tożsamość wcale nie jest dla arabskich obywateli najważniejsza, choć jej znaczenie się zmieniało. Jeszcze w 2019 r. w badaniu prof. Sammy'ego Smoohy, będącego częścią projektu socjologicznego o nazwie „Indeks Relacji Arabsko-Żydowskich w Izraelu", prawie połowa określała się jako „Palestyńczycy w Izraelu", natomiast w tegorocznym majowym badaniu Centrum Dajana za najważniejszą uznało ją tylko 13,5%. Na ile to rzeczywista zmiana, a na ile ostrożność w obawie przed oskarżeniami o zdradę – trudno przesądzić.

Smooha w wywiadzie z 2024 r. zwracał uwagę na to, że Arabowie w Izraelu są świadomi, iż służby śledzą ich wypowiedzi. Państwo uznaje ich za odrębną mniejszość kulturową i językową, ale nie uznaje ich

FOT. AMMAR AWAD/REUTERS/FORUM

eprasa.pl b1b16130d5

palestyńskiej tożsamości narodowej. Głosy takie jak Al-Szarifa domagają się więc nie asymilacji, tylko wyrzeczenia się tożsamości narodowej jako ceny za udział w życiu społecznym. Dlatego są tak popularne wśród izraelskiej żydowskiej prawicy, dla której każdy sygnał od Araba delegitymizującego palestyńską tożsamość jest na wagę złota.

Premier bez mandatu

Na razie wszystko jest w rękach prezydenta, który do 11 listopada musi zdecydować, komu powierzyć zadanie tworzenia rządu. Wybrany polityk będzie miał na to 28 dni, z możliwością przedłużenia tego czasu o maksymalnie 14 dni. Partie Religijny Syjonizm i Szas jako preferowanego premiera wskażą Netanjahu. Aszkenazyjski Jahadut ha-Tora, któremu zależy głównie na ustawie zwalniającej studentów jesziw z poboru wojskowego, może nie wskazać nikogo, chociaż dzisiaj jest częścią koalicji. Awigdor Lieberman, lider prawicowego Jisra'el Betenu, podczas konsultacji najpewniej wskaże Eisenkota, choć jednocześnie wyklucza dołączenie do rządu mniejszościowego. Bez jego ugrupowania obóz Eisenkota nawet z obiema listami arabskimi uzbiera jedynie 60 głosów, a więc o jeden za mało.

Choć można też się spodziewać, że wymiana partii prawicowej na ugrupowania arabskie wywoła efekt domina – Naftali Bennett także nie patrzy przychylnie na koalicję z Arabami. Alternatywą jest rząd jedności Likudu i Jaszar, ale to wymagałoby kolejnych partnerów oraz rozstrzygnięcia sporu o fotel premiera i przewodniczącego Knesetu, od którego zależy powołanie komisji śledczej w sprawie 7 października – obecnie głównego punktu spornego między Eisenkotem a Netanjahu.

Jeszcze inną opcją są przyśpieszone wybory, które mogłyby odbyć się wiosną 2027 r. Być może to najbezpieczniejsza opcja dla Beniamina Netanjahu, który pokieruje przez ten czas rządem przejściowym bez nowego mandatu – na horyzoncie rysują się już zmiany w relacjach Tel Awiwu z najważniejszym partnerem strategicznym. Według „Wall Street Journal" Donald Trump po amerykańskich wyborach połówkowych rozważa dużą operację przeciwko Iranowi. Trump zapowiedział też 3 listopada w wywiadzie dla Fox News zakończenie amerykańskiej pomocy finansowej dla Izraela „do końca roku", choć bez szczegółów – a to ona przez dekady napędzała izraelskie technologie wojskowe.

Najważniejszym dzisiaj pytaniem jest jednak nie to, kto będzie izraelskim premierem, który będzie musiał sobie radzić z tymi wyzwaniami. Kluczowe jest to, czy arabscy obywatele będą mogli czuć się w pełni obywatelami. Czy państwo i politycy zdecydują się na zintegrowanie ich jako pełnoprawnych uczestników izraelskiego społeczeństwa, czy też obawa przed „innym", zwłaszcza gdy „inny" jest sąsiadem z miasta, wsi, a nawet ulicy, przyśpieszy erozję izraelskiej demokracji albo nawet okaże się gwoździem do jej trumny?

Jakub Katulski



eprasa.pl b1b16130d5

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Siermiężne czasy Gomułki

Oto jedna z powtarzalnych klisz. Inne to: antyniemieckie bądź antyinteligenckie fobie Gomułki. Artykuł Krzysztofa Vargi „Zaczadzeni »Wiesławem«" w 43. numerze „Newsweeka" tych akurat klisz nie zawiera, za to prezentuje bezkrytycznie powielane stereotypy.

Władysława Gomułki nie mam zamiaru wybielać. Przeciwnie: obraz malowany przez Vargę mógłbym jeszcze przyczernić. Na przykład odpowiedzialnością Gomułki za krwawe represje lat 40. (bo o jego roli w grudniu 1970 r. wie każdy). Mógłbym też rzec, że slogan „polska droga do socjalizmu" wymyślił nie Gomułka, lecz Stalin. A jednak istota sprawy leży gdzie indziej.

Gomułka był jedynym przywódcą polskiej partii „komunistycznej", jaki stanął na jej czele bez wiedzy lub wręcz bez zgody Moskwy. W przypadku pierwszym stało się tak z powodu aresztowania przez Gestapo szefa PPR, Pawła Findera – łączność z moskiewską centralą została wtedy zerwana. W przypadku drugim była to demonstracja antyradziecka, z którą Kreml długo nie mógł się pogodzić. Obie okoliczności – ta z listopada 1943 r. i ta z października 1956 – zyskały Gomułce opinię „narodowego komunisty". Czyżby bez jego woli?

Gomułkę oskarżano o apodyktyczność, autokratyzm, upór. A przecież za tymi cechami krył się niezwykle silny charakter. „Sojusz polsko-radziecki" był dla niego – jako gwarancja polskich granic – wartością podstawową, nie przeszkodziło mu to jednak wykłócać się z Moskwą. Oparł się nawet Stalinowi! Nie godził się na jego politykę wobec Jugosławii, na jego Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych, na połączenie PPR z PPS według radzieckich wzorów. Nawet całonocna rozmowa ze Stalinem w grudniu 1948 r. nie skłoniła go do wejścia w skład kierownictwa powstającej właśnie PZPR. Gomułka wiedział, czym ryzykuje – jego biograf, Paweł Machcewicz, pisze o jego „niezwykłej zuchwałości". Rzeczywiście, w sierpniu 1951 r. został aresztowany: więziono go ponad trzy lata. Że nie wytoczono mu procesu, o tym zdecydował jego zwycięski rywal, Bolesław Bierut.

Odnaleziony przed 20 laty zapis rokowań polsko-radzieckich z roku 1956 ukazuje raz jeszcze hardość Gomułki. Dzisiejszy prezentysta deklamuje o „odejściu Gomułki od Października" – i oczywiście ma rację. Tyle że brak tego odejścia mógłby przynieść Polsce powtórkę tragedii Węgier. A przecież to, co zdołano osiągnąć w Polskim Październiku, okazało się trwałe: nie wrócono już do kolektywizacji rolnictwa, ocalało prywatne rzemiosło, Kościół odzyskał niezależność, nastąpiło otwarcie polskiej nauki i kultury na Zachód, nie było (do roku 1965) więźniów politycznych, zachowało się (do roku 1976) niezależne Koło Poselskie ZNAK. Gomułkowska PRL stała się „najweselszym barakiem w socjalistycznym obozie".

Gomułka był partyjnym ortodoksem, ale rządził się polską racją stanu. Zawsze się bał zawieranych poza Polską porozumień ZSRR-RFN. Gdy latem 1964 r. polski wywiad zdobył nagranie nieoficjalnych rozmów radziecko-niemieckich, napisał ostry list do Nikity Chruszczowa. Gdy Moskwa poufnie rokowała z Bonn, zrobił w czerwcu 1969 r. awanturę Leonidowi Breżniewowi. Czy można sobie wyobrazić awanturę, jaką Donaldowi Trumpowi urządza Karol Nawrocki?

Gomułka był partyjnym ortodoksem, ale rządził się polską racją stanu.

„Fobia antyniemiecka"… Ależ RFN przez 20 lat nie uznawała polskich granic! Tymczasem porozumienie z Niemcami było dla Gomułki celem jego wieloletnich zabiegów. Stąd przecież wziął się jego atak na polski episkopat za list do biskupów niemieckich – jako że wkraczał on w politykę zagraniczną rządu. Stąd brała się jego wrogość do „praskiej wiosny", w której widział groźbę powstania w Europie nowej, chwiejnej konstelacji politycznej. To w wyniku starań Gomułki znalazły się w układzie radziecko-niemieckim z sierpnia 1970 r. sformułowania o nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie. Ale nawet to mu nie wystarczyło: doprowadził do zawarcia 7 grudnia tego roku odrębnego układu PRL-RFN. Ta samodzielność wzbudziła po raz kolejny irytację Moskwy. Nic dziwnego, Gomułka dokonał poluzowania jałtańskiego gorsetu.

Tamten Grudzień był najwyższym wzlotem i najgłębszym upadkiem Gomułki. Tymczasem właśnie wtedy, w obliczu rewolty na Wybrzeżu, wypowiedział on słowa, które dopiero dziś, w dobie szaleństw polskiej prawicy, nabierają pełnej wymowy: „Każda kolejna klasa rządząca w naszym kraju doprowadza do zguby własne państwo". Oto jasnowidzenie starego komucha. Warto, by zapamiętali je dzisiejsi mądrale. Co do mnie, dziękuję Bogu, że spędziłem dzieciństwo w siermiężnych czasach Gomułki.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b1b16130d5

Serbia po Vučiciu

W pułapce antypolityki

Bojan Stanisławski



Wybory parlamentarne przeprowadzone w Serbii 25 października przyniosły rezultat, jakiego jeszcze kilka miesięcy temu nie odważyliby się prognozować obserwatorzy tamtejszej sceny politycznej. Po prawie 15 latach nieprzerwanego sprawowania władzy Serbska Partia Postępowa (SNS) Aleksandara Vučicia poniosła zdecydowaną porażkę, a bezwzględną większość parlamentarną zdobyła lista wyborcza wyłoniona przez ruch studencki, który narodził się w następstwie tragicznej katastrofy budowlanej w Nowym Sadzie z listopada 2024 r.

Według danych Republikańskiej Komisji Wyborczej z 30 października lista Studenci zwyciężają (Studenti pobeđuju) uzyskała 53,03% głosów, pozostawiając daleko w tyle koalicję Aleksandar Vučić – Zjednoczona Serbia, na którą zagłosowało 38,97% wyborców. Frekwencja wyniosła ok. 69% i była najwyższa w obecnym stuleciu. W 250-osobowym Zgromadzeniu Narodowym zwycięski obóz będzie zatem dysponował większością wystarczającą do samodzielnego utworzenia rządu.

Wybory odbywały się w warunkach oczywistej nierównowagi politycznej. SNS dysponowała rozbudowaną strukturą partyjną, siecią powiązań w administracji państwowej, znacznymi wpływami w mediach i aparatem politycznej mobilizacji, które przez lata pozwalały jej skutecznie neutralizować kolejne próby zakwestionowania dominacji Vučicia.

W Belgradzie i innych miastach rozpoczęło się masowe świętowanie. Dla uczestników wielomiesięcznych protestów był to moment historycznego triumfu. Ruch, który początkowo domagał się wyjaśnienia okoliczności śmierci 16 osób pod zawalonym zadaszeniem dworca kolejowego w Nowym Sadzie, zdołał doprowadzić do odsunięcia od władzy obozu politycznego, który przez kilkanaście lat wydawał się nieusuwalny. Po wyborach pojawiło się jednak pytanie ewidentnie lekceważone w atmosferze przedwyborczej mobilizacji: co właściwie oznacza to zwycięstwo, poza końcem rządów SNS?

Student w każdej wsi

Przez niemal dwa lata zasadniczym spoiwem ruchu studenckiego był sprzeciw wobec istniejącego układu władzy. Właśnie to umożliwiało parasolowe skupienie środowisk, które w innych okolicznościach nie znalazłyby wspólnego języka politycznego. Nie trzeba było zgadzać się w kwestiach gospodarczych, społecznych ani geopolitycznych. Nie trzeba było nawet formułować szczególnie wyrazistej wizji przyszłego ustroju państwa. Aby stać się częścią nowej inicjatywy, wystarczyło być przekonanym, że dotychczasowy system rządów należy zakończyć.

Przełomowe znaczenie dla ukształtowania się ruchu miało wyjście poza środowisko akademickie i największe ośrodki miejskie. Studenci organizowali wielodniowe marsze, przejazdy rowerowe i spotkania z mieszkańcami prowincji. Docierali do niewielkich miejscowości, rozmawiali z ludźmi, korzystali z pomocy lokalnych społeczności. Inicjatywa znana pod hasłem „Student w każdej wsi" (Student u svakom selu) pozwoliła stworzyć sieć kontaktów, która z czasem stała się bodaj najważniejszym zasobem ruchu.

Do protestów przyłączali się nauczyciele, rolnicy, przedstawiciele wolnych zawodów, pracownicy instytucji publicznych i obywatele niezwiązani wcześniej z działalnością polityczną. Władze próbowały przeciwdziałać tej mobilizacji, przedstawiając demonstrantów jako uczestników inspirowanej z zagranicy próby destabilizacji państwa. Dochodziło także do zatrzymań, nacisków i represji.

Serbscy studenci dowiedli, że można pokonać wielkiego politycznego gracza oddolną mobilizacją.

W styczniu 2025 r. pod presją protestów do dymisji podał się premier Miloš Vučević. Nie uspokoiło to sytuacji. Studenci kontynuowali blokady i demonstracje, a 15 marca Belgrad stał się miejscem największej manifestacji w najnowszej historii Serbii. Według szacunków zebrało się ok. 350 tys. ludzi. Była to demonstracja zarówno skali niezadowolenia społecznego, jak i zdolności organizacyjnych ruchu, który kilka miesięcy wcześniej w ogóle przecież nie istniał jako ogólnokrajowa siła polityczna.

eprasa.pl b1b16130d5



Serbia świętuje zwycięstwo ruchu studenckiego. Belgrad, 26 października 2026 r.

Kolejny istotny moment to 5 maja 2025 r., kiedy studenci po raz pierwszy oficjalnie zażądali przedterminowych wyborów parlamentarnych. Oznaczało to zasadniczą zmianę charakteru protestów.

Po tym jak Vučić odpowiedział na to żądanie, rozpisując przedterminowe wybory na październik 2026 r., powstała lista wyborcza Studenci zwyciężają. Kandydatami zostali przedstawiciele różnych środowisk zawodowych i społecznych – naukowcy, lekarze, ekonomiści, prawnicy i artyści. Na liście nie znaleźli się jednak sami studenci. Oni organizowali protesty, budowali poparcie społeczne i legitymizowali całe przedsięwzięcie, lecz bezpośrednie sprawowanie władzy powierzono innym ludziom.

Ruch przekształcił zatem społeczny autorytet studentów w mandat wyborczy udzielony szerokiej i bardzo zróżnicowanej ideologicznie grupie kandydatów. Pozwoliło to uniknąć kompromitujących skojarzeń z dotychczasową klasą polityczną i przedstawiać listę studencką nie jako następną partię walczącą o stanowiska, lecz jako autentyczną reprezentację obywateli domagających się zmiany.

Po zwycięstwie wyborczym ograniczenia tej antypolitycznej w swej istocie formuły zaczynają jednak wybrzmiewać coraz wyraźniej.

Obalić układ

Jednym z pierwszych intelektualistów, którzy dostrzegli szczególny potencjał ruchu studenckiego, był ekonomista Branko Milanović, znany przede wszystkim z badań nad globalnymi nierównościami. Już w 2025 r. przekonywał, że szanse studentów na pokonanie Vučicia zależą w dużej mierze od ich zdolności do zachowania apolitycznego charakteru protestów, czyli konsekwentnego unikania identyfikacji z którąkolwiek z istniejących orientacji politycznych i rezygnacji z formułowania postulatów, które mogłyby podzielić szeroką koalicję przeciwników SNS. Wśród niechętnych prezydentowi znajdowali się bowiem zarówno euroatlantyccy liberałowie, jak i nacjonaliści, socjaliści, związkowcy oraz ludzie bez wyraźnych sympatii partyjnych. Ich oczekiwania były diametralnie różne, a niekiedy wręcz się wykluczały. Łączyło ich jednak narastające przekonanie, że dotychczasowy układ władzy należy obalić.

Przyjęto zatem strategię maksymalnie asekurancką. Zamiast określać, jak miałaby wyglądać Serbia po odsunięciu Vučicia, przekonywano, że najpierw trzeba stworzyć warunki, w których będzie można w ogóle o tym swobodnie rozmawiać. Zamiast spierać się o przyszły model państwa, domagano się praworządności, sprawnych instytucji, walki z korupcją i odwołania ludzi odpowiedzialnych za nadużycia.

Zapowiedzi utworzenia specjalnej jednostki antykorupcyjnej, weryfikacji urzędników powiązanych z przestępczością zorganizowaną, reformy mediów publicznych, zmiany zasad obsadzania stanowisk w przedsiębiorstwach państwowych, wsparcia mieszkaniowego dla młodych rodzin oraz modernizacji placówek medycznych tworzą katalog pożądanych działań naprawczych, który jednakowoż nie zastąpi programu politycznego. Brakuje jasnej koncepcji stosunków gospodarczych i społecznych oraz jednoznacznej deklaracji co do orientacji geopolitycznej Serbii.

A Serbia jest państwem szczególnie uwikłanym w piętrzące się międzynarodowe komplikacje. Utrzymuje bliskie stosunki gospodarcze z Unią Europejską, współpracuje z Chinami, zachowuje też gospodarcze i historyczne więzi z Rosją. Tli się wciąż kwestia Kosowa, którego ewentualne uznanie grozi potężną destabilizacją. Nowa większość musi wziąć na siebie odpowiedzialność za niezwykle istotne, dalekosiężne decyzje w sprawach, w których nie wypracowała wspólnej strategii. Trudno w takich okolicznościach odmówić racji Vučićowi, gdy, uznawszy wyborczą porażkę, ostrzegał, że nowy rząd może nie utrzymać się nawet pół roku.

Opisuje to w swoich opracowaniach bałkańska politolożka Biljana Vankovska, zwracając uwagę na rozpowszechnione, acz jej zdaniem fałszywe przekonanie, że największą bolączką współczesnych społeczeństw jest nadmierna polityzacja życia publicznego. Nieustanne spory partyjne, konflikty personalne, wzajemne oskarżenia, kampanie propagandowe

FOT. MILOŠ MILANOVIĆ/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b1b16130d5

i spektakularne awantury sprawiają wrażenie, że polityka zawładnęła niemal każdą dziedziną życia.

Tymczasem, jak przekonuje Vankovska, problem polega na czymś odwrotnym. Mamy bowiem do czynienia nie tyle z nadmiarem polityki, ile z jej postępującym zanikiem, jeśli rozumieć ją jako rzeczywiste zderzenie interesów i debatę ideologiczną o organizacji społeczeństwa, podziale zasobów i mechanizmach sprawowania władzy. W ocenie politolożki serbski ruch studencki w pełni zinternalizował ten mit.

Jak argumentuje autorka w artykule „Serbia po studenckiej lawinie", zamiast otwartej debaty o alternatywnych modelach rozwoju i interesach grup społecznych mamy niekończące się konflikty personalne, walkę o stanowiska i deklaracje o potrzebie przywrócenia normalności. Zamiast konfrontowania koncepcji organizacji państwa – moralizatorskie zapewnienia, że wystarczy odsunąć od władzy ludzi skorumpowanych, niekompetentnych lub skompromitowanych, a instytucje zaczną wreszcie funkcjonować tak, jak powinny.

Tymczasem wiedza ekspercka, choć niezbędna do oceny skutków określonych rozwiązań, nie rozstrzyga, jakie cele powinno realizować państwo czy społeczeństwo. Ekonomista może przedstawić przewidywane konsekwencje polityki podatkowej, ale sama wiedza ekonomiczna nie odpowie na pytanie, jaki stopień nierówności dochodowych należy uznać za dopuszczalny. Specjalista od zarządzania może zaproponować metody poprawy efektywności szpitala, ale nie rozstrzygnie na podstawie samych kryteriów organizacyjnych, jaki zakres świadczeń zdrowotnych powinien być gwarantowany wszystkim obywatelom. Są to bowiem rozstrzygnięcia polityczne i ideologiczne.

Nenad Čanak, polityk i działacz społeczny, założyciel Ligi Socjaldemokratów Wojwodiny, określił zwycięstwo listy studenckiej nie tylko jako porażkę Aleksandara Vučicia, lecz również jako faktyczny kres dotychczasowego systemu wielopartyjnego w Serbii. Istniejące ugrupowania polityczne, zarówno rządzące, jak i opozycyjne, zostały w jego ocenie „bezpowrotnie zmarginalizowane" przez formację, której rzeczywistego profilu politycznego nie sposób określić.

Čanak nazwał listę studencką „czarną skrzynką" wprowadzoną do parlamentu przez wyborców, którzy nie wiedzą dokładnie, co się w niej znajduje. Lista nie ma rozpoznawalnego przywództwa, jasnej struktury organizacyjnej ani tożsamości ideologicznej.

Pomysł na rządzenie

Kwestia ta nabiera szczególnego znaczenia wobec wyzwań stojących przed Serbią. To, czy nowa większość parlamentarna okaże się bardziej moralna od poprzedników, jest znacznie mniej istotne niż to, czy zdoła odpowiedzieć na fundamentalne pytania wynikające z pozycji państwa na arenie międzynarodowej i rozbudzonych oczekiwań społecznych, żeby „w końcu było lepiej".

Problemy gospodarcze, energetyczne, nie mówiąc o polityce zagranicznej, zajmują w bardzo ogólnikowym programie ruchu, określanym hasłem „Serbia bez mafii", miejsce podrzędne, traktowane są niemal niczym dopust boży. Tymczasem możliwości prowadzenia przez Belgrad samodzielnej polityki są ograniczone zależnością od zagranicznych ośrodków kapitałowych i politycznych oraz nieustanną presją międzynarodową, nie zaś defektami instytucjonalnymi czy korupcją.

Doskonale widać to w sektorze energetycznym. Najważniejsze przedsiębiorstwo naftowe w kraju, Naftna Industrija Srbije, zostało objęte amerykańskimi sankcjami ze względu na rosyjskie powiązania właścicielskie, a jego funkcjonowanie zależy od kolejnych czasowych zezwoleń udzielanych przez Waszyngton. Ostatnie, wydane 30 października, pozwala spółce kontynuować działalność do 11 grudnia 2026 r. Funkcjonowanie strategicznego przedsiębiorstwa odpowiedzialnego za znaczną część zaopatrzenia Serbii w paliwa zależy od decyzji podejmowanych za granicą. Żadna reforma instytucji regulacyjnych czy sądów tego nie załatwi. Potrzebne są poważne i odpowiedzialne decyzje polityczne, charyzma, kompetencja i odwaga w działaniu w warunkach olbrzymiej presji.

Podobna presja ma też skłonić Serbię, aby dostosowała swoją politykę zagraniczną do unijnej, szczególnie w kwestii sankcji wobec Rosji. Belgrad musi przy tym godzić własne potrzeby inwestycyjne, energetyczne i infrastrukturalne z oczekiwaniami ośrodków politycznych, które coraz mniej skłonne są tolerować dotychczasową politykę balansowania między wrogimi blokami.

Do tego dochodzi oczekiwanie, że Belgrad „rozwiąże problem Kosowa" na warunkach akceptowalnych dla Zachodu i „określi swoje miejsce w europejskim systemie bezpieczeństwa". Oznaczałoby to daleko idącą rewizję dotychczasowej polityki zagranicznej Serbii, a w przypadku uznania niepodległości Kosowa kapitulację tożsamościowo-historyczną.

Niewykluczone, że największym zagrożeniem dla nowej większości okaże się nie pokonany przeciwnik, ale wewnętrzne sprzeczności.

Serbscy studenci bezsprzecznie dowiedli, że można pokonać wielkiego politycznego gracza oddolną mobilizacją. Teraz okaże się, czy ludzie, którym powierzyli wywalczony przez siebie mandat, mają pomysł na rządzenie krajem znajdującym się w wyjątkowo skomplikowanej sytuacji. Aleksandar Vučić może tymczasem obserwować ich poczynania z wygodnego miejsca parlamentarnej opozycji. Niewykluczone, że największym zagrożeniem dla nowej większości okaże się nie tyle jej pokonany przeciwnik, ile wewnętrzne sprzeczności, których istnienie przez prawie dwa lata tak skutecznie udawało się ignorować.

Bojan Stanisławski

eprasa.pl b1b16130d5

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Psychologia skorumpowana

Psychologia to nauka stosunkowo młoda, ale zacna. Ma się czym pochwalić. Jej losy leżą mi na sercu, choćby dlatego, że przez lata uczyłem studentów psychologii. Tym bardziej boli mnie to, co obecnie się z nią dzieje. Czytam o tysiącach pseudopsychologów kształconych zdalnie, kończących jakieś pośpieszne kursy, idących na skróty. Wszyscy, którzy znają się na rzeczy, wiedzą, że tak nie zostaje się psychologiem. Idzie przecież nie o kurs zawodowy, ale o poważne studia, które prócz rzeczy ściśle praktycznych (zawodowych) obejmują teorię psychologiczną, a nadto wiele przedmiotów pobocznych, rozwijających ogólną wiedzę, wrażliwość i zdolność szerszego rozumienia świata, takich jak filozofia.

Dlaczego zatem fakt ten jest powszechnie ignorowany, a psychologia zamienia się w poppsychologię, pseudonaukę, która sprowadza się do wygłaszania wziętych z ideologii neoliberalnego, późnego kapitalizmu dyrdymałów o „konieczności osobistego rozwoju", „budowaniu swojej marki w oparciu o osobisty potencjał" czy „walce z depresją poprzez nabranie wiary w siebie"?

Nie ma dnia, abym gdzieś nie napotkał wynurzeń pseudopsychoterapeutów, najczęściej przyuczonych do zawodu, którzy przepytywani przez dziennikarzy dzielą się swoją wiedzą. Pomieszane są w tych wywodach rzeczy słuszne z wątpliwymi, skrawki wiedzy naukowej z banałami, a całość sprowadza się do przekonania, że jak się stosownie zainwestuje w siebie, to otrzyma się zwrot „kapitału". Inwazja poppsychologii i upadek prestiżu psychologii jako nauki to moim zdaniem skutek skorumpowania jej przez rynek kapitalistyczny (pieniądze, mówiąc wprost). Pojawił się popyt na psychoterapeutów i rynek reaguje. Tyle że odbywa się to ze szkodą dla prestiżu dyscypliny. Niestety, nawet ci psychologowie, którzy zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje, nie są w stanie zatrzymać demolującego ich dyscyplinę tsunami chciwości.

Jest też drugie dno całej sprawy. Chodzi o to, że wspomniany popyt łączy się nie tylko z pogarszającym się stanem psychicznym wielu ludzi, w tym wielu młodych, ale także z dominującym przekonaniem, że w przypadku jakichkolwiek kłopotów psychicznych winna jest sama jednostka. W moim przekonaniu to znak zgubnego indywidualizowania problemów systemowych. Zamiast szukać odpowiedzi na trapiące ludzi problemy w kontekście społecznym ich życia, szuka się ich w nich samych.

W tym sensie wielki sukces rynkowy psychologii jest znakiem wielkiego sukcesu ideologicznego późnego kapitalizmu, który próbuje nam wmówić, że sam jest w porządku, a jeśli coś nie gra, to nasza wina. Opowieść, którą ów kapitalizm snuje sam o sobie, zmierza do przekonania wszystkich, że nie ma dla niego alternatywy, jest on bowiem wyrazem jakichś sił naturalnych, przypominających siły przyrody. W tej sytuacji w przypadku jakichkolwiek kłopotów o charakterze psychicznym źródeł należy szukać w jednostce, albowiem jej otoczenie jest niepowątpiewalne, naturalne, oczywiste, zdrowe i właściwe. Psychologia ma być zbiorem narzędzi służących „naprawie" jednostek, aby je przywrócić do stanu kapitalistycznej „używalności". Punktem wyjścia jest obraz jednostki jako zdyscyplinowanej i wydajnej, nastawionej optymistycznie do życia, chcącej się „rozwijać" w duchu proponowanym przez dominujący przekaz kapitalizmu, słowem radosnej uczestniczki „kultury harówki", mogącej w nagrodę za swój trud oddawać się nieokiełznanej konsumpcji.

W chorym systemie zdrowe jednostki tracą wiarę w swoje zdrowie.

Psychologia i psychoterapia mają oczywiście zawsze zasadne pole do popisu, życie ludzkie jest bowiem wymagające i trudne. Każdy na jakimś jego etapie może mieć kłopoty ze sobą. Nie mogą one jednak zastąpić „sięgania do korzeni rzeczy", aby użyć tej sławnej frazy Marksa. Często bowiem to system jest chory, a nie jednostka. Paradoksalnie jej problemy psychiczne mogą być znakiem zdrowia. W chorym systemie zdrowe jednostki tracą wiarę w swoje zdrowie i poddają się presji otoczenia. Zamiast walczyć z nim, zaczynają walkę ze sobą, oskarżając się o nieprzystosowanie, pozostawanie w tyle, brak chęci „rozwoju", niewystarczającą innowacyjność czy jakieś inne „grzechy" wymyślone przez przekaz ideologiczny późnego kapitalizmu i narzucone jednostkom, po to by je zdyscyplinować.

W tej perspektywie psychologia staje się narzędziem „społeczeństwa dyscyplinarnego", aby użyć innej sławnej frazy, tym razem wielkiego francuskiego historyka i filozofa Michela Foucaulta. Ma zgasić zarzewie buntu w jednostce, na jej barki zrzucając ciężar odnalezienia się w świecie, z którego wyparowały empatia i solidarność, a pozostała jedynie walka wszystkich ze wszystkimi. Wniosek: leczenia wymaga system późnego kapitalizmu, a nie jednostka, którą niszczy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b1b16130d5

Polonia w ZSRR ofiarą Wielkiego Terroru

Choć władze II RP wiedziały, nic nie zrobiły

Bohdan Piętka

Tragedia Polonii radzieckiej należy do najczarniejszych kart w polskiej historii XX w. Ze skali i charakteru antypolskich represji w ZSRR nie zdawało sobie sprawy społeczeństwo II RP, a jej władze zachowały bierność. Do 1924 r., kiedy władze radzieckie zamknęły Polakom możliwość wyjazdów do II RP, ZSRR opuściło ponad 1,1 mln osób polskiego pochodzenia. Za granicą ryską pozostało 1-1,5 mln Polaków. Według oficjalnych, zaniżonych danych w 1937 r. w ZSRR mieszkało nieco ponad 600 tys. Polaków. Stanowili 0,37% populacji tego kraju, liczącej 162 mln. Tak nieliczna Polonia radziecka należała do grup najciężej represjonowanych podczas Wielkiego Terroru stalinowskiego, który w latach 1937-1938 pochłonął co najmniej 681 692 ofiary śmiertelne.

Polacy zamordowani w ramach operacji polskiej NKWD (co najmniej 111 097 osób) stanowili 16,29% ofiar Wielkiego Terroru oraz 44,9% ofiar wszystkich operacji narodowościowych NKWD. Szokująca była również proporcja wyroków śmierci i wyroków pozbawienia wolności – zamordowano 79,4% osób represjonowanych podczas operacji polskiej. Amerykański historyk Terry Martin wyliczył, że Polacy byli wówczas 30 razy bardziej (dokładnie 30,94) narażeni na rozstrzelanie niż członkowie innych grup etnicznych zamieszkujących ZSRR.

Korienizacja

Po zakończeniu wojny domowej władze radzieckie starały się przekonać narodowości nierosyjskie do ustroju komunistycznego, poddając je specyficznemu procesowi społecznemu – tzw. autochtonizacji (po rosyjsku korienizacja). Wynikało to z przekonania Lenina i jego niektórych współpracowników, że w indoktrynacji i sowietyzacji mniejszości narodowych można skutecznie wykorzystać ich języki i kulturę.

Biorąc jako punkt wyjścia założenia polityki korienizacji, Feliks Kon i Julian Marchlewski zgłosili podczas kongresu Kominternu jesienią 1922 r. propozycję powołania polskich autonomicznych jednostek terytorialnych w pobliżu granicy z Polską. W ich rozumieniu miał to być poligon doświadczalny dla przyszłej Polskiej Republiki Rad. Propozycja ta zaowocowała utworzeniem dwóch Polskich Rejonów Narodowych – w 1925 r. Marchlewszczyzny w Ukraińskiej SRR (w pobliżu Żytomierza) oraz w 1932 r. Dzierżyńszczyzny w Białoruskiej SRR (w rejonie Mińska). Językiem urzędowym w tych rejonach był polski, funkcjonowały tam polskie szkoły i placówki kulturalne oraz polska prasa.

Eksperymenty te – oparte na kolektywizacji i indoktrynacji – nie przyniosły spodziewanych rezultatów, ponieważ znaczna część ludności polskiej była świadoma swojej polskości i lojalna wobec odrodzonej ojczyzny. Tym samym na tle innych narodów ZSRR była najmniej podatna na sowietyzację. Opór Polaków przesądził o decyzji Kremla w sprawie rezygnacji z utworzenia dwóch kolejnych polskich rejonów: w Płoskirowie na Ukrainie i w Leplu na Białorusi, oraz o likwidacji dotychczasowych rejonów w latach 1935-1937. Zbiegło się to w czasie ze zmianą polityki wewnętrznej dokonaną przez Stalina, który sięgnął po metody terrorystyczne jako podstawowy środek rządzenia.

Władze II RP postrzegały Dzierżyńszczyznę i Marchlewszczyznę jako eksperymenty wymierzone w II RP. „Kurier Wileński", z reguły wyrażający poglądy zbliżone do obozu sanacyjnego, pisał w 1927 r. o „tzw. Marchlewszczyźnie, czyli o tej »miniaturowej Polsce« radzieckiej, którą utworzyli bolszewicy na Polesiu w pobliżu granicy". Taka ocena rzutowała także na nieufny stosunek władz II RP do mieszkających tam Polaków.

> Według oficjalnych danych w 1937 r. w ZSRR mieszkało nieco ponad 600 tys. Polaków.

Operacja polska NKWD

Zapowiedzią masowego terroru wobec Polaków w ZSRR były wywózki z terenu zlikwidowanej Dzierżyńszczyzny i Marchlewszczyzny na Syberię i do Kazachstanu, które objęły 50 tys. osób. Początek zintensyfikowanych prześladowań wyznaczył ogłoszony 30 lipca 1937 r. rozkaz nr 00447 dotyczący rozpoczęcia „operacji kułackiej". Jej celem stali się zamożniejsi chłopi, którzy stawili opór próbom kolektywizacji. Zaliczali się do nich w większości Polacy na Białorusi i Ukrainie radzieckiej.

O wiele poważniejsze skutki miał rozkaz nr 00485 ludowego komisarza spraw wewnętrznych Nikołaja Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. Oznaczał on rozpoczęcie represji już wyłącznie wobec obywateli radzieckich narodowości polskiej.

eprasa.pl b1b16130d5



Dom narodowy w Dzierżyńsku.

Na podstawie znanych dziś dokumentów wiadomo, że inicjatywa terroru antypolskiego wyszła od samego Stalina. Przyczyn należy szukać w postrzeganiu przez Stalina odrodzonej w 1918 r. Polski jako nieprzejednanego wroga komunizmu i ZSRR oraz w braku sukcesów w indoktrynacji Polaków mieszkających w rejonach narodowych. Likwidacja mniejszości polskiej zamieszkującej głównie zachodnią część ZSRR (ziemie zabrane przez Rosję w I i w II rozbiorze Polski, tzw. dalsze Kresy) miała być również zabezpieczeniem na wypadek planowanej wojny z „kapitalistycznym Zachodem". Bezwzględna depolonizacja tzw. dalszych Kresów Wschodnich w ramach operacji polskiej NKWD sprawiła, że na zawsze utraciły one polski charakter.

Operacja polska NKWD była wyjątkowym przedsięwzięciem terrorystycznym nawet na tle całokształtu Wielkiego Terroru. Według oficjalnych danych w jej ramach rozstrzelano (w Kuropatach, Winnicy i innych miejscach) 111 091 osób, a 28 744 osadzono na długie lata w więzieniach i obozach karnych. Faktycznie jednak różnego rodzaju represjom poddano ok. 200 tys. osób.

Rozkaz dotyczący operacji polskiej mówił o konieczności aresztowania w ciągu trzech miesięcy (termin przedłużono później do półtora roku) nieujawnionych do tej pory członków Polskiej Organizacji Wojskowej (rozwiązanej w 1921 r.), jeńców wojennych z armii polskiej, zbiegów z Polski, emigrantów politycznych i osób wydalonych z Polski z powodu przekonań politycznych (czyli komunistów!), byłych członków PPS i innych antyradzieckich polskich partii politycznych oraz najaktywniejszych działaczy z polskich rejonów narodowych, wyrażających przekonania nacjonalistyczne i antyradzieckie.

Faktycznie jednak zasięg represji był większy. Jak zeznał stracony później wysoki funkcjonariusz NKWD i jeden z wykonawców operacji polskiej Stanisław Redens, notabene Polak, „przychodziły informacje o masowych aresztowaniach, bez żadnych podstaw, żeby tylko był Polak. (…) Aresztowania przeprowadzano przy pomocy książki telefonicznej, byle tylko nazwisko było podobne do polskiego". Polowaniu na Polaków towarzyszyła akcja propagandowa skierowana przeciwko II RP, którą przedstawiano jako kraj antyradziecki i antysemicki, a przy tym proniemiecki i „faszystowski".

Wraz z rozpoczęciem terroru antypolskiego uderzono w Kościół katolicki, który został całkowicie zniszczony w wyniku brutalnych represji z lat 1937-1938. Terror nie ominął też przebywających na terenie ZSRR komunistów polskich. Jeszcze przed ogłoszeniem rozkazu 00485 aresztowany i rozstrzelany pod zarzutem współpracy z polskim wywiadem został lider „mniejszościowców" i sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Polski, Julian Leszczyński-Leński (1889-1937). Spośród przebywających w 1936 r. w ZSRR 3817 komunistów polskich przeżyło nie więcej niż 100, przy czym z aktywu kierowniczego partii nie przeżył nikt. Sama KPP została zlikwidowana 16 sierpnia 1938 r. decyzją Międzynarodówki Komunistycznej.

Dyplomatyczne milczenie

Opinia publiczna II RP nie miała świadomości, co się dzieje z Polonią w ZSRR. W polskiej prasie z drugiej połowy lat 30. nie było właściwie żadnych wzmianek o eksterminacji Polaków za granicą ryską. Wyjątkiem był niszowy miesięcznik „Prawda o Komunizmie – Biuletyn Informacyjny", wydawany przez powstałe w 1925 r. Porozumienie Organizacji Współdziałających w Zwalczaniu Komunizmu (tzw. Porozumienie Antykomunistyczne), a redagowany przez działacza harcerskiego i katolicko-narodowego Henryka Glassa (1896-1984). Pisano tam jednak o pojedynczych zdarzeniach, nie o całym procesie. Periodyk ten był powszechnie bojkotowany przez dużą część inteligencji polskiej, wśród której w okresie międzywojennym dominowały postawy i sympatie lewicowe. Głównie pepeesowskie, ale pod koniec lat 30. nierzadko też prokomunistyczne.

Symbolem postawy ówczesnej lewicowej inteligencji wobec ZSRR był skandal z wydanym 2 marca 1936 r. (i skonfiskowanym przez władze pięć dni później) 25. numerem tygodnika dla młodzieży „Płomyk", w którym Janina Broniewska i Wanda Wasilewska przedstawiły sielankowy i bezkrytyczny obraz życia młodzieży w ZSRR. Fascynacja marksizmem i wyidealizowanym obrazem ZSRR – na fali długoletniego kryzysu gospodarczego i rozczarowania rządami sanacji – udzielała się wówczas także innym kręgom społeczeństwa II RP.

Ponadto opinia publiczna nie tylko w Polsce, ale i w Europie i na świecie niewiele wiedziała w latach 30. o Wielkim Terrorze w ZSRR, skali tych represji i systemie karnych obozów pracy (GUŁag). Przenikającym fragmentarycznym informacjom na ten

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl b1b16130d5

temat często nie dawano wiary. Wiedza ta docierała na Zachód stopniowo i powoli, a powszechniejsza stała się dopiero po oficjalnym częściowym ujawnieniu zbrodni stalinowskich na XX Zjeździe KPZR w 1956 r.

Władze II RP wiedziały o pogarszającym się położeniu Polonii radzieckiej w drugiej połowie lat 30. Nic jednak z tą wiedzą nie zrobiły. Panowało dyplomatyczne milczenie. Wywiad i dyplomacja II RP miały informacje o deportacjach w latach 1935-1936 ludności polskiej z terenów radzieckiej Białorusi i Ukrainy oraz o represjach wobec określonych grup Polaków, np. księży (podejmowano interwencje w ich obronie), ale nie ogarniały całości zjawiska. Nie uświadomiono sobie, że w sierpniu 1937 r. rozpoczęły się masowe represje wobec Polaków mieszkających w ZSRR, wszystkich, bez wyjątku, prowadzące do ich eksterminacji. Antypolski charakter polityki wewnętrznej stalinowskiego kierownictwa Związku Radzieckiego był rzeczywistością, której nawet rządząca w II RP sanacja nie chciała przyjąć do wiadomości.

W styczniu 1938 r., czyli w szczycie Wielkiego Terroru w ZSRR, w Sejmie odbyła się dyskusja na temat sytuacji Polaków w tym państwie. Na wystąpienie posła Jana Walewskiego, który m.in. poruszył temat przesiedleń Polaków, mówiąc, że ich sytuacja „pozostaje poniżej cywilizowanych standardów", Józef Beck odpowiedział, że nie jest to jedyny problem w relacjach polsko-radzieckich i nie ma nadziei na skuteczną akcję dyplomatyczną.

Szef MSZ już wcześniej, bo w styczniu 1936 r., przejawiał podobny stosunek do tragicznego losu Polaków na Wschodzie, mówiąc w exposé o szykanowaniu rodaków, ale wyłącznie w Czechosłowacji. O nieporównywalnie drastyczniejszym traktowaniu mniejszości polskiej przez reżim stalinowski nie wspomniał.

Mechanizm wykluczenia

Czym mogło to być spowodowane? Wiedza władz II RP o coraz bardziej tragicznym położeniu Polonii radzieckiej była fragmentaryczna i być może sądzono, że represje dotyczą głównie przebywających w Związku Radzieckim polskich komunistów. Nic bardziej mylnego. Działacze KPP stanowili tylko 3,3% ofiar śmiertelnych operacji polskiej NKWD.

Zadziałał również taki sam mechanizm wykluczenia jak sześć lat później w wypadku Polaków z Wołynia, którzy stali się ofiarami ludobójstwa popełnionego przez nacjonalistów ukraińskich. Dla biernej wobec ich losu Komendy Głównej AK byli jako chłopi kimś na niższym szczeblu drabiny społecznej, mniej ważnym, brutalnie mówiąc, niż warszawska elita. Polonia w Związku Radzieckim – mieszkająca w 70% na radzieckiej Ukrainie – też w większości składała się z ludności wiejskiej czy ogólnie prowincjonalnej. Polskie MSZ postrzegało ją jako zdemoralizowaną warunkami państwa komunistycznego biedotę, której przybycie do Polski byłoby problematyczne albo wręcz niedopuszczalne.

O tym, że rządzący w II RP tak właśnie widzieli Polonię radziecką, świadczy opracowana latem 1936 r. przez polskie MSZ „Instrukcja prawno-konsularna dla urzędów konsularnych RP w ZSRS". Kategorycznie zabroniono w niej polskim konsulom kierowania się względami humanitarnymi przy rozpatrywaniu spraw repatriacyjnych.

Mieszkaniec Winnicy Jan Paciórkowski pisał w marcu 1936 r. do Konsulatu Generalnego RP w Kijowie: „Panie Konsulu! (...) Obrazy spalili, poniszczyli krzyże, a księży gnoją w tiurmach i my nie mamy prawa się modlić. Wydaje mi się, że jest tu jakaś podłość ze strony naszych polskich przedstawicieli, inaczej być nie może. Pisaliśmy do Moskwy do naszego Ambasadora, który nie odpowiedział na list. Myślimy, że wszyscy się zaprzedaliście i nas, Polaków, nie ma kto bronić".

Inny Polak, Julian Wesoły, w lutym 1938 r. prosił żonę w grypsie więziennym: „Napisz do Konsulatu, że zmuszono mnie do napisania oświadczenia, że zostałem zaciągnięty do organizacji szpiegowskiej w 1928 r. podczas wydawania mi paszportu. Trzy doby zmuszali mnie do stania na nogach i nie dawali spać. Opuchły mi nogi, ból nie do wytrzymania, i ja nie wytrzymałem, i napisałem, żeby otrzymać czasową ulgę".

Adresatem tych dramatycznych listów był Jan Karszo-Siedlewski (1891-1955), konsul generalny RP w Charkowie (1932-1934) i Kijowie (1935-1938) oraz radca ambasady RP w Moskwie. Mimo że w świetle wspomnianej instrukcji MSZ niewiele mógł pomóc ofiarom, informował zwierzchników o niszczeniu resztek polskości w ZSRR. Przekonywał również Warszawę, że Polacy na Ukrainie radzieckiej są patriotami, którzy zasługują na pomoc. Niestety, polskie MSZ raczej dawało wiarę temu, co napisał w raporcie kpt Jerzy Niezbrzycki (1902-1968), kierownik Referatu „Wschód" Oddziału II Sztabu Głównego WP. W jego ocenie Polacy w ZSRR nie mieli „nic i nikogo, co by ich łączyło z Polską". Uważał, że chociaż byli dalecy od sprzyjania władzy bolszewickiej, to jednak stawali się podatnym gruntem dla komunistycznej i antypolskiej propagandy.

Polacy zamordowani w ramach operacji polskiej NKWD (co najmniej 111 097 osób) stanowili 16,29% ofiar Wielkiego Terroru.

Polacy byli pierwszą grupą ludności w ZSRR, którą Stalin skazał na zagładę z powodów nie tylko ideologicznych, ale i narodowych. Ich los był preludium do tego, co nastąpiło w wyniku realizacji paktu Ribbentrop-Mołotow, czyli deportacji z Kresów Wschodnich w latach 1939-1941 i zbrodni katyńskiej.

Brak zdecydowanej reakcji władz II RP na pogarszające się od 1935 r. położenie Polonii, a zwłaszcza brak całościowej wiedzy o represjach podjętych w ramach operacji polskiej NKWD i niealarmowanie o nich światowej opinii publicznej zemściły się w 1943 r., kiedy rząd Władysława Sikorskiego bezskutecznie próbował poruszyć sumienie Zachodu informacją o zbrodni katyńskiej.

Bohdan Piętka

eprasa.pl b1b16130d5



Lewomyślniej Roman Kurkiewicz

Za Wolność Waszą i Naszą!

Od lata obchodzimy lub moglibyśmy obchodzić rocznice kolejnych wydarzeń mających miejsce 90 lat temu w Hiszpanii. Mówię tu o oporze, który przerodził się w wojnę domową, po puczu gen. Franco przeciw demokratycznie wybranemu rządowi Republiki – rządowi sprawowanemu przez Front Ludowy, czyli szeroką koalicję partii lewicowych, w tym komunistów. W reakcji na pucz frankistów do Hiszpanii z całego świata zaczęli napływać antyfaszystowscy ochotnicy, by powstrzymać ekspansję faszyzmu hiszpańskiego, a w praktyce także włoskiego i niemieckiego.

Wśród nich chwalebną kartę zapisali bojownicy i bojowniczki z Polski, którzy jesienią 1936 r. utworzyli Brygadę im. Jarosława Dąbrowskiego, wchodzącą w skład Brygad Międzynarodowych. Polscy ochotnicy, w liczbie ok. 5 tys., składali się w dużej mierze z Żydów, komunistów, socjalistów, związkowców oraz anarchistów i żołnierzy bez jasnej przynależności partyjnej. Do Hiszpanii dostawali się na kilka sposobów – jedni byli wysyłani przez KPP, korzystającą z kontaktów z siatką komunistycznych partii i działaczy w całej Europie, drudzy – na własną rękę, pokonując kolejne zielone granice.

Dąbrowszczacy uczestniczyli w wielu kluczowych bitwach: o Madryt, Guadalajarę, nad Ebro. Oni pierwsi walczyli z tymi, o których wówczas mówiono: „Dzisiaj Madryt, jutro Warszawa". W rzeczy samej – Legion Condor, doborowa jednostka wojsk Hitlera, już od sierpnia 1936 r. angażował się w bombardowania i ataki myśliwców na pozycje obrońców Republiki. Trzy lata później zrzucał bomby na Warszawę. Zbombardowanie Guerniki na zawsze już pozostanie symbolem bestialstwa wobec ludności cywilnej. Kopia tego obrazu Picassa jest wciąż do obejrzenia w Muzeum X Pawilonu w warszawskiej Cytadeli. W wielkiej powieści Ernesta Hemingwaya „Komu bije dzwon" został uwieczniony gen. Karol Świerczewski, przedstawiony jako gen. Golz, a postać głównego bohatera, Roberta Jordana, była tak naprawdę wzorowana na dąbrowszczaku, robotniku Antonim Chroście, którym Hemingway zafascynował się podczas pobytu w Hiszpanii.

Historia dąbrowszczaków oraz innych polskich ochotników wolności była pełna meandrów. II Rzeczpospolita pozbawiła ich polskiego obywatelstwa. Niektórzy po internowaniu we Francji uciekali i rozpoczynali współpracę z francuskim ruchem oporu, inni przedzierali się do Polski i Związku Radzieckiego. Walczyli u Berlinga i Maczka, brali udział w desancie kościuszkowców podczas powstania warszawskiego, walczyli w oddziałach Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Po wojnie mieli znaczący wpływ na formowanie Ludowego Wojska Polskiego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, struktur bezpieczniackich i milicyjnych.

Równocześnie trafiali do stalinowskich więzień, sądzono ich w procesach tamtych lat. W PRL byli i hołubieni, i zapominani, prześladowani. Po 1989 r., w klimacie jaskiniowego antykomunizmu, działań dekomunizacyjnych i przepisywania historii na nowo, zostali pozbawieni statusu kombatantów (kiedy przy życiu została ich garstka). W ostatnich latach lewicowy rząd Hiszpanii zaoferował rodzinom żołnierzy Brygad Międzynarodowych obywatelstwo hiszpańskie aż do trzeciego pokolenia.

O dobre imię dąbrowszczaków upomnieli się w 2007 r. sygnatariusze „Apelu Antygony". Później, w reakcji na ahistoryczne szarże IPN usuwającego nazwy ulic, miejsc, szkół związane z polskimi ochotnikami, zawiązało się Stowarzyszenie Ochotnicy Wolności (którego mam zaszczyt być częścią). Podjęło walkę w obronie nazw ulic Dąbrowszczaków we współpracy z lokalną ludnością; udało się ocalić nazwy dwóch takich ulic: w Olsztynie i Warszawie. Jeszcze w latach 90. z Grobu Nieznanego Żołnierza skuto nazwy bitew z wojny hiszpańskiej: Madryt, Ebro, Guadalajara.

Jako stowarzyszenie wraz ze Związkiem Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych oraz Komisją Historyczną Nowej Lewicy przygotowaliśmy w tym roku oficjalne, skromne obchody upamiętniające dąbrowszczaków na Powązkach Wojskowych, gdzie znajduje się ich kwatera. Uroczystości towarzyszyło spotkanie dyskusyjne wokół dwóch przełomowych książek: „Mieliśmy w sobie płomień. Polscy ochotnicy w hiszpańskiej wojnie domowej" Jeremiego Galdameza Muñoza (wyd. Czarne) oraz Aleksandry Lipczak „Bezgraniczne. Antyfaszystki z Polski na wojnie domowej w Hiszpanii" (wyd. Karakter). Obydwie publikacje szeroko czerpią z niewykorzystywanych wcześniej źródeł na ten temat. Należy w tym miejscu przypomnieć także „Dąbrowszczaków" Piotra Ciszewskiego i „Śląsk zbuntowany" Dariusza Zalegi.

Tradycyjna, największa demonstracja antyfaszystowska w Warszawie 11 listopada przejdzie pod hasłem „Za Wolność Waszą i Naszą!", uniwersalnym wezwaniem lewicowych formacji w XX i XXI w., hasłem widniejącym na sztandarach Brygady im. Dąbrowskiego. Czas na pamięć, na jaką zasłużyli, składając ofiarę życia w imię najlepiej pojętego internacjonalizmu i humanitaryzmu. ■



eprasa.pl b1b16130d5

Rzezie na Wołyniu – inne spojrzenie

Teresa Jakubowska

W artykułach i wypowiedziach na bolesny temat mordów na ludności polskiej na Wołyniu w czasie II wojny światowej (głównie w 1943 r.) zastanawiał mnie zawsze brak refleksji co do przyczyn potwornej nienawiści wobec Polaków. Ta nienawiść stała się zarzewiem okrucieństwa UPA i innych formacji.

Na początek zacytuję gorzkie słowa Józefa Becka, przedwojennego ministra spraw zagranicznych, napisane w Rumunii, w czasie wojny, w pamiętniku „Ostatni raport": „Do głównych sprawców tragedii mego kraju należy Watykan. Zbyt późno pojąłem, że nasza polityka zagraniczna służyła interesom Kościoła katolickiego".

Ta polityka polegała na przymusowej polonizacji = katolicyzacji ludności ukraińskiej, białoruskiej i innych mniejszości na wschodnich terenach II RP, gdzie Polacy stanowili zdecydowaną mniejszość. Przymusowa polonizacja polegała na dyskryminacji miejscowej ludności i pogardzie okazywanej jej przez polskie władze. Urzędnicy państwowi, często kombatanci – legioniści Piłsudskiego, byli tam osiedlani za zasługi wojenne. Aby można było załatwić sprawę, wymagali oni nieraz znajomości języka polskiego, a bywało, że i przejścia na katolicyzm. Zwłaszcza w prostych chłopach rosło więc poczucie krzywdy i poniżenia.

Mój korespondent Stanisław Hłodzik pisze: „Za Austro-Węgier współżycie dwóch narodów Galicji było raczej zgodne. Ukraińcy podobnie jak Polacy mieli równorzędny dostęp do oświaty, stanowisk urzędniczych i w policji. W armii mieli wielu oficerów, w tym generałów. W 20-leciu międzywojennym spychano ten naród do poziomu ludu kolonialnego, rugując ze stanowisk w administracji, policji, z kadry oficerskiej".

Niszczono szkolnictwo ukraińskie. „Na obszarze lwowskiego okręgu szkolnego (woj. lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie) jeszcze w 1922 r. było 1435 małych szkół z językiem ukraińskim, ale w 1934 r. pozostało ich 457. Na Wołyniu, tym najbardziej ukraińskim województwie, w 1925 r. istniało ok. 500 szkół ukraińskich, do 1933 r. pozostało zaledwie sześć. Ukraińskie szkolnictwo średnie niemal zlikwidowano. Zaniedbano region pod względem gospodarczym. W 1938 r. zużycie energii elektrycznej na mieszkańca wynosiło w Polsce 115 kWh, lecz na terenie byłej Galicji Wschodniej zużywano zaledwie 14 kWh na mieszkańca, z czego lwią część zużywał Lwów".

Prof. Paweł Borecki we wstrząsającym artykule „Hańba i wstyd. Jak w Drugiej Rzeczypospolitej niszczono prawosławne cerkwie" (dostępny w internecie łącznie z dokumentacją fotograficzną) omawia akcje niszczenia od 1918 r. wieluset świątyń prawosławnych na Wołyniu, Polesiu, południowym Podlasiu i Chełmszczyźnie. Apogeum tych akcji przypadło na lato 1938 r., kiedy na Lubelszczyźnie zburzono 127 prawosławnych obiektów sakralnych, niektóre nawet wielkiej wartości historycznej. Kilka cerkwi pochodziło z XVI w. Cerkiew w Szczebrzeszynie z fragmentami z XII w. uratowała się tylko dlatego, że do jej zburzenia nie dopuścił ordynat Maurycy Zamoyski. Cytuję: „Rozbiórki odbywały się pod osłoną wojska i policji zwykle na koniach, zdarzały się przypadki bezczeszczenia świątyń i cmentarzy, niszczono całe wyposażenie świątyń, jednocześnie je profanując. Zarazem w stosunku do ludności nawet biernie w rozpaczy obserwującej akty wandalizmu wobec miejsc dla niej świętych, stosowano przemoc; bito pałkami, kolbami karabinów, szczuto psami. W kilkunastu przypadkach doszło do czynnych wystąpień wiernych w obronie cerkwi. Wówczas obyło się bez śmiertelnych wypadków, ale z krwią".

Tak więc ci prości ludzie, fanatyczni religijnie, podobnie zresztą jak ludność polska, zostali poniżeni i zranieni do żywego. Czy można się dziwić, że tłumiona nienawiść do Polaków przy najbliższej okazji wybuchła z ogromną siłą? Prof. Borecki cytuje prof. Tadeusza Chrzanowskiego wspominającego dzieciństwo i gniew ojca, który na wieść o burzeniu cerkwi załamywał ręce: „Nas kiedyś Rusini wyrżną bez cienia litości, nam tego nigdy nie wybaczą". Jakże prorocze słowa.

Były to akty bezprawia państwowego niezgodne z konstytucyjnym porządkiem nowego państwa polskiego. Konstytucja marcowa z 1921 r. zapewniała równość praw wszystkim obywatelom bez względu na narodowość i religię. Także Konstytucja kwietniowa z 1935 r. zawierała zakaz dyskryminacji politycznej ze względu na pochodzenie, wyznanie, płeć i narodowość. Niestety, tylko w teorii. Przypominam, że ludność prawosławna na terenach wschodnich II RP stanowiła liczebnie przygniatającą większość. Przekazy mówią, że w czasie rzezi wołyńskiej nielicznym Polakom udało się ocalić życie za obietnicę przejścia na prawosławie. Prześladowanie miejscowej ludności posłużyło również jako pretekst do wejścia Armii Czerwonej na ziemie polskie 17 września 1939 r.

Konflikty między naszymi narodami trwały wieki. Ale fakty, o których piszę, były świeżo w pamięci ludzi biorących udział w wydarzeniach 1943 r. Trzeba też podkreślić, że większość ziem, o których mowa, stanowiła własność polskiej arystokracji, a rdzenni chłopi bezrolni najczęściej żyli w upadlającej nędzy.

Nie usprawiedliwiam mordów na Polakach. Trzeba jednak zdobyć się na odrobinę historycznego obiektywizmu w ocenie tych wydarzeń. Pamiętajmy, że wojny o podłożu religijnym w dziejach ludzkości charakteryzowały się prawie zawsze wyjątkowym okrucieństwem.

Autorka jest wdową po wybitnym profesorze prawa Jerzym Jakubowskim; z zawodu jest handlowcem międzynarodowym

eprasa.pl b1b16130d5

Debaty pod patronatem Macieja Rataja

Jan Machynia

Z pomysłem powołania do życia Instytutu Politycznego im. Macieja Rataja wystąpił 14 lat temu na XI Kongresie PSL ubiegający się o przywództwo w partii Janusz Piechociński. Polityk ten znany był z wielu świetnych pomysłów, gorzej natomiast bywało z ich realizacją. Instytut mógłby podzielić los innych niezrealizowanych projektów byłego prezesa, gdyby wyzwania, zarysowanego bardziej hasłowo niż merytorycznie, nie podjął Czesław Siekierski. Właśnie ten polityk nadał mu formę i wytyczył kierunek działania. Dobrze też odczytał przesłanie zapisane życiem i działalnością Rataja – wybitnego działacza ludowego i państwowca, marszałka Sejmu w II Rzeczypospolitej.

Rataj był świetnym i – co najważniejsze – wiarygodnym partnerem w rozmowach mediacyjnych z przywódcami skłóconych stronnictw oraz skutecznym, kierującym się interesem państwa negocjatorem, w czym wspomagała go „łatwość współżycia towarzyskiego".

Dwukrotnie pełnił obowiązki głowy państwa: najpierw w grudniu 1922 r. po zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza, a następnie po zamachu majowym trzy i pół roku później, gdy na jego ręce złożył rezygnację prezydent Stanisław Wojciechowski. W grudniu 1922 r. dzięki szybkim i zdecydowanym działaniom Rataja udało się zapanować nad zrewoltowaną i podburzaną przez endecję ulicą. Gdy zaś w 1923 r. upadał drugi rząd Witosa, również on złożył rezygnację z funkcji marszałka Sejmu. Nie została jednak przyjęta i był to jedyny taki przypadek w dziejach nowoczesnego polskiego parlamentaryzmu.

We wrześniu 1939 r. Rataj odmówił opuszczenia kraju. Po klęsce wrześniowej z marszu zaangażował się w tworzenie konspiracji. Wspomagany przez socjalistę Mieczysława Niedziałkowskiego w dużym stopniu przyczynił się do tego, że konspiracja nie ograniczyła się do tworzenia podziemnego wojska, lecz uzyskała zaplecze polityczne. Niemcy rozstrzelali



Dr Czesław Siekierski, założyciel i szef Instytutu Politycznego im. Macieja Rataja.

go w czerwcu 1940 r. w Palmirach. Jako jeden z nielicznych spośród 400 zamordowanych tego dnia Polaków nie miał zawiązanych oczu. Lufa karabinu i zimne oczy morderców to ostatni widok, jaki zabrał z tego świata.

Obranie takiego człowieka na patrona think tanku, jakim jest instytut, zobowiązuje. Czy dr Czesław Siekierski sprostał temu zadaniu?

Rataj był wybitnym działaczem ludowym i państwowcem, marszałkiem Sejmu w II RP.

Wydaje się, że stara się podążać drogą wielkiego poprzednika. Instytut z jego inspiracji jest organizatorem otwartych debat i seminariów poświęconych najważniejszym bieżącym zagadnieniom z zakresu polityki, gospodarki, praworządności, rolnictwa, zdrowia, ekologii, samorządności, relacji z UE itp. W roli prelegentów występują wybitni przedstawiciele świata nauki i polityki, niekoniecznie związani z PSL, np. profesorowie Jerzy Buzek, Andrzej Paczkowski i Jerzy Wilkin czy dr Janusz Steinhoff oraz wielu innych.

Dwukrotnie gościem instytutu był prof. Wojciech Sadurski. W wykładzie wygłoszonym trzy lata temu, tuż po wyborach parlamentarnych, przedstawił własne recepty na naprawę demokracji i przywrócenie w Polsce praworządności. Teraz, w gościnnych progach Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi, rozwinął ówczesne tezy, omawiając postępy w redemokratyzacji po autorytarnych rządach PiS. Przy tej okazji przypomniał słowa Donalda Tuska: „Zwyciężymy, rozliczymy, krzywdy naprawimy, pojednamy". Premier był tak przywiązany do tej frazy, że powtórzył ją na Marszu Miliona Serc, a następnie w orędziu noworocznym. Co dziś zostało z tych optymistycznych zapowiedzi, widzimy gołym okiem. Prelegent wskazał jednak liczne ograniczenia i przeszkody w realizacji obietnic wyborczych, w tym zabetonowane przez PiS enklawy autorytaryzmu, czego przykładem jest działalność niektórych instytucji. Jeśli trzy lata temu w odniesieniu do instytucji mówił, że „musimy znaleźć mądrą równowagę między zasadami a pragmatyzmem", to teraz zaostrzył ton, postulując sięganie w celu przywrócenia demokratycznego ładu po środki niekonwencjonalne, w tym te rekomendowane przez Komisję Wenecką.

Bez uzdrowienia instytucji nie będzie możliwe pojednanie. Cierpliwość ludzi w oczekiwaniu na zmiany ma granice, a udzielonego koalicji kredytu zaufania nie można bez końca prolongować. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b1b16130d5

Nie tylko brak koncentracji

Jak ADHD wpływa na pracę, relacje i życie?

Rozmawia Urszula Abucewicz



ANETA PAWŁOWSKA-KRAĆ
– dziennikarka, socjolożka. Autorka książek „Głośnik w głowie. O leczeniu psychiatrycznym w Polsce" oraz „Milion myśli naraz. O dorosłych z ADHD". Pracuje w dziale społecznym PAP. Pisze o zdrowiu.

Czy ADHD stało się modne? Można odnieść wrażenie, że wszyscy wokół mają to zaburzenie.

– Trudne pytanie. Słyszałam je wiele razy i nadal nie potrafię jednoznacznie na nie odpowiedzieć. W pewnym sensie zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi (ADHD) rzeczywiście stał się modny, bo dużo się o nim mówi. To bardzo nośny temat.

Objawy ADHD nie są jednak specyficzne wyłącznie dla tego zaburzenia. Jak powiedział mi niedawno jeden z psychiatrów, wiele osób może mieć cechy charakterystyczne dla ADHD, co nie oznacza, że mają to zaburzenie, bo żeby je zdiagnozować, muszą być spełnione określone kryteria. Cechy charakterystyczne dla ADHD mogą występować u znacznie większej liczby osób, ale z najnowszych analiz wynika, że samo zaburzenie dotyczy ok. 3% dorosłej populacji. W Polsce to ok. 900 tys. osób, jednak z szacunków wynika, że diagnozę ma niewielka część tej grupy.

Po czym rozpoznać, że ktoś ma zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi?

– Rozpoznanie ADHD wymaga spełnienia kilku warunków. Po pierwsze, objawy muszą występować w dorosłości, w odpowiedniej liczbie i nasileniu. Po drugie, musiały być obecne już w dzieciństwie (zgodnie z kryteriami diagnostycznymi przed ukończeniem 12. roku życia). Po trzecie, muszą powodować trudności w co najmniej dwóch obszarach życia, np. edukacji, pracy czy relacjach z innymi. Jeżeli żaden z tych obszarów nie ucierpiał, to nie ma mowy o ADHD. Osoba z ADHD musi ponieść koszt. ADHD musi powodować cierpienie. Bez tego nie ma diagnozy.

Jaki rachunek wystawia ADHD?

– Koszty mogą być bardzo różne, a rachunki dotyczą wielu obszarów życia. Osoby z diagnozą mają gorsze zdrowie fizyczne, bo trudniej im zadbać o siebie, dobrze się odżywiać i systematycznie uprawiać aktywność fizyczną. Oczywiście nie wszyscy, bo są tacy, którzy bez sportu nie potrafią żyć.

Cierpią relacje z innymi. ADHD może się wiązać z impulsywnością i wybuchowością. Oczywiście wiele zależy od zaburzenia i indywidualnych cech danej osoby. U jednych dominuje nadaktywność i impulsywność, u drugich – trudności z koncentracją i utrzymaniem uwagi, którym nie musi towarzyszyć wysoki poziom energii. Jest też trzeci typ – mieszany, połączenie obu powyższych.

Osoby z ADHD popadają w długi. Bardzo często mają nieunormowaną sytuację finansową, podejmują też nagłe i nieprzemyślane decyzje. Wpadają na świetne pomysły, które trzeba natychmiast wdrożyć, nie zawsze z uwzględnieniem ich kosztu.

FOT. KACPER KRASUSKI

eprasa.pl b1b16130d5

Na ile różnorodne mogą być objawy ADHD? Czy można mówić o dwóch identycznych przypadkach?

– Nie można, dlatego ten rachunek będzie różny u różnych osób. Ktoś będzie ciągle tracił pracę, ale ktoś inny będzie osiągał w niej sukcesy, bo ma pracę dobraną do swoich cech, objawów, osobowości, kompetencji i charakteru. Są dziedziny, w których ADHD-owcy świetnie sobie radzą. Nie można przyłożyć jednej matrycy do każdej osoby.

Jest też „ciche" ADHD.

– W tej postaci dominują trudności z koncentracją uwagi. To przeciwieństwo stereotypowego obrazu nadaktywnego, niegrzecznego chłopca, który przeszkadza w lekcjach.

„Ciche" ADHD częściej objawia się u kobiet. To są te zamyślone marzycielki, które żyją w swoim świecie. Nie do końca są obecne w szkole na lekcjach. Nie zawsze wiedzą, co się wokół nich dzieje, ale że nie zwracają niczyjej uwagi, nikomu nie przeszkadzają, nikt ich nie wysyła na diagnozę. Bo z nikim się nie biją, nie ciągną za warkocze, nie rysują komuś po zeszytach.

Dlaczego ADHD u kobiet może się objawiać inaczej niż u mężczyzn?

– Po pierwsze, narzędzia diagnostyczne (formularze i kryteria rozpoznawania ADHD) opracowywano na podstawie badań, w których uczestniczyli głównie chłopcy. Podobny problem występował zresztą w przypadku spektrum autyzmu. W rezultacie kryteria diagnostyczne dotyczyły cech najczęściej występujących u płci męskiej, a dziewczynki, u których ADHD przebiegało mniej stereotypowo, pozostawały niezdiagnozowane.

Druga kwestia to wzorce kulturowe. Wymagania wobec dziewczynek i chłopców są przecież zupełnie inne. O chłopcu, który biega, rozrabia i jest głośny, często mówi się, że to żywe srebro, i przymyka się oko na jego zachowanie. Dziewczynka kulturowo ma być grzeczna, miła, pomocna i nikomu nie przeszkadzać. Jeśli więc nawet u dziewczynki występowały objawy nadpobudliwości, to szybko nauczyła się je ukrywać, żeby wpasować się w narzucaną jej rolę. Mimo zmian kobiety nadal mierzą się z wysokimi oczekiwaniami społecznymi i zapewne dlatego próbują ukryć różne swoje trudności, za wszelką cenę starając się dopasować do otoczenia.

I trzecia kwestia: problem z koncentracją uwagi nie rzuca się w oczy. Nie widać, że ktoś gubi wątki, rozprasza się, robi coś i nie może tego dokończyć. O tym, że odpłynął, wie tylko on sam. Trudności wychodzą na jaw dopiero wtedy, gdy pojawiają się konkretne konsekwencje, np. gdy szef wezwie na dywanik i zapyta, gdzie jest raport, a ty nawet nie wiesz, gdzie w ogóle są dokumenty.

Czy zmiany hormonalne wpływają na to, kiedy kobiety zgłaszają się na diagnozę?

– Często na diagnozę trafiają dziewczynki w okresie dojrzewania, kobiety po urodzeniu pierwszego lub drugiego dziecka, w czasie perimenopauzy albo po menopauzie, bo właśnie wtedy, gdy spada poziom estrogenów, „wybijają" objawy ADHD.

Dlaczego tak jest?

– Załóżmy, że kobieta nauczyła się radzić sobie z trudnościami. Wypracowała różne mechanizmy kompensacyjne, korzysta z przypomnień, karteczek, opracowała cały system, który pomaga jej nie gubić rzeczy, dokumentów, zdążyć do pracy, wykonać zadania na czas. Udaje się jej również utrzymać porządek w domu i sprawnie organizować codzienne życie.

A potem rodzi się dziecko. Spada poziom estrogenów, a wypracowane mechanizmy przestają wystarczać. Objawy się nasilają: jeszcze trudniej się skupić, zapamiętać, zorganizować się i dopiąć wszystkie sprawy. Do tego dochodzi opieka nad małym dzieckiem, które wymaga nieustannej uwagi. I jeszcze brak snu. A osoba niewyspana, niezależnie od tego, czy ma ADHD, czy nie, może być bardziej impulsywna i mieć jeszcze większe problemy ze skupieniem. Dlatego narodziny dziecka bywają momentem kryzysowym, który skłania kobietę do szukania pomocy i diagnozy.

Podobnie może być w okresie menopauzalnym. Właśnie wtedy wiele kobiet zgłasza się na diagnozę. Wcześniej wszystko działało, życie było poukładane, a potem nagle spadek poziomu hormonów nasilił objawy i dotychczasowe sposoby radzenia sobie przestały wystarczać.

Co sprawia, że osoby z ADHD tak często potrzebują nowych bodźców?

– Musi się dziać. Nuda jest czymś najgorszym na świecie. Zabija. ADHD-owcy mogą mieć najbardziej opłacalną pracę na świecie, ale jeśli się w niej nudzą, szybko ją rzucają. Rozmawiając z bohaterami książki, zauważyłam, że pieniądze nie są dla nich tak ważne jak poczucie sensu wykonywanej pracy.

ADHD dotyczy ok. 3% dorosłej populacji. W Polsce to ok. 900 tys. osób, jednak z szacunków wynika, że diagnozę ma niewielka część tej grupy.

Osoba neurotypowa odczuwa satysfakcję z dobrze wykonanego zadania. W przypadku osób z ADHD ten impuls musi być dużo silniejszy, dlatego pakują się w różnego rodzaju kłopoty, podejmują nagłe decyzje o zmianie miejsca życia albo kierunku kariery zawodowej. Jaki to problem zamieszkać w innej części Polski albo zacząć robić coś zupełnie innego? Z jednej strony kłopoty, z drugiej strony przygody. Zależy, jak to nazwać.

Czy ADHD ma podłoże genetyczne? Kanadyjski lekarz Gabor Maté twierdzi, że źródeł tego zaburzenia należy szukać w traumatycznych doświadczeniach z wczesnego dzieciństwa lub z okresu prenatalnego.

– Ma taką teorię, to prawda. Ale nie jest ona zgodna z dominującym stanowiskiem naukowym. Badania wskazują, że dziedziczność ADHD wynosi 75-80%. Trudno uznać to za przypadek.

Czy rzeczywiście mózg osoby z ADHD można porównać do mózgu łowcy?

eprasa.pl b1b16130d5

– Jest taka hipoteza, która próbuje romantyzować ADHD. Jestem daleka od tego. Zawsze jest koszt. Mam poczucie, że niektóre osoby intuicyjnie wybierają zawody dopasowane do swoich predyspozycji, nawet jeśli nie wiedzą, że mają ADHD. A jeśli tak się nie dzieje, warto zadbać o to, żeby praca odpowiadała ich potrzebom i sposobowi funkcjonowania.

Psychiatra Paweł Brudkiewicz opowiadał mi o swoim pacjencie, policjancie. Dopóki ów pacjent „biegał po krzakach" i łapał bandytów, świetnie sobie radził i robił błyskotliwą karierę. Był łowcą. Kłopoty zaczęły się, kiedy chciał podnieść kwalifikacje i zmienić pracę. Gdy rozpoczął studia, okazało się, że siedzenie na zajęciach, robienie notatek i wielogodzinne skupienie sprawiają mu ogromną trudność. Zaczął więc szukać przyczyny, bo wiedział, że nie brakowało mu możliwości intelektualnych. Trafił do psychiatry, został zdiagnozowany – i wtedy okazało się, że ma ADHD.

W „cichej" postaci ADHD dominują trudności z koncentracją uwagi. To przeciwieństwo stereotypowego obrazu niegrzecznego chłopca. Częściej objawia się ono u kobiet.

Co ciekawe, Brudkiewicz powiedział, że gdyby ów mężczyzna nie miał potrzeby zmiany kierunku zawodowego i dalej łapał przestępców, nie byłoby podstawy do postawienia diagnozy.

Dlaczego?

– W tamtej pracy objawy ADHD mu nie przeszkadzały. Nie było kosztu, który skłoniłby go do szukania pomocy. I tu wracamy do tego, co padło na początku rozmowy – jeśli nie ma trudności z powodu objawów, nie ma podstaw do postawienia rozpoznania.

Ten pacjent po diagnozie zaczął przyjmować leki, skończył studia, a później świetnie radził sobie w nowej pracy. Ta historia pokazuje, jak wiele zależy od sytuacji życiowej i zawodowej. Są ścieżki kariery, w których potrzeba nowości, ekscytacji i zmienności może być atutem. Osoba z ADHD może mieć trudności z wielogodzinnym skupieniem na powtarzalnych zadaniach, ale świetnie będzie się odnajdywać w pracy wymagającej szybkiego reagowania i podejmowania decyzji.

Czyli te osoby muszą szczególnie uważnie wybierać swój zawód?

– W książce opisuję historię analityka, który po diagnozie ADHD wpadł na pomysł, że będzie maklerem giełdowym, i świetnie w tej pracy się odnalazł. Obserwował indeksy giełdowe i w mig potrafił podjąć decyzję, którą inni musieliby analizować znacznie dłużej.

Są osoby, u których ADHD wiąże się ze sporym kosztem, ale też popycha je do odkrywania nowych lądów, nowych dziedzin, a w połączeniu z wiarą być może predysponuje do szerzenia Ewangelii czy do życia misyjnego. Podczas pracy nad książką nie mogłam oprzeć się myśli, że św. Paweł i 12 apostołów mogli mieć właśnie ADHD. Byli ciągle w ruchu, dobrze odnajdywali się w zmiennych okolicznościach, nie potrzebowali świętego spokoju ogniska domowego jak hobbit, który mówił: „Przygody są niebezpieczne, bo można spóźnić się na kolację". Z opisów ewangelicznych wyłania się zupełnie inny obraz życia – podporządkowanego misji, a nie codziennej wygodzie.

A odkrywcy Ameryki i osadnicy? Nie wiem, czy mieli ADHD, ale jeżeli ktoś postanawia rzucić całe dotychczasowe życie, popłynąć w nieznane i zacząć tam życie zupełnie od nowa, to musi mieć pewne cechy, które go do tego predysponują. Być może moja hipoteza jest kontrowersyjna, ale co złego jest w tym, że ma się ADHD? Ono było zawsze – w społeczeństwie najprawdopodobniej występował taki sam odsetek osób z ADHD jak dzisiaj. Nie oznacza to, że współczesne problemy z koncentracją zawsze mają związek z ADHD. Media społecznościowe i nieustanny napływ bodźców mogą utrudniać koncentrację, ale takie trudności same w sobie nie oznaczają tego zaburzenia.

Wiele osób po diagnozie ADHD odczuwa ulgę. Inni łapią się za głowę, bo czekają ich kolejne wydatki na psychoedukację i terapie. Nie masz wrażenia, że rynek nadużywa rosnącego zainteresowania tym tematem?

– Zdecydowanie nadużywa. ADHD często współwystępuje z innymi zaburzeniami, np. z depresją, zaburzeniami lękowymi czy uzależnieniami. Dlatego prawidłowo zaplanowane leczenie powinno uwzględniać wszystkie rozpoznane trudności. Psychiatra musi wiedzieć, z czym jeszcze zmaga się pacjent, a to powinno zostać ustalone już na etapie diagnostyki. Tymczasem w wielu polskich placówkach diagnoza koncentruje się na ADHD, bez odpowiedniego sprawdzenia, czy nie występują również inne zaburzenia.

Niedawno rozmawiałam z psychiatrą Tomaszem Gądkiem, który zwrócił uwagę, że w prywatnych poradniach często z góry kupuje się gotowe pakiety diagnostyczne, a przecież dopiero w trakcie wywiadu z psychiatrą można ustalić, jakie badania i konsultacje będą rzeczywiście potrzebne. Rynek wykorzystuje więc rosnące zainteresowanie ADHD, a duży popyt przekłada się na wysokie ceny.

Na co jeszcze zwrócić uwagę, gdy trafimy do prywatnej placówki?

– Sprawdźmy, czy psychiatra ma odpowiednio dużo czasu na przeprowadzenie wywiadu diagnostycznego. Kto go przeprowadza? Czy ma odpowiednie wykształcenie i przygotowanie? Warto o to zapytać, bo ten etap bywa traktowany po macoszemu, a ma ogromne znaczenie dla całego procesu diagnostycznego.

Osoba przeprowadzająca wywiad diagnostyczny z wykorzystaniem formularza DIVA-5 powinna umieć dopytywać, a nie tylko odczytywać pytania. Formularza nie pisali Polacy, dlatego ważne jest, aby umieć odnieść poszczególne zagadnienia do polskich realiów. Zdarza się, że wywiad przeprowadzają studenci lub osoby bez wykształcenia psychologicznego czy medycznego.

eprasa.pl b1b16130d5

Nie zakładajmy, że wszyscy pracownicy poradni specjalizującej się w ADHD mają odpowiednie kwalifikacje. Sprawdźmy, kto odpowiada za poszczególne etapy diagnozy.

Kolejna rzecz: pacjent nie może dostać formularza DIVA-5 do ręki, do samodzielnego wypełnienia. To poważny błąd w sztuce, bo to nie test do wypełniania przez pacjenta, tylko schemat wywiadu diagnostycznego – scenariusz, który stanowi punkt wyjścia dla osoby, która wie, jak tę rozmowę powinno się przeprowadzić i jak właściwie zinterpretować odpowiedzi. Samodzielne zaznaczenie odpowiedzi w formularzu nie zastępuje takiego wywiadu.

Czy w Polsce można zdiagnozować ADHD w placówkach publicznych?

– Teoretycznie diagnozę można uzyskać w ramach NFZ, ale w praktyce diagnostyka odbywa się w placówkach prywatnych. Od niedawna dzięki dofinansowaniu unijnemu dzieci i dorośli z całej Polski mogą skorzystać z bezpłatnej diagnostyki w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie (do 2028 r.). W przypadku kilku zaburzeń występujących u jednego pacjenta, np. spektrum autyzmu i ADHD, przeprowadzana jest diagnostyka w ramach ścieżki neurorozwojowej.

Dostaliśmy diagnozę, że mamy ADHD. Co dalej?

– Myślę, że najważniejszą rzeczą po diagnozie jest psychoedukacja, żeby dowiedzieć się, na co wpływa to zaburzenie, jak działa, jakie mechanizmy radzenia sobie można wprowadzić na co dzień. To nie musi być kolejny bardzo drogi trening w placówce prywatnej. Czytanie książek i rozmowy z innymi również mogą być formą psychoedukacji. Pomaga ona „nauczyć się obsługiwać siebie", lepiej zrozumieć siebie i własne trudności – dlatego moim zdaniem bezpośrednio po diagnozie może być nawet ważniejsza od farmakoterapii. Wiedza o ADHD jest kluczowa.

Na forach internetowych można przeczytać różne opinie o farmakoterapii. Na jednych ludzi działa, na drugich nie. Brać czy poprzestać na psychoedukacji?

– Farmakoterapia nie jest jedynym rozwiązaniem. Pamiętam słowa psychiatrki, którą cytuję w mojej książce: „Leki nie podejmą decyzji za człowieka o rozwodzie. Leki nie podejmą decyzji o zmianie pracy. Pomogą się skupić, ale nie podejmą decyzji, na czym się skupiasz. Możesz się świetnie skupiać po lekach na Instagramie i dalej twoje życie będzie rozsypane na kawałki. Leki pomagają, ale nie zmieniają życia. Są narzędziem, ale to człowiek decyduje, jakie działania podejmie i na czym się skupi".

Urszula Abucewicz

Media społecznościowe i nieustanny napływ bodźców mogą utrudniać koncentrację, ale takie trudności same w sobie nie oznaczają, że mamy ADHD.



eprasa.pl b1b16130d5

Polska nędza w Lidze Europy



Jan Bednarek przymierzył głową i zaliczył debiutancką bramkę w Lidze Mistrzów podczas meczu FC Porto z SSC Napoli 4 listopada 2026 r.

Wojciech Kuczok

24 kwietnia 2013 r. Borussia Dortmund grała z Realem w Lidze Mistrzów. Wracałem akurat z jakiegoś spotkania autorskiego na Kujawach wieczornym pociągiem, żadnego wi-fi oczywiście w nim nie było, droga wiodła przez lasy, próby złapania zasięgu były frustrujące, o transmisji w streamingu można było zapomnieć. Dopiero pod Warszawą zajrzałem do telefonu i przeczytałem na pozór nieścisłą wiadomość od narzeczonej: „Dortmund wygrał 4:1, Lewandowski strzelił". Potem się okazało, że był to komunikat lakoniczny, ale precyzyjny, nikt inny tego dnia Realowi goli nie strzelał, Lewy trafił cztery razy i jeśli ktoś jeszcze wątpił w to, że nasz młody snajper jest graczem klasy światowej, po tym meczu na zawsze zamknął buzię.

Lewandowski okazał się fenomenem, uzbierał w Champions League 109 goli i zdemolował statystyki, ale od kiedy przeniósł się na piłkarską emeryturę za ocean, zdawało się, że bramek Polaków w tych elitarnych rozgrywkach będziemy wypatrywać jak grzybów w suszy. Mam przeczucie graniczące z pewnością, że cztery polskie gole w jednym meczu nie przytrafią się już nigdy. Ba, gotów byłem postawić dolary przeciw orzechom, że nie stanie się to nawet w jednej kolejce ligowej. Owóż, okazałem się człowiekiem nikłej wiary – oto właśnie dokonała się ta rzecz niezwykła za sprawą Piotra Zielińskiego, Jana Bednarka, Jakuba Kiwiora i Wiktora Nowaka.

We wtorkowy wieczór Inter bez wysiłku zgarnął trzy punkty w Rotterdamie, a jedną z głównych ról w tym jednostronnym spektaklu zagrał nasz reprezentacyjny playmaker. Ustalił wynik na 3:0 pięknym uderzeniem lewą nogą zza pola karnego, bramkarz Feyenoordu nie miał nic do powiedzenia. Patrzenie na to, z jaką elegancją Zieliński porusza się po boisku, jaki ma przegląd pola, jak rozdaje piłki kolegom z najlepszej włoskiej drużyny, to czysta przyjemność – nie ma co płakać po Lewym, dopóki Polak jest reżyserem gry w jednej z najsilniejszych drużyn świata. Inter zaliczył co prawda falstart w tym sezonie LM, przegrywając dwukrotnie, jednak zdaje się wychodzić na prostą.

O ile fani Nerazzurrich mogli narzekać na kiepski start swoich ulubieńców w Europie, kibice Napoli mają komplet powodów do załamywania rąk: Massimiliano Allegri przejął drużynę z miasta Partenope w lipcu, a już wszyscy mają go dosyć – w Serie A drużyna grzęźnie w przeciętności i ma już… 14-punktową stratę

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b1b16130d5

do liderującego Lazio, w Champions League po trzech porażkach plasuje się zaś pod koniec trzeciej dziesiątki.

Tym razem Napoli wybrało się do Porto z niejakimi nadziejami na przełamanie, bo Portugalczycy dotąd przegrywali wszystko i zdawali się rywalem do ograna. Zdawali tylko przez 11 minut, dopóki Jan Bednarek nie przymierzył głową po rzucie rożnym, zaliczając debiutancką bramkę w mistrzowskiej lidze. Kiedy tuż przed przerwą wyrównał lider Neapolitańczyków Scott McTominay, nadzieje wśród Włochów odżyły, ale w drugiej połowie gospodarze obeszli się z nimi okrutnie – dołożyli trzy kolejne gole, wśród których znalazła się także celna główka Jakuba Kiwiora. Oskar Pietuszewski oglądał popisy naszych stoperów z ławki, ale nie miał czasu pogrążyć się z tej przyczyny w smutku, bo oficjalne zainteresowanie transferem naszego nastoletniego skrzydłowego wyraził Bayern – kwota 60 mln euro odstępnego Bawarczyków nie odstrasza.

Inny nasz młody brylant miał najtrudniejsze wyzwanie, bo jego praska Slavia podejmowała Arsenal. I choć skończyło się zgodnie z planem zwycięstwem Londyńczyków, Wiktor Nowak w końcówce huknął pod poprzeczkę honorowego gola dla Czechów. Nowak wyrasta w błyskawicznym tempie na gwiazdę światowego formatu, niebawem stanie się filarem reprezentacji i wszystko wskazuje na to, że ma przed sobą wspaniałą karierę.

Nie tylko te cechy łączą go z Robertem Lewandowskim – otóż obaj panowie w wieku juniorskim odbili się od akademii warszawskiej Legii, obaj też potem znaleźli schronienie w Pruszkowie, gdzie w barwach Znicza weszli do seniorskiej piłki. Ale przy Łazienkowskiej znają się lepiej; Legia to stan umysłu.

Dla równowagi: Michał Skóraś, z którym wciąż wiążemy reprezentacyjne nadzieje, został zwinięty z boiska już w przerwie meczu Lens-Como. I choć wszyscy psioczyli na jego bierną postawę, bez niego było jeszcze gorzej – Francuzi dostali tęgie baty i przegrali w rekordowych rozmiarach 1:9. Cesc Fàbregas stworzył w Lombardii nową siłę włoskiego futbolu, Como to piłkarski szkwał, którego ofensywie trudno stawić opór.

Los naszych pucharowiczów w Lidze Europy pozostaje niezmiennie garbaty, w czwartek Lech i Jagiellonia solidarnie przegrały, choć pretensje można mieć tylko do Dumy Podlasia. Wyjazd do Sofii na mecz z Lewskim był bowiem ostatnią realną szansą na to, aby zdobyć komplet punktów niezbędnych do awansu. Teraz czeka Jagę seria gier z potęgami z Anglii i Francji, a w styczniu w Pilznie może już być za późno, by grać o cokolwiek poza premią finansową.

Mistrz Bułgarii to drużyna bardzo przeciętna, choć z tej samej niewysokiej półki co drużyna Adriana Siemieńca. W efekcie oglądaliśmy mierne spotkanie pełne niedokładności, kiksów, nieporozumień i niewymuszonych strat z obu stron. Niesforna piłka odskakiwała zawodnikom bynajmniej nie z powodu nierówności murawy. Nie obyło się bez kuriozalnych błędów w obronie, tym razem dwukrotnie za sprawą Guilherme Montói, ale gracze Lewskiego z prezentów skorzystać nie potrafili.

Jaga zaczęła dziarsko, po kilku minutach powinna była prowadzić, ale Kajetan Szmyt w stuprocentowej sytuacji strzelił w bramkarza. Sędzia prowadził zawody uważnie, lecz bałkańskim kibicom niewiele potrzeba, aby się rozsierdzili – jak drużynie nie idzie, pierwszym do obwinienia o ten stan rzeczy jest arbiter. Lewski grał słabo, więc zaczęło się rzucanie mięsem w stronę sędziego, a potem już czym popadnie – dopiero kiedy Jaga spuściła z tonu i mecz się wyrównał, krewcy kibice też się uspokoili. Jednak Bałkany to nie Argentyna, gdzie każdy mecz oprócz chłopców do podawania piłek i porządkowych obsługują rośli „tarczowi", osłaniający zawodnika gości przy wykonaniu rzutu rożnego trzymaną nad nim antyuderzeniową płytą.

Wszelako Jagiellonia w tym festiwalu nieporadności długo wydawała się kontrolować grę i mecz zmierzał w stronę remisu ze wskazaniem, jednak w końcówce nastoletni bułgarski drągal przymierzył po rogu i głową zdobył zwycięską bramkę dla gospodarzy. Jaga przegrała mecz, w którym nawet remis pozostawiłby niedosyt, i tym samym najprawdopodobniej pogrzebała szanse na wyjście z grupy. Będzie mogła się skupić na lidze i krajowym pucharze, który gwarantuje zdobywcy jesień w którejś z lig europejskich w przyszłym sezonie.

Tym bardziej zdumiewa fakt, że prócz Białostoczan w Pucharze Polski ostały się jeszcze tylko trzy drużyny z Ekstraklasy – Górnik, Raków i płocka Wisła. Reszta przepadła z kretesem po kompromitujących porażkach z drużynami z niższych lig. Taki Lech dostał bęcki od Siarki Tarnobrzeg, czyli średniaka z czwartego poziomu rozgrywek.

Lista meczów hańby Poznaniaków nieustannie się wydłuża, w każdym sezonie kibice Kolejorza muszą przełknąć jakąś gorzką pigułkę, aby potem o niej zapomnieć podczas fetowania tytułu mistrzowskiego. Tym razem może być podobnie, bo choć Lechici w pucharach dostają manto gdzie popadnie, w lidze już moszczą się samodzielnie na fotelu lidera pomimo jednego meczu zaległego.

Kto przegrywa w Tarnobrzegu, nie ma po co jechać do Lizbony – Lech przed starciem z Benficą był skazywany na pożarcie i pożarty został. Klub z Estádio da Luz zadrwił sobie nawet z mistrzów Polski, wrzucając wśród zapowiedzi obrazek, w którym Portugalczycy obierają pyry na kolację. Tradycyjnie Poznaniacy wytrwali bez straty gola ledwie kilka minut, po stracie Yannicka Agnera poszła kontra, Andreas Schjelderup miał wolny hektar po lewej stronie, pociągnął, dograł w pole karne, a Rafa Silva miał czas przymierzyć i poprawić przy biernej postawie obrony i nieudolnej interwencji Mateusza Lisa.

Po łatwej zdobyczy gospodarzom nie chciało się przemęczać, dzięki czemu podwyższyli dopiero po godzinie gry za sprawą świeżo wprowadzonego Argentyńczyka Gianluki Prestianniego. Dla Lecha trafił Leo Bengtsson po prezencie od bramkarza, bo chwile niefrasobliwości zdarzają się nawet najlepszym, ale Polaków dobił pod koniec Heorhij Sudakow. Lech ugrzązł na dnie Ligi Europy, wyprzedza tylko armeński Ararat. ■

eprasa.pl b1b16130d5



Agata Kucińska, kiedyś debiutująca na tym festiwalu, dzisiaj profesor sztuki i dyrektorka Wrocławskiego Teatru Lalek, i Wiesław Geras, inicjator przeglądu teatrów jednego aktora.

ŁOWCA MONODRAMÓW

Długie życie teatrów jednego aktora

Tomasz Miłkowski

60 lat temu, 17 października 1966 r., w Klubie Związku Młodzieży Socjalistycznej Piwnica Świdnicka na wrocławskim Rynku rozpoczęło się pierwsze ogólnopolskie spotkanie teatrów jednego aktora. Nikt zapewne nie przypuszczał, nawet Wiesław Geras, inicjator przeglądu, świeżo upieczony szef Piwnicy Świdnickiej, że otwiera się nowy rozdział w dziejach polskiej sceny jednoosobowej.

Wprawdzie symptomy wzrostu zainteresowania tym rodzajem wypowiedzi teatralnej widoczne były już wcześniej, ale dopiero stworzenie możliwości konfrontacji poszukiwań jej formuły wyzwoliło nową energię. Geras miał to coś, co nazywa się wyczuciem chwili. Doskonale wychwycił, jakie możliwości kryje niewykorzystany potencjał twórczy aktorów, którzy nie mogą się spełnić w teatrze panującym.

Trzeba przecież pamiętać, że nowy teatr jednego aktora na początku drugiej połowy XX w. narodził się w kontrze do tego, co proponował teatr instytucjonalny, choć paradoksalnie część inicjatyw aktorskich powstawała pod parasolem istniejących teatrów państwowych, a z czasem została włączona do planów repertuarowych wielu teatrów. Z tej perspektywy fenomen teatru jednego aktora to efekt uboczny odwilży politycznej, określanej hasłem Październik 1956, czyli reakcja na skostnienie teatru w latach dominacji socrealizmu.

Był to czas tworzenia wielu scen klubowych, „nadscenek", teatrów studenckich, trwających dłużej czy krócej inicjatyw aktorskich, spośród których co najmniej kilka przeszło do historii jako pulsujące pomysłami ośrodki twórcze, choćby Piwnica Świdnicka, Teatr Krypta czy Teatr 13 Muz w Szczecinie i nieco późniejsza Stara Prochownia Wojciecha Siemiona (zainaugurowana w roku 1972). Jan Paweł Gawlik tak opisywał genezę owego fermentu: „Niedosyt ambicji, cierniowa droga indywidualności wśród serwitutów i uników naszego teatru, a w końcu autentyczne zapotrzebowanie na większą różnorodność przeżyć i ofert artystycznych od tej, jaką proponuje teatr zawodowy".

Wiesław Geras próbował już wcześniej zorganizować przegląd monodramów w Toruniu jako szef klubu młodzieżowego Iskra. Zapraszał aktorów na spotkania i prezentacje, m.in. Wojciecha Siemiona, a choć spotkania te cieszyły się dużym zainteresowaniem, nie zyskał poparcia miejscowych władz. Kiedy więc przeniósł się do Wrocławia i od 1 kwietnia 1966 r. objął stery Piwnicy Świdnickiej, znowu spróbował. Tym razem dostał zielone światło i już po kilku miesiącach we Wrocławiu miało się pojawić 17 aktorek i aktorów mierzących się z monodramami.

Przegląd otworzyła Danuta Michałowska monodramem „Komu bije dzwon" według Ernesta Hemingwaya (premiera miała miejsce na Scenie Kameralnej Starego Teatru w Krakowie 8 listopada 1965 r.) – była to już piąta premiera jej Teatru Jednego Aktora, który inaugurowała w krakowskiej Piwnicy pod Baranami pięć lat wcześniej „Bramami raju" na podstawie tekstu Jerzego Andrzejewskiego.

Artystka zepchnęła na daleki plan polityczne tło powieści, koncentrując się na podstawowym pytaniu etycznym, zawartym w tytule powieści Hemingwaya. Interesował ją stosunek człowieka do człowieka, a zwłaszcza do granicy poświęcenia i możliwości narażania go na śmierć.

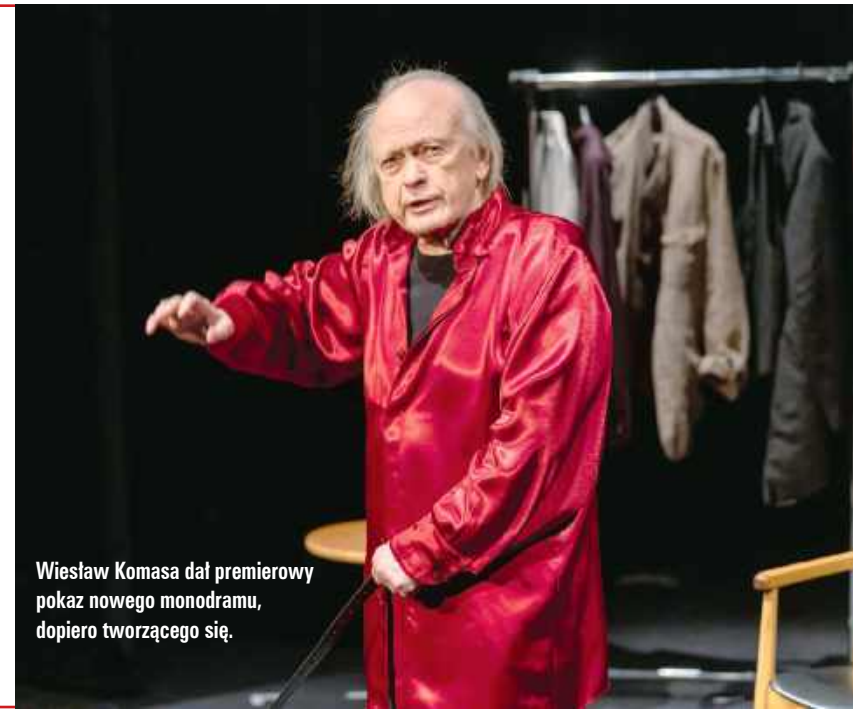
Rzecz toczyła się w słowie, dekoracji właściwie nie było (stół i dwa krzesła), aktorka wystąpiła

eprasa.pl b1b16130d5

W 60. rocznicę narodzin wrocławskich festiwali teatrów jednego aktora Wiesław Geras otrzymał Honorowy Certyfikat Krytyki im. Edwarda Csató przyznany przez polską sekcję Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych w podziękowaniu za niestrudzone inspirowanie rozwoju sztuki monodramu i tworzenie nowych przestrzeni upowszechnienia tego gatunku scenicznego.

Prezydent Wrocławia przyznał mu także medal Ad Gloriam Urbis (Ku chwale miasta).

Oba prestiżowe wyróżnienia Wiesław Geras odebrał podczas jubileuszowego spotkania we Wrocławskim Teatrze Lalek.



Wiesław Komasa dał premierowy pokaz nowego monodramu, dopiero tworzącego się.

w sportowej kurtce i chustce. Scena, kiedy trwają przygotowania do wysadzenia mostu, zyskiwała na dramaturgii dzięki, wydawałoby się, banalnej czynności zapinania guzików kurtki. Spektakl przyjęto entuzjastycznie.

Początek był więc ekscytujący, zwłaszcza że Wiesław Geras zapewnił artystce konfrontację z „ojcem założycielem" teatru jednego aktora, czyli Wojciechem Siemionem. Aktor wystąpił ze „Zdradą" według Izaaka Babla, czwartym monodramem zrealizowanym przez niego w STS-ie, licząc od premiery „Wieży malowanej", która na wrocławskim festiwalu (we fragmentach) została przedstawiona znacznie później.

Na dobrą sprawę Siemiona i pozostałych aktorów, którzy wystąpili ze spektaklami jednoosobowymi na scenie STS-u, Geras zaprosił dosłownie w ostatniej chwili. Współpraca Siemiona z tym teatrem dobiegała końca, próbował znaleźć w Warszawie miejsce dla swojego teatru poezji (z tej idei narodziła się Stara Prochownia), a monodramy przestały już nęcić kierownictwo teatru, które poszukiwało innych form przetrwania STS-u w nowych czasach. Gerasowi sprzyjało szczęście, bo udało mu się pokazać prawie wszystkich aktorów, którzy przedstawili monodramy w STS-ie.

Przypadek sprawił, że na pokazie monodramu Michałowskiej pojawił się ówczesny minister kultury Lucjan Motyka, któremu w dodatku towarzyszył jego odpowiednik z Czechosłowacji. Powstało spore zamieszanie, bo w zasadzie nie było wolnych miejsc, projekt Gerasa okazał się tak trafiony, że ludzie do Piwnicy walili drzwiami i oknami. Z trudem wykrojono miejsca dla niespodziewanych gości. Jak to wyglądało, wspominał Wiesław Geras podczas jubileuszowego spotkania, które 19 października tego roku zwołał we Wrocławskim Teatrze Lalek.

Przyjechali zaś na jego wezwanie liczni miłośnicy teatru jednego aktora, związani z festiwalami jednoosobowego teatru, wśród nich prof. Janusz Degler, który od pierwszego festiwalu wrocławskiego wszystkim kolejnym kibicował, pojawił się Bogusław Kierc, kiedyś deklarujący, że monodramów w zasadzie nie lubi, a potem jeden z klasyków tego gatunku.

Była prof. Katarzyna Flader-Rzeszowska, aktorka amatorka występująca na festiwalach teatru jednoosobowego, a potem zajmująca się jako badaczka historią tego teatru, jego charakterem, autorka kilku monografii poświęconych koryfeuszom sceny jednoosobowej. Była Marzenna Wiśniewska, profesorka z Torunia, interesująca się teatrem formy, ukazująca związek teatru jednego aktora z teatrem przedmiotu. We wspomnieniowym panelu uczestniczył Mirosław Kocur, dyrektor festiwalu Dialog, wybitny badacz teatru, teatrolog ceniący teatr jednego aktora. Był redaktor Mariusz Urbanek, zachęcony niegdyś przez Gerasa do udziału w festiwalach, do ich obserwowania, a później nawiedzający je systematycznie i opisujący na łamach „Odry".

W tym gronie nie mogło zabraknąć Elwiry Militowskiej, która współpracowała z Wiesławem Gerasem w tworzeniu unikatowego archiwum tego teatru, wydając kilka książek będących rejestracją wydarzeń na najważniejszych festiwalach teatrów jednego aktora.

Byli oczywiście także inni twórcy i animatorzy, ale spotkanie nie ograniczało się tylko do towarzyskiego zlotu – okazji do przyjrzenia się sobie po latach, i do rozmów kuluarowych. W wystąpieniach publicznych wspominano, jak ten teatr wyglądał w przeszłości, i oceniano, jak wygląda dzisiaj. Mówiono o licznych inicjatywach podejmowanych w przeszłości, takich jak jedyna chyba na

FOT. MAREK MAZIARZ (2)

eprasa.pl b1b16130d5

świecie seria książek poświęconych fenomenowi teatru jednego aktora, ale równocześnie dostaliśmy pokaz nieustannej witalności tego teatru. Czuwający nad programem jubileuszu Wiesław Geras zadbał, aby podczas tego jednodniowego spotkania zostały zaprezentowane dwa nowe monodramy.

Jeden z nich pokazała Agata Kucińska, kiedyś debiutująca na tym festiwalu, dzisiaj profesor sztuki i dyrektorka Wrocławskiego Teatru Lalek, m.in. autorka pamiętnych „Żywotów świętych osiedlowych" według Lidii Amejko. W towarzystwie wybitnego muzyka Sambora Dudzińskiego zagrała spektakl pod tytułem „Hałas", ukazując bezradność człowieka wobec natłoku informacji, nadmiaru dźwięków i rozmaitych impulsów, jakie przytłaczają go i właściwie obezwładniają. Zrobiła to z wielkim poczuciem taktu, humoru i nutą gorzkiej refleksji.

Premierowy pokaz nowego monodramu in progress, dopiero tworzącego się, dał Wiesław Komasa, wielokrotnie w przeszłości uczestniczący we wrocławskich festiwalach. Aktor ma imponujący dorobek monodramatyczny, a teraz pracuje nad rodzajem autobiograficznego, wspomnieniowo-refleksyjnego spektaklu – o tym wszystkim, co zawarł w swoich monodramach, co przedstawiał i jak to współbrzmiało z jego życiem, przy czym znaczną część zajmowały wspomnienia wrocławskie. Nic dziwnego, nie przypadkiem zaleźliśmy się we Wrocławiu. Niektórzy nawet w mediach wrocławskich nieco się zagalopowali, nazywając to zdarzenie 60. festiwalem WROSTJA. Tak jakby nieprzerwanie 60 razy odbywały się wrocławskie spotkania teatrów jednego aktora, a było to tylko – i aż! – 60-lecie pierwszego przeglądu. Jak wiadomo, po 51. spotkaniu historia WROSTJA dobiegła końca. Zabrakło wyobraźni, woli i chęci ze strony miasta oraz województwa dolnośląskiego, aby festiwal nadal wspierać. Z wielką szkodą dla kultury, dla Wrocławia i dla całej Polski.

Tymczasem te „60. WROSTJA" pokazały, co stracono i co mogło nie być utracone, ale co jednocześnie pozostało, bo przecież nie da się tego dorobku wymazać i zapomnieć. Przy okazji warto zdać sobie sprawę, jak ogromną rolę w tym wszystkim odegrał twórca festiwali Wiesław Geras, nazywany często guru, wielkim animatorem, szefem monomafii, choć może należałoby go nazywać łowcą monodramów, który wypatrywał, co nowego zaprosić na kolejny festiwal, czy to we Wrocławiu, czy w Toruniu, czy na Helu, wszędzie, gdzie miał swój udział jako dyrektor lub doradca. Zawsze proponował rzeczy nowe, ciekawe, warte upowszechnienia. A z drugiej strony sam wywoływał pewne zjawiska.

Fenomen teatru jednego aktora to efekt uboczny odwilży politycznej.

Podkreślano to podczas spotkania we Wrocławiu, potwierdzała to Agata Kucińska. Kiedy trzy lata temu spotkała się z Wiesławem Gerasem, wspomniał, że wkrótce upłynie 60 lat od pierwszego festiwalu, no i pora na jej nowy monodram. Odpowiedziała, że już nie robi monodramów. „Nie szkodzi – usłyszała – ale właśnie masz zrobić". No i zrobiła.

To samo spotkało kiedyś Wiesława Komasę. Nagle dzwoni do niego Geras i mówi: „Słuchaj, mam dla ciebie tytuł monodramu". „Jak to tytuł monodramu?". No tak, tytuł następnego monodramu, który zrobisz, »Różewiczogranie«". Rzeczywiście, potwierdza Komasa, w tamtym okresie bardzo intensywnie zajmował się Różewiczem, wiele reżyserował, wiele czytał, o monodramie jednak nie myślał. „Wydawało mi się, że jestem w tym Różewiczu. No to masz już tytuł, »Różewiczogranie«, ja cię wstawiam do programu, masz przygotować, zadysponował Geras".

I tak powstał jeden z najznakomitszych monodramów Wiesława Komasy. Oto cały Geras. Tak jak Harrison Ford, łowca androidów, polował na sztuczne wytwory ludzkiego umysłu, on polował na monodramy już istniejące, ale także inspirował ich powstawanie.

Gwoli historycznej prawdy dodać trzeba, że akuszerem zarówno tej roli łowcy, jak i festiwali teatrów jednego aktora miał się okazać wspomniany już minister Lucjan Motyka. A jak zapisało się to w pamięci Wiesława Gerasa?

„Kilka dni po zakończonym przeglądzie monodramów w Piwnicy Świdnickiej telefon z Ministerstwa Kultury. Minister zaprasza do Warszawy: proszę przyjeżdżać. Jadę. Stawiam się w gabinecie. Minister siedzi przy biurku, coś podpisuje, przekłada papiery, ja stoję.

– Podobało nam się, naszym żonom też – komentuje spektakl Danuty Michałowskiej w Piwnicy. – Masz zamiar to powtórzyć? Ciągnąć ten przegląd? Może konkurs z nagrodami?

Odpowiadam, że tak, zamierzam.

– A jak długo będziesz w Piwnicy Świdnickiej?

Szybko przeliczam: – Trzy lata. Bo myślę, że pewnie po trzech latach mnie wyrzucą. I zresztą tak się stało.

– W porządku – mówi minister – wobec tego masz na trzy lata gwarancje. Ja daję pieniądze, ty robisz festiwal pod moim patronatem".

Tak to się zaczęło. Tyle że nie skończyło po trzech latach. Monodram wessał Wiesława Gerasa, który pozostał wierny tej formie przez następne pół wieku i ciutkę dłużej. Jak ktoś ma naturę łowcy, nie może się zatrzymać.

Tomasz Miłkowski

Przegląd
ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b1b16130d5

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Rozdziobią nas kruki, wrony

Myślę, że bardzo wielu Polaków nie wie, o co chodzi z tym Trybunałem. Widzi tylko ludzką plątaninę jak w „Bitwie pod Grunwaldem" Matejki. Aby coś z tego zrozumieć, trzeba mieć przygotowanie prawnicze lub śledzić od dekady wydarzenia związane z Trybunałem Konstytucyjnym. Opinia jest zależna od poglądów politycznych, prawicowych lub nieprawicowych. Jest jeszcze grupa śpiących i obojętnych. Niektórzy mogą się obudzić, bo zapachniało nagle wojną domową, a to mocny zapach. Zdarzenia mają też wymiar tragikomiczny, takie postacie jak kiedyś Pawłowicz albo Piotrowicz zostały pożyczone z upiornego kabaretu, Święczkowski, nawet przez swoich zwany Godzillą, powinien chodzić po mieście w Halloween i straszyć dzieci i dorosłych. Nocna wizyta Nawrockiego w siedzibie TK – poświęcił uciechy w Senegalu, taki patriota – i jego przepychania się z drobną sędzią przypominają o upodobaniach prezydenta do kibolskich ustawek. Polskie duchy asystujące przy rozbiorach zleciały się jak kruki i wrony i czekają na pokarm.

•

W normalnym kraju Nawrocki byłby już ugotowany, u nas tylko nieco się zarumieni ze złości. Znam gorsze rzeczy niż załatwianie panienek lekkich obyczajów hotelowym gościom, w końcu jestem libertyn, wybaczyłbym mu, gdyby na tym nie zarabiał. Natasza Geldon pracowała z Nawrockim w hotelu, teraz zeznaje. Namawiał ją, by też sobie dorobiła, załatwiając panienki. Natasza w rozmowie z Onetem wspomina czas wyborów: „Pamiętam, że parsknęłam w stronę telewizora: nie do wiary, że to jest ten Karol, z którym kiedyś pracowałam w Grand Hotelu. W jakim my kraju żyjemy". Prezydent powinien być wolny od takiej przeszłości. Plus kibolskie ustawki, słynna kawalerka – słabo to wygląda. Znamienne, że w komentarzach wszyscy wyrażają obawy o życie Nataszy Geldon. Jak śledzi się tysiące wpisów, które próbują ją zdyskredytować, podłych, nikczemnych, ociekających kłamstwem i nienawiścią, mamy obnażoną najgorszą część ludzkiej natury.

•

Błazen Duda został zupełnie przykryty przez Nawrockiego, już nawet spod tego Nawrockiego nic Dudzie nie wystaje. Nawrocki nie podjął funkcji prezydenta, nie ma na to czasu, zajmuje się destrukcją. Jego idea to zniszczenie Tuska i zniewolenie Polski liberalnej. A potem wyprowadzanie kraju z Europy. Nawrocki krzepi polskie warcholstwo. Zgodnie z naszą historyczną tradycją powinno się to zakończyć utratą niepodległości. Na szczęście na razie nikt nie chce nas rozebrać. Rozbieramy się więc sami.

•

Nawrocki coraz częściej mówi o sobie w trzeciej osobie: prezydent to, prezydent tamto. Kiedy w budynku Trybunału nacierał na sędzię Annę Korwin-Piotrowską, najpierw wołał wielkim głosem: „Prezydent idzie!!!". I Morze Czerwone miało się rozstąpić. Nie rozstąpiło się, to pomógł sobie kończynami górnymi. Choroba wielu naszych polityków to wzdęcia godnościowe, Trump też to ma. Nawrockiego okrutnie wzdęło. Wzdęcie osiłka zawsze większe niż cherlaka. On i prawica robią wszystko, by zatopić rząd, nawet jeśli na dno pójdzie z nim Polska. Dobre wyniki gospodarcze Polski to fatalna wiadomość, Polska się rozwija im na złość, na pohybel, mają jednak swojego szczura. To dług publiczny, on zniszczy Polskę. Im lepiej pracuje nasza gospodarka, tym szybciej zbliżamy się do przepaści. Tylko prawica może nas uratować.

Nawrocki krzepi polskie warcholstwo.

Po bitwie o Trybunał już widać, że zawiązał się pakt całej prawicy, Braun z jednym czarnym okiem bratał się z kolegami z prawicy. Jest zdjęcie, gdy w tłumie prezes na niego patrzy okiem lubieżnym: już zaakceptowany, już swój. Szczęść Boże! Ileż to się dzieje pod tym Trybunałem. Święczkowski szykuje się, by ustawić biurko na chodniku przed TK i urzędować. Spaceruje tam cherlawy osobnik w zbroi husarza, sterczą mu zdechłe skrzydła. Kto by to wymyślił.

•

Kaczyński wyciągnął kartę polexitu. Sam mówi, że ryzykownie tym grać, ale trzeba, tak straszna jest Unia. Chce decentralizacji, kiedy Unia potrzebuje centralizacji, by stać się poważnym graczem politycznym w świecie. Ale Bruksela zabierze nam tożsamość narodową. Wizja polskiej tożsamości to z jednej strony kartofle, kapusta i buraki, a z drugiej Mickiewicz, Norwid, Miłosz, Szymborska (cała czwórka nie znosiła polskiej prawicy, historycznej i obecnej). Po jakiej stronie są oni? Unia ma być bezwolna, tylko wtedy Polska będzie w niej bezpieczna. Cameron w Wielkiej Brytanii też chciał jedynie przetestować Unię, a doprowadził do reakcji łańcuchowej. Większość Brytyjczyków już widzi, że to była narodowa katastrofa, i chce powrotu do Unii. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b1b16130d5

NA EKRANACH

The Idiot(s),

reż. Małgorzata Szumowska i Michał Englert, prod. Wielka Brytania/Niemcy/Polska, premiera polska na festiwalu Camerimage

Tym razem duet Szumowska-Englert wziął na warsztat charyzmatyczną postać samego Fiodora Dostojewskiego (świetny Johnny Flynn) – w filmie poznajemy go, kiedy przyjeżdża do Niemiec, by napisać kolejną genialną powieść („Idiotę"). Jak to jednak zazwyczaj bywa, za każdym geniuszem stoi równie inspirująca kobieta. Tak jest zresztą tutaj – Aimee Lou Wood (znana m.in. z serialu „Sex Education") wciela się w Annę Dostojewską i tak naprawdę to z jej perspektywy śledzimy losy małżeństwa. Anna



nie ma z mężem łatwo: za wszelką cenę próbuje okiełznać jego nałogi, zdrady, załamania nerwowe i brak weny. Całość okraszona została wręcz zwierzęcym humorem, a szaleństwo wylewa się z ekranu na każdym kroku. To nie jest Dostojewski, którego znamy ze szkolnych podręczników. I bardzo dobrze – takiej wizji potrzebowaliśmy.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ



Zły zły

Leopold Tyrmand, „Zły", reżyseria i scenariusz Krzysztof Garbaczewski, Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera, premiera 16 października 2026

Niełatwe jest śledzenie tego, co w tym widowisku najciekawsze i co jest autentyczną domeną Krzysztofa Garbaczewskiego – mam na myśli warstwę wideo, jego zaskakujące przetworzenia obrazów, kuszące oko i sycące wyobraźnię przemianami postaci w bohaterów „Alicji w Krainie Czarów". Niestety, te transformacje można obserwować na zawieszonym po prawej stronie niewielkim telebimie lub, bardzo rozmazane, na białych zastawkach imitujących warszawskie mury.

Kto nie zna powieści Leopolda Tyrmanda, nie ma prawa się połapać, co wiąże poszczególne osoby pojawiające się na scenie i do czego to wszystko zmierza. Najwyraźniej kuleje dramaturgia.

Na szczęście są też momenty, a nawet dłuższe sekwencje, przynoszące radość albo wzruszenie. Do nich należy kilkakrotnie powtarzana piosenka o przemijaniu „Avec le temps" Léo Ferrégo, jeden z flagowych utworów piosenki francuskiej, w fenomenalnym wykonaniu Mamadou Góo Bâ, który za każdym razem nadaje jej inny rys emocjonalny. Oprócz tego przerywnika lirycznego w zachwyt wprawia przerywnik musicalowy, polska wersja słynnego „Bad" Michaela Jacksona („jestem zły, zły, zły, taki, taki zły") w wykonaniu całego zespołu. Te akcenty wywołują brawa przy otwartej kurtynie. Nie ratuje to jednak widowiska, trwającego bez mała pięć godzin, które woła o nożyczki.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

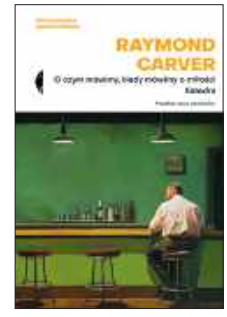


Michał Witkowski

Substancja

Znak Literanova, Kraków 2026

Mistrz kampowej estetyki przenosi nas do XVIII w., zaprasza na dwory i salony, nie po to jednak, by prawić o szlacheckich ideałach, ale by – jak to miewa w zwyczaju – kpić. Na tle upadającej ojczyzny rozgrywa się groteskowy spektakl namiętności, intryg i poszukiwania skarbu, a historyczny kostium staje się pretekstem do kolejnej literackiej maskarady. Witkowski pastiszuje gawędę, puszcza oko do Gombrowicza, rozsadza kompozycję dygresjami i pozwala narratorowi bezczelnie pociągać za sznurki. Pisze z rozmachem i literacką bezczelnością. Pyszna to lektura, zacna jak koncert wytrawnych grajków. Na moment przed katastrofą.



Raymond Carver

O czym mówimy, kiedy mówimy o miłości/ Katedra

tłum. Jerzy Jarniewicz.

Czarne, Wołowiec 2026

W prozie Raymonda Carvera najważniejsze rzeczy dzieją się jakby mimochodem. Ktoś wystawia meble na sprzedaż, ktoś inny opowiada o rozpadzie małżeństwa, jeszcze ktoś próbuje zagłuszyć samotność alkoholem. W zbiorze „O czym mówimy, kiedy mówimy o miłości" codzienność staje się przestrzenią cichej katastrofy, a zwyczajne rozmowy odsłaniają pęknięcia, których bohaterowie nie potrafią ani nazwać, ani naprawić. Carver, mistrz literackiego minimalizmu, nie potrzebuje wielkich gestów czy efektownych puent.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAGDA HUECKEL, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl b1b16130d5



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Faul ofensywny

Mówią, że Amerykanie poszli po rozum do głowy, że lepiej późno niż wcale. Ja tam myślę, że po prostu irańska wojna Trumpa uderzyła ich po kieszeni, więc się na obłąkanego dziada wściekli. Nie o rozum tu chodzi, ale o ceny paliwa. Tak czy owak, MAGA zmierza na śmietnik historii i pozostaje mieć nadzieję, że pociągnie za sobą na całym świecie patoprawicę.

Sprawdzam dla czystej i niezmąconej schadenfreude, jak media kaczystowskie przedstawiają tak ważki i znamienny fakt jak wyniki midterms w USA. Od samej góry lecą tłuste nagłówki, jak to Tusk dokonał zamachu stanu, za co grozi mu dożywocie, a także jak któryś polityk obozu prezydenckiego „zmiażdżył", „rozwalcował" lub tylko „wbił szpilę" Tuskowi i jego akolitom. Potem trafiam na dział „Kraj" – nie bez zdumienia, bo myślałem, że już go mam za sobą. Tam oczywiście rozpisane w szczegółach „zbrodnie Tuska" oraz „mocne", „ostre" „celne" lub „mądre" słowa propagandystów pisowskich. Wreszcie dział „Zagranica", ale i w nim próżno szukać wiadomości o wyborach w jakiejś tam Ameryce, za to można wyczytać, że „nawet Niemcy krytykują Tuska". Aż wreszcie widzę gdzieś upchaną jako trzeciorzędną wzmiankę o porażce republikanów, ale opatrzoną nagłówkiem „Memento dla Tuska" (bo żadna władza nie trwa wiecznie).

Trzeba przyznać, że ma to charakter swoistego, bo negatywnego kultu jednostki. Jeśli telewizje polskich psychopatriotów kierują się takim samym modus operandi, znaczy to, że rozwój prawicowych mediów przebiega od stosownego interpretowania niewygodnych faktów, poprzez ich marginalizowanie, aż do ich całkowitego ignorowania. Tak się hoduje imbecyli, których wiedza o świecie ogranicza się do poczucia zagrożenia – trzeba bronić Polski przed światem, trzeba jej pilnować i chronić, bo zewsząd dybią na nią nieznane, a wrogie siły, pierwej jednak trzeba uporać się z wewnętrznymi wrogami narodu (Tusk!).

Prawactwo u władzy przez osiem lat działało na rympał i reasumpcję, a wszelkie protesty przeciw psuciu państwa określało mianem histerii. Jak zatem nazwać teraz ich reakcje na przywracanie praworządności, skoro ustami swoich trybunów ogłaszają, że Tusk wprowadzi o północy stan wojenny, niemiecka policja nadciąga z zachodu, już paraduje z bronią w metrze, zaraz będą się słać trupy, zapanuje przemoc, brutalność reżimu, totalitaryzm, bo dokonał się zamach stanu, pucz etc. Tymczasem zawieszony prezes Święczkowski codziennie przychodzi pod Trybunał Konstytucyjny bezkarnie wygrażać policjantom, że łamią prawo i pójdą siedzieć za zdradę, na ich oczach wzywa ślusarza i demoluje bramę, a „atmosfera zagrożenia pacyfikacją" wśród protestujących jest tak silna, że aż poseł Wójcik daje nocny recital, śpiewając hit Krawczyka do wtóru dygającego Kłeczka i roztańczonej starszyzny Klubów „Gazety Polskiej".

Stosując konfrontacyjną nomenklaturę prawicowych portali, musiałbym uznać, że największą uciechę w ostatnim czasie sprawiło mi „zaoranie" funkcjonariusza TV Republika przez marszałka Czarzastego, który stwierdził, że policja stoi tam, bo w dyskotece też przecież trzeba pilnować porządku. Eskalacji jak nie było, tak nie ma, sędziowie Trybunału robią swoje, komu to się nie podoba, ten może się wykrzyczeć pod płotem i nikt go za to nie skrzywdzi. Ostatnią nadzieją bąkiewiczowych bojówek i całej kaczystowskiej hałastry wydaje się nadchodzący Marsz Niepodległości i jego przeobrażenie na modłę marcia su Roma, czyli przepędzenie Tuska i siłowe przejęcie władzy. Pozostaje mieć nadzieję, że takie przesilenie skończyłoby się raczej jak pucz monachijski – oby tylko bezkrwawo – pierdlem dla watażków i rozgonieniem tłuszczy.

Poseł Wójcik daje nocny recital, śpiewając hit Krawczyka do wtóru dygającego Kłeczka i roztańczonej starszyzny Klubów „Gazety Polskiej".

Chyba że na jej czele stanie pierwszy kibol RP i zechce, korzystając z immunitetu, znowu gdzieś wtargnąć, tak jak to uczynił niesławnej nocy październikowej. Zawrócił samolot, przepłukał żołądek i rozbójniczo wbił ze swoją świtą na cudzy kwadrat. Do piątej rano testosteron opadł i Nawrocki z gronem swych podchujaszczych pojęli, że mogą siedzieć w budynku TK ad mortem defaecatam i nic z tego nie wyniknie, a każda upływająca godzina bezradności naraża ich na śmieszność. Nikt nie przyszedł na ustawkę, no to sobie poszli, ogłaszając zwycięstwo. Tylko niezupełnie w stylu kibolskim natychmiast ogłosili, że ich herszt został pobity przez kobietę. Odpychana przez osiłka sędzia Korwin-Piotrowska została oskarżona o fizyczną napaść na prezydenta i naruszenie jego nietykalności cielesnej poprzez stanie mu na drodze. Nawet ciemny lud może tego nie kupić, bo wszyscy widzieli powtórki i szczegółową analizę VAR, trudno tam się dopatrzyć innego faulu niż ofensywny, to napastnik Nawrocki odepchnął obrończynię Korwin-Piotrowską. Ten gol nie może zostać uznany. ■

eprasa.pl b1b16130d5

Europejskie muzea na celowniku

Przestępcy na rynku sztuki stają się coraz bardziej zuchwali

Tomasz Skowronek

15 sierpnia, gdy dziesiątki tysięcy wiernych wypełniały ulice Mesyny, by uczestniczyć w tradycyjnej procesji, złodzieje włamali się do miejscowego muzeum. Ich łupem padły dzieła Antonella da Messiny. Kilkanaście dni później w Wiedniu inni przestępcy weszli do muzeum jako zwykli zwiedzający, rozbili gablotę i ukradli wysadzany diamentami naszyjnik należący niegdyś do królowej Egiptu.

To tylko dwa przykłady kradzieży, które w ostatnim czasie wstrząsnęły europejskimi instytucjami kultury. Złodzieje przestają już działać po cichu. Wykorzystują młoty, siekiery, łomy, a nawet materiały wybuchowe. Zmieniają się zarówno ich metody, jak i przedmioty, na które polują.

Złoto, srebro i cenne kamienie

Do kradzieży w Museo Regionale Interdisciplinare w Mesynie doszło wieczorem w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W centrum miasta odbywała się procesja Vara – tradycja sięgająca XVI w. Na ulicach gromadziły się tłumy, a uwaga zarówno mieszkańców, jak i służb koncentrowała się na uroczystościach.

Sprawcy przecięli ogrodzenie muzeum i dostali się do budynku przez boczne wejście. Ich celem były dzieła Antonella da Messiny, jednego z najważniejszych włoskich malarzy wczesnego renesansu. Zabrano trzy z pięciu zachowanych paneli poliptyku św. Grzegorza oraz niewielki, dwustronny obraz przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem i pietę. Dwa z zabranych paneli odnaleziono później w pobliżu muzeum.

Zdziwienie wzbudziły okoliczności napadu. Według doniesień medialnych system alarmowy zadziałał, ale jeden ze strażników miał uznać sygnał za fałszywy. Okoliczności te były przedmiotem śledztwa, jednak szczegóły dotyczące zabezpieczeń i sposobu działania sprawców nie zostały w pełni wyjaśnione.

Muzeum w Mesynie przechowuje cenne zbiory archeologiczne oraz dzieła sztuki od renesansu po barok. Znajdują się tam również obrazy Caravaggia, który przebywał w mieście w 1609 r. Kradzież prac Antonella da Messiny była więc nie tylko stratą materialną, ale i ciosem dla dziedzictwa kulturowego Sycylii.

Złodzieje nie zawsze działają nocą. Ostatnio są coraz bardziej zuchwali. 27 sierpnia br. dwóch mężczyzn weszło do wiedeńskiego Muzeum Sztuki Użytkowej (MAK) jak zwyczajni zwiedzający, kupując bilety. Rozbili gablotę i ukradli platynowy naszyjnik wysadzany 673 diamentami. Biżuterię zaprojektował w 1939 r. paryski dom jubilerski Van Cleef & Arpels dla królowej Egiptu Nazli. Wartość klejnotu szacowano na kilka milionów dolarów. Sprawcy nie mieli masek, kamery monitoringu zarejestrowały ich wizerunki.

Dyrektorka MAK Lilli Hollein podkreślała, że muzeum miało szczegółowy plan ochrony, przygotowany we współpracy z marką Van Cleef & Arpels. Zabezpieczenia zostały opracowane specjalnie na potrzeby wystawy, a personel miał postępować zgodnie z ustalonymi procedurami.

Tego samego dnia do kradzieży doszło również w muzeum w Villenie, w prowincji Alicante w Hiszpanii. Złodzieje ukradli dziesiątki złotych i srebrnych artefaktów z epoki brązu, należących do kolekcji znanej jako Skarb z Villeny. Według hiszpańskiego dziennika „El País" poranny napad trwał niespełna cztery minuty.

Podobny incydent odnotowano w listopadzie 2024 r. w Musée Cognacq-Jay w Paryżu. Czterech zamaskowanych sprawców uzbrojonych w kije bejsbolowe i siekiery wtargnęło do placówki w godzinach otwarcia, rozbiło gablotę i ukradło siedem eksponatów ze złota i diamentów. Uciekli na skuterach.

W styczniu 2025 r. doszło do równie spektakularnego włamania w Drents Museum w holenderskim Assen. Sprawcy użyli materiałów wybuchowych, by dostać się do środka, po czym ukradli starożytny dacki hełm ze złota i trzy złote bransolety. W kwietniu 2026 r. odzyskano hełm i dwie bransolety.

19 października 2025 r. czterech zamaskowanych sprawców włamało się w biały dzień do paryskiego Luwru. Wykorzystując podnośnik, dostali się do Galerii Apollina, skąd ukradli osiem cennych klejnotów związanych z francuską rodziną królewską, w tym biżuterię należącą do cesarzowej Eugenii. Napad trwał zaledwie kilka minut. I choć koronę cesarzowej porzuconą podczas ucieczki odzyskano, pozostałe skradzione przedmioty wciąż są poszukiwane. Wywołało to międzynarodową debatę o skuteczności zabezpieczeń nawet w najsłynniejszych muzeach świata.

Te przypadki pokazują, że przestępcy potrafią działać błyskawicznie i jawnie, w miejscach odwiedzanych przez publiczność i mimo obecności pracowników ochrony.

Zmieniają się metody i cele

W raporcie „Changing tactics, changing targets: the evolving nature of museum heists" opublikowanym w sierpniu br. Europol zwrócił uwagę na zmianę charakteru kradzieży w europejskich muzeach. Przestępstwa tego rodzaju kojarzono dotąd z dyskretnymi działaniami i próbami uniknięcia konfrontacji. Obecnie coraz częściej dochodzi do brutalnych wtargnięć, zastraszania personelu i rozbijania gablot przy użyciu ciężkich narzędzi.

eprasa.pl b1b16130d5



19 października 2025 r. czterech sprawców włamało się w biały dzień do paryskiego Luwru. Ukradli osiem cennych klejnotów związanych z francuską rodziną królewską.

Według agencji w niektórych przypadkach za napadami stoją niewielkie, doraźnie tworzone grupy. Ich członkowie mogą być rekrutowani za pośrednictwem mediów społecznościowych i komunikatorów. Europol wskazuje, że część sprawców wywodzi się z innych środowisk przestępczych i dostrzega w kradzieżach muzealnych możliwość szybkiego zysku.

Zmieniają się również cele złodziei. Coraz większym zainteresowaniem cieszą się złoto, srebro, biżuteria i kamienie szlachetne. Ich wartość można stosunkowo łatwo oszacować, poza tym łatwiej je sprzedać niż rozpoznawalne dzieła sztuki.

Muzea są w trudnej sytuacji – muszą jednocześnie chronić bezcenne zbiory i udostępniać je publiczności. Zwiedzający powinni mieć możliwość oglądania eksponatów, a instytucje – zapewniać im dostępność sal, drogi ewakuacyjne i bezpieczeństwo.

Dodatkowe utrudnienie stanowią zabytkowe budynki. Jak tłumaczyła w rozmowie z „Guardianem" Erin Thompson, profesor John Jay College of Criminal Justice na City University of New York (CUNY), zajmująca się przestępczością na rynku sztuki, historyczne obiekty bywają trudniejsze do zabezpieczenia niż nowoczesne konstrukcje. Duże okna wychodzące na ulicę mogą ułatwiać ucieczkę, a przepisy dotyczące ochrony zabytków często ograniczają możliwość montażu niektórych zabezpieczeń. Jednak nawet rozbudowany monitoring i alarmy nie gwarantują, że uda się zatrzymać sprawców, którzy działają szybko i stosują przemoc. W takich sytuacjach personel musi przede wszystkim zadbać o bezpieczeństwo własne i zwiedzających.

Kradzież to dopiero początek drogi zrabowanego przedmiotu. Niektóre dzieła przez lata pozostają ukryte, inne trafiają do pośredników i na nielegalny rynek. Szczególną rolę w historii międzynarodowego obrotu dobrami kultury odgrywała Szwajcaria, zwłaszcza Genewa, gdzie funkcjonują tzw. wolne porty – magazyny celne wykorzystywane m.in. do przechowywania dzieł sztuki, antyków i kosztowności. W 2016 r. szwajcarskie władze zabezpieczyły w genewskich wolnych portach przedmioty pochodzące z Syrii, Libii i Jemenu.

Nie ma jednak podstaw, by twierdzić, że dzieła skradzione podczas ostatnich napadów na europejskie muzea trafiły właśnie do Szwajcarii. Kraj zaostrzył przepisy dotyczące obrotu dobrami kultury, a ich import, eksport i transfer podlegają regulacjom prawnym.

Międzynarodowe syndykaty przestępcze zainteresowały się handlem dziełami sztuki już na początku lat 60. XX w. Z mafią korsykańską powiązano wówczas serię kradzieży, która miała się rozpocząć od włamania do słynnej restauracji La Colombe d'Or na Riwierze Francuskiej, a zakończyć kradzieżą 118 obrazów Pabla Picassa z wystawy w Pałacu Papieskim w Awinionie w 1976 r.

W ślady korsykańskich przestępców poszły kolejne grupy, w tym sycylijska mafia. Jest ona powszechnie łączona z kradzieżą obrazu Caravaggia „Narodzenie Pańskie ze św. Franciszkiem i św. Wawrzyńcem", który zniknął w 1969 r. z oratorium w Palermo. Dzieła do dziś nie odnaleziono.

Skradzione obrazy i zabytki mogą służyć przestępcom jako towar wymienny, zabezpieczenie transakcji lub przedmiot nielegalnego handlu. W przypadku złota, srebra i biżuterii identyfikacja jest trudniejsza – kruszec można przetopić, klejnoty rozmontować, co dodatkowo utrudnia odzyskanie łupów.

Dla przestępców kradzież dzieł sztuki może oznaczać szansę na ogromny zysk. Dla społeczeństwa – nieodwracalną stratę. Dlatego walka z tym procederem nie sprowadza się do lepszych alarmów i kamer. Wymaga również współpracy międzynarodowej, śledzenia nielegalnego obrotu i skutecznego odzyskiwania skradzionych przedmiotów. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b1b16130d5



436 tysięcy ton dyń



Polska europejskim potentatem

Chrystian Ślusarczyk

Na owocowym rynku unijnym Polska od lat zajmuje trzecie miejsce lub jest tuż za podium. Pozostajemy liderem w produkcji jabłek i malin, a także potentatem truskawkowym – tu wyprzedza nas jedynie Hiszpania. Ale – co dla wielu może nie być już tak oczywiste – dominujemy też pod względem uprawy dyni.

Nasz kraj jest dziś największym producentem dyń w Unii Europejskiej, odpowiada za 35% unijnych zbiorów! W 2025 r. z naszych pól zebrano ok. 436 tys. ton dyń. Daleko za Polską w rankingu plasują się Francja (ok. 20% udziału), Hiszpania (14%) i Niemcy (10%). W Polsce najwięcej dyń uprawia się na Lubelszczyźnie – ponad 60% krajowego areału. W latach 2015-2025 powierzchnia upraw wzrosła w Polsce przeszło ośmiokrotnie, a same zbiory zwiększyły się nawet dziewięciokrotnie, z 47 tys. ton do owych 436 tys.

Dlaczego u nas?

W październiku i listopadzie jak co roku trwają u nas dyniowe żniwa. Trwają zresztą coraz dłużej. Zaangażowanych jest w nie coraz więcej producentów i coraz więcej „rolniczej pomocy". Co powoduje, że to akurat my, a nie sąsiedzi o takim samym klimacie i podobnych warunkach glebowych, dzierżymy europejską dynię pierwszeństwa? Odpowiedzi jest kilka. Rodzimych producentów z pewnością zachęca łatwość uprawy i sprzyjające nad Wisłą warunki. Uprawa dyni nie jest skomplikowana, a szerokie liście skutecznie zacieniają glebę, ograniczając parowanie wody i wzrost chwastów. Z pewnością o popularności dyni zdecydowało także pojawienie się jesiennego święta Halloween, które w Europie okres największej popularności ma za sobą, ale na gruncie polskim przeżywa rozkwit.

Dynie, przede wszystkim te o niezwykłych kształtach i barwach, świetnie sprawdzają się jako ozdoba ogrodowa, i to nie tylko na wsi. I w miastach wejścia do niektórych wielkich biurowców, siedzib znanych korporacji, jesienią zdobią dekoracje z dyń.

W Polsce szybko, szybciej niż u naszych sąsiadów, zmieniają się nawyki żywieniowe. Według różnych badań 8-10% dorosłych Polaków to wegetarianie. Aż 32% rodaków deklaruje ponadto, że w ciągu najbliższych kilku miesięcy zdecydowanie ograniczy spożycie mięsa. Trend ten coraz szerzej otwiera drzwi dla pożywnych dyń, które mogą uzupełniać dietę roślinną.

A i tak wielu z nas nie traktuje dyń tylko w kategorii spożywczej. W wielu miastach i wsiach organizowane są cieszące się powodzeniem festiwale czy dni dyni. Ze względu na kształt, wielkość i pomarańczową barwę jesienią dynia staje się ulubionym owocem w szkołach i przedszkolach. Dzieci ubierają się na pomarańczowo, biorą udział w grach ruchowych, takich jak turlanie dyni albo dyniowy slalom, oraz tworzą prace plastyczne z masy solnej czy papieru. Samą

eprasa.pl b1b16130d5

Dynie z warszawskiej Farmy Wuja Toma – Dyniolandii.

dynię coraz częściej traktuje się jako materiał do wycinania czy rzeźbienia różnych kształtów. I to materiał zaskakująco wdzięczny.

200 odmian

Wpływ na wzrost zainteresowania dynią zarówno wśród rolników, jak i konsumentów ma także olbrzymie zróżnicowanie jej odmian. W Europie, a w Polsce w szczególności, uprawiamy przecież mnóstwo odmian jabłek czy innych owoców. Jednak w przypadku dyni mamy do czynienia z wyjątkową różnorodnością kształtów i wagi. Dynia olbrzymia, jak nazwa wskazuje, osiąga gigantyczne rozmiary i może ważyć od kilkudziesięciu do nawet 100 kg. Zyskująca u nas coraz większą popularność dynia hokkaido jest znacznie mniejsza, a niektórzy porównują jej kształt – i mają w tym sporo racji – do cebuli. Ogromną zaletą tej odmiany jest to, że nie musimy obierać jej ze skórki. Dynia piżmowa (butternut), również chętnie u nas uprawiana, ma jaśniejszą barwę, zbliżoną do beżowej, a kształtem przypomina gruszkę. Jeszcze jaśniejsza i znacznie bardziej wydłużona jest dynia makaronowa. Niektórzy uważają ją właśnie za zdrowszy zamiennik makaronu. Kolorystycznie zbliżona do dyni piżmowej jest dynia prowansalska. Ale to jedyna cecha łącząca ją z innymi dyniami. Dynia prowansalska jest bowiem żebrowana i kształtem przypomina popularną odmianę pomidora bawole serce. Z kolei dynia acorn, ze względu na podobieństwo zwana też żołędziową, ma ciemnozieloną skórę, także jest żebrowana, a w środku nieco jaśniejsza.

To tylko ułamek dyniowego bogactwa, obejmującego 18 gatunków botanicznych, w obrębie których wyhodowano już ok. 200 różnych odmian uprawnych.

Dynia jest rośliną jednoroczną, pochodzi ze strefy klimatu gorącego i ciepłego Ameryki. Jednak dziś to tylko informacja encyklopedyczno-historyczna. O czym świadczy fakt, że Polska może się pochwalić kilkoma własnymi odmianami, jeszcze lepiej przystosowanymi do tutejszego klimatu. Rynek podbijają zatem wyhodowane u nas odmiany: amazonka, ambar (trochę przypominająca arbuzy), justynka, olga, danka i warszawska.

Smaczna, zdrowa, modna

Odpowiedź na pytanie, czy dynia jest owocem, czy warzywem, może nie być wcale taka oczywista. Skoro melon czy arbuz są owocami, nie powinno nikogo dziwić, że z botanicznego punktu widzenia dynia również jest owocem (a dokładniej jagodą), ponieważ rozwija się z kwiatu rośliny i zawiera nasiona. Jednak zarówno w handlu, jak i w kuchni traktuje się ją powszechnie jako warzywo ze względu na wytrawny smak i sposób przygotowania w potrawach (np. w zalewie octowej, w zupach, gulaszach czy zapiekankach).

A skoro o jedzeniu mowa, trudno zliczyć bogactwo potraw z dyni. W odróżnieniu od większości owoców i warzyw dynię możemy przyrządzać i na słodko, i na słono, i na kwaśno. Niektóre potrawy doskonale smakują także w wersji na ostro.

W latach 2015-2025 powierzchnia upraw dyni w Polsce wzrosła przeszło ośmiokrotnie.

W wielu restauracjach z kuchnią polską (głównie tych z wyższej półki) jesienną porą prędzej zjemy dyniową zupę krem niż krupnik, o flaczkach nie wspominając. I dobrze się składa, bo zupa z dyni ma właściwości rozgrzewające. Szczególnie w ostrzejszym wariancie (np. z papryką chilli), często z dodatkiem imbiru oraz mleczka kokosowego i kurkumy, która podbija żółtą barwę. A w domowych kuchniach nie tylko wegetarianie prześcigają się w coraz wymyślniejszych gulaszach dyniowych, curry z dynią i dyniowych risottach. Dynię możemy potraktować też jak ziemniaki i usmażyć z niej placki albo zrobić purée – to wersje słono-wytrawne.

Dynia oczywiście nadaje się do pieczenia, a jej miąższ bardzo łatwo – nawet łyżką – ściągniemy i oddzielimy od dobrze wypieczonej skórki. To, czy pieczona dynia będzie dodatkiem do dania głównego, czy przystawką, a może deserem, zależy wyłącznie od preferencji i kreatywności kucharza. Pieczona dynia (to jej najzdrowsza postać) z dodatkiem oliwy, czosnku, soli, pieprzu i ziół może stanowić uzupełnienie obiadu albo być samodzielną przekąską. Jednak, gdy dodamy cukru pudru z odrobiną wanilii i posypiemy cynamonem, pieczona dynia stanie się wybornym zamiennikiem ciasta.

Jesienią wiele restauracji i kawiarni ma w ofercie sernik dyniowy, tradycyjne dyniowe tarty, wilgotne i aromatyczne ciasto korzenne albo mufinki dyniowe. A skoro o kawiarniach mowa, nie zapominajmy o pumpkin spice latte, czyli kawie z mlekiem i dodatkiem przypraw używanych do ciasta z dyni (pumpkin to po angielsku właśnie dynia).

Co jeszcze można zrobić z dyni? Przetwory, takie jak dżemy i konfitury. Z kolei dynia marynowana w occie była kulinarnym rarytasem w PRL – smakiem przypominała nieco ananasa. Pokrojona dynia doskonale nadaje się do zamrożenia.

Nie zapominajmy też o pestkach. Po dokładnym oddzieleniu od miąższu, umyciu i osuszeniu otrzymamy zdrową przekąskę – cenne źródło białka nie tylko dla wegan. Pestki to także bogactwo nienasyconych kwasów tłuszczowych oraz błonnika. Ponadto zawierają witaminy E, A, K i z grupy B, a także minerały: magnez, cynk, potas, fosfor, żelazo, mangan i selen. Należy tylko uważać na ich kaloryczność.

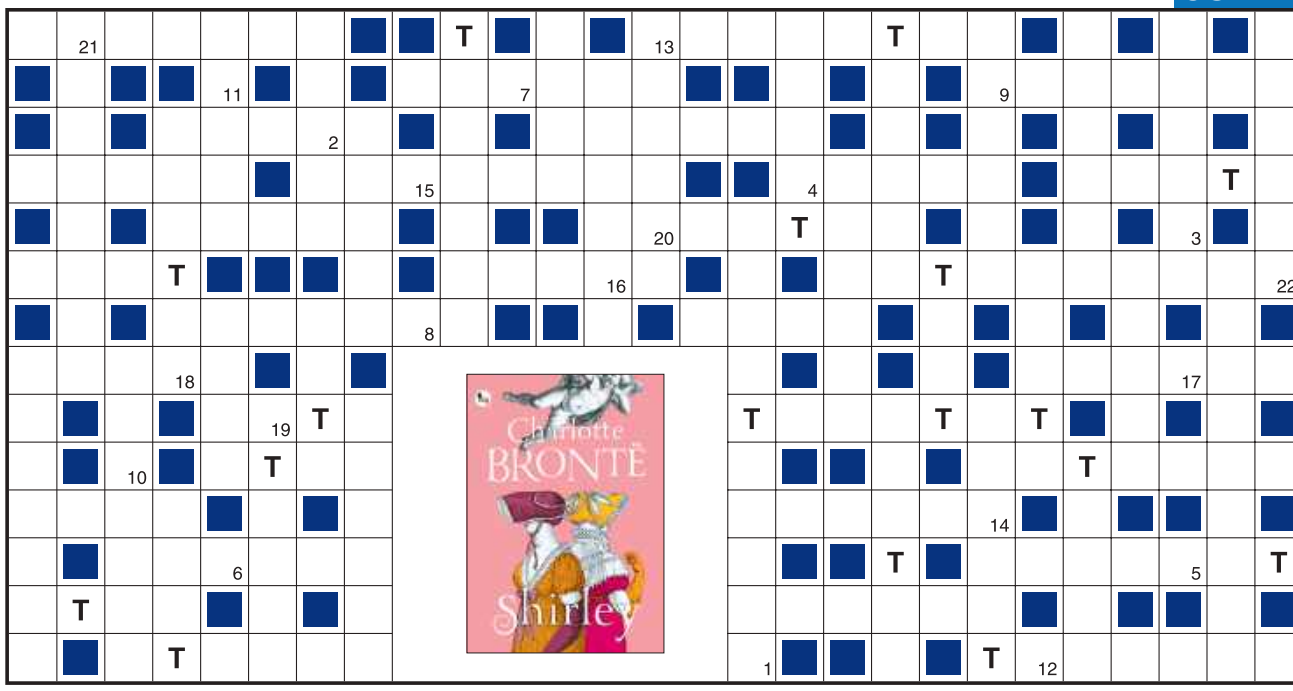
Całkowicie jadalne są kwiaty dyni, przysmak kuchni wielu krajów. Nadziewa się je serem i smaży w cieście naleśnikowym albo obtacza w panierce faszerowane mięsem. W Meksyku chociażby kwiaty dodaje się do zup.

Na korzyść dyń przemawia także to, że są bardzo wytrzymałe. W nieprzesadnie nagrzanych domach możemy je przechowywać nawet sześć miesięcy. Jak widać, lista zalet tej polskiej specjalności jest wyjątkowo długa. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b1b16130d5

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- ta, co zgłębia arkana
- likier kminkowy z piosenki z II wojny
- …Nobbs, tytułowa postać grana przez Glenn Close
- krewniak krokodyla
- dekoracyjny cherubinek
- część Wawra z wierszy Gałczyńskiego
- niechęć, wrogość, zderzenie interesów
- wierszowane szarady, sylabowe lub literowe
- …Grande, grała Glindę w „Wicked”
- łuk na kolumnach
- …String Quartet, polski kwartet smyczkowy
- zaraz po alfie
- Kasztelan, Leżajsk lub Warka
- pokój, w którym dama wypoczywała
- …cud – w mig sprawi, że figura się poprawi?
- zadawacz szyku
- filozof z Samos
- wybuch wulkanu, gwałtowny przejaw
- dokumentalna lub Rewolucyjna
- …Łokietka w Ojcowskim Parku Narodowym
- podnosić go to głośno protestować
- miasto Złotej Tarki
- ozdobny kamień z wypukłą rzeźbą
- krwiopijny pajęczak
- „…i cham” Leona Kruczkowskiego
- poporcjowany w nie cukier
- przeciwdeszczowa lub puchowa zimowa
- czas wolny potocznie
- …precyzyjne – dyscyplina sportowa dla pilotów
- chuligan, łajdak albo tylko urwis
- bojowy środek zapalający
- próżniak, leń, obibok
- szkolny próżniak
- dotąd niezajęty obszar rynku
- rwący w potoku
- jabłkowy, winny lub balsamiczny
- Ameryki albo naukowe
- szansa, sposobność
- diament w berle carów rosyjskich
- weselny lub Trzech Króli
- walczył przeciw zaborcy
- ozdobne pudło z przegródkami
- rewers monety
- rozrywkowe widowisko o bogatej formie
- „Ballady i…” Adama Mickiewicza
- twardej ręki sprawowane
- Henryk, rysownik satyryk
- dziurawe i takie powinno być
- dawna polska ciężarówka
- zaprzestanie pracy jako forma walki
- ręczne to fastryga, stębnówka, okrętkowy
- zawodowo za kogoś dźwiga bagaże
- i umowa międzynarodowa, i rozprawa naukowa
- kierunek rozwoju, modny prąd
- najcięższy izotop wodoru
- indyjskie nakrycie głowy Donalda Tuska
- Wielki z Triduum Paschalnym
- drobny owoc polnej gruszy
- …towaru do kraju
- dziwaczny ruch ciała lub coś zawiłego
- sprawienie przykrości, urażenie uczuć
- …chmur – gdy skłębione na niebie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1299”. Do rozlosowania książki „Shirley” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 listopada 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1296” z nr. 43: *Wytrwały zawsze znajdzie drogę.*
Nagrody otrzymują: Teresa Leśniewska z Kaliszan, Malina Szczepańska z Krakowa, Teresa Szukiełowicz z Międzyrzecza.

eprasa.pl b1b16130d5

Mordobicie

Trzech ambasadorów powołanych jeszcze za poprzedniej władzy, z poręki Andrzeja Dudy, złożyło rezygnację. To Paweł Soloch (Bukareszt), Jakub Kumoch (Pekin) i Krzysztof Szczerski (Nowy Jork, ONZ).

Jak powiedział minister Sikorski, rezygnację złożyli po rozmowie z prezydentem Nawrockim, który ich do tego nakłaniał. Cóż, wiele to mówi i o Nawrockim, i o nich… No i o Radosławie Sikorskim, który trzymał ich na ciepłych posadkach długie lata. I teraz zastanówmy się, czy miało to sens, że ambasada w Pekinie była pisowska.

Jakub Kumoch to taki półdyplomata, bo w MSZ nie pracował, tylko od razu był ambasadorem. Najpierw w Szwajcarii, a potem w Turcji. Do Pekinu wyjechał jesienią 2023 r., z protekcji Andrzeja Dudy. Wcześniej, od lipca 2021 r. do stycznia 2023 r., był szefem Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP. Odszedł stamtąd po spodziewanej dymisji.

Otóż w listopadzie 2022 r. do Dudy zadzwonili dwaj rosyjscy pranksterzy i, podając się za prezydenta Francji Emmanuela Macrona, odbyli z nim rozmowę. Odpowiedzialność za skandal spadła na Kumocha, choć on twierdził, że nie miał z tym połączeniem nic wspólnego, że odbyło się to poza nim. A potem podał się do dymisji. I żeby nie było wątpliwości, jej powody wyłuszczył w liście do prezydenta. Zadziwiającym. Napisał w nim, że brakowało mu kontaktu z rodziną, że trudno pogodzić rolę ministra i ojca, więc wybiera to drugie – rodzinę. Piękny powód, jednak aż prosi się zapytać, po co w takim razie Kumochowi stanowisko ambasadora w Chinach. Bo co – Pekin to biwak, i to taki, że można nadrabiać wszystkie rodzinne zaległości?

Przy okazji zwróćmy uwagę na jeszcze jedno – gdyby Kumoch został wyznaczony na ambasadora, zanim została ogłoszona jego dymisja, można by mówić, że placówka, którą przejmuje, jest wywyższona, skoro ambasadorem będzie bliski współpracownik prezydenta, jego minister itd. Ale przecież wysyłano go tam w innej pozycji – jako osobę zdymisjonowaną, obarczoną skandalem, z opinią, że ten wyjazd to pocieszenie i szansa, by zająć się dziećmi. Zastanówmy się więc, co w takiej sytuacji pomyśleli sobie Chińczycy.

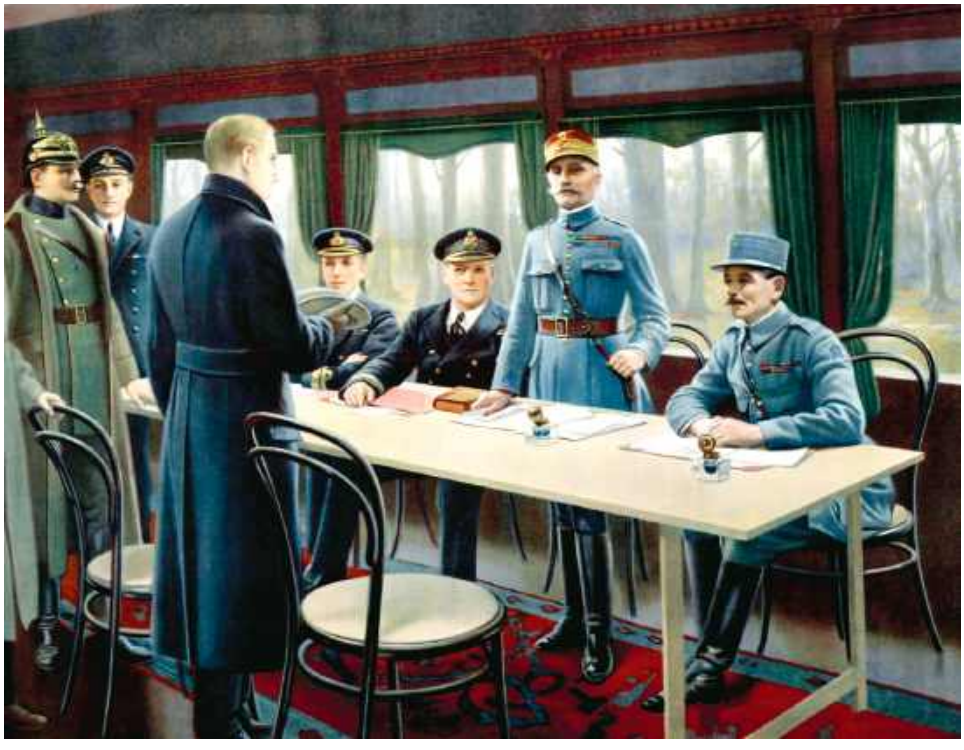
Kumochowi nie pomogły też relacje mediów, opisujących stosunki w kancelarii Andrzeja Dudy. Głośno było m.in. o wizycie Dudy w Kijowie w maju 2022 r. i awanturze Kumocha z Marcinem Mastalerkiem, ówczesnym doradcą ds. politycznych prezydenta.

Do spięcia doszło w pociągu jadącym do Kijowa i było ono konsekwencją rozwijającej się niechęci obu panów. Jak relacjonował to dziennikarzowi współpracownik Andrzeja Dudy: „Mastalerek uważał Kumocha za pijaka. A Kumoch Mastalerka – za psychopatę". Świadkowie opisywali, że panowie pokłócili się, przygotowując wystąpienie Dudy. Emocje były tak silne, że „mało brakowało, a doszłoby do mordobicia".

Po tej awanturze Kumoch miał podać się do dymisji, lecz Andrzej Duda jej nie przyjął. Za to pół roku później, po rozmowie z fałszywym Macronem, okazał się już mniej wyrozumiały.

Wyrozumiały, i to przez trzy lata, był natomiast Sikorski. I dostał za swoje. Ale mamy nadzieję, że następcę Kumocha wybierze starannie.

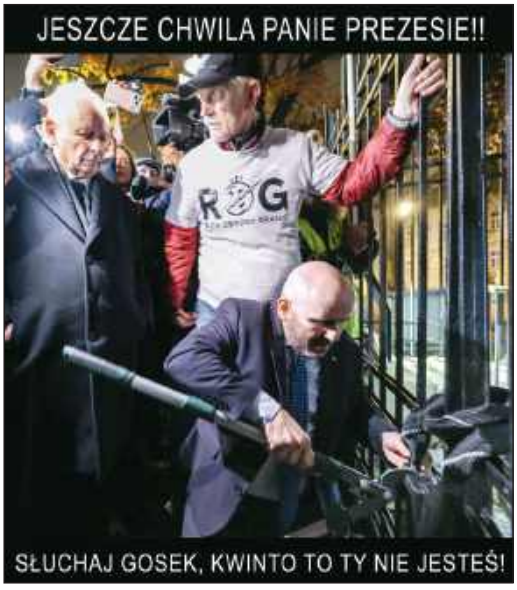
Attaché



11 listopada 1918 r. marsz. Ferdinand Foch w wagonie w lesie Compiègne podpisał z delegacją Cesarstwa Niemieckiego układ rozejmowy kończący I wojnę światową. W Warszawie tego samego dnia Rada Regencyjna przekazała uwolnionemu z twierdzy w Magdeburgu Józefowi Piłsudskiemu władzę i naczelne dowództwo nad wojskiem.

FOT. WIKIPEDIA/DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl b1b16130d5







PENETRACJE

OLGA TOKARCZUK,
PISARKA

zwierciadło

Nie jestem już w stanie pisać dużych, skomplikowanych, wielowątkowych powieści. Ma to zwyczajnie związek z biologią – ciało nie jest już zdolne do wielogodzinnego, wielodniowego siedzenia i patrzenia w ekran, a umysł łatwiej się dekoncentruje i gubi w detalach. Pisanie zawsze było dla mnie ciężką pracą i maksymalnym skupieniem – nie dam już rady. Podchodzę do tego bardzo racjonalnie i spokojnie – każda powieść była dla mnie ogromnym wyzwaniem: intelektualnym, emocjonalnym, ale też fizycznym. Przychodzi więc taki czas, kiedy te zasoby się wyczerpują. Ale nie zamierzam skończyć pisania w ogóle. Z pewnością będę pisała opowiadania, mniejsze formy, eseje.

JULIUSZ GOJŁO,
DYPLOMATA, BYŁY AMBASADOR W IRANIE

RES HUMANA

Miesiące debaty o Ormuzie przybliżyły strony do wspólnego zrozumienia mechaniki problemu, nie do jego rozwiązania. Cieśnina, która miała być narzędziem irańskiego nacisku na resztę świata, stała się miejscem, w którym każda ze stron – Iran, Stany Zjednoczone, Oman i państwa regionu – odkrywa granice własnego wpływu. To najlepiej pokazuje, gdzie faktycznie rozstrzyga się władza nad Ormuzem. Nie w tekście Konwencji Narodów Zjednoczonych o prawie morza, lecz w codziennej decyzji armatora, ubezpieczyciela i kapitana, którą trasę uznają za bezpieczną. Tytuł prawny do kontroli cieśniny pozostaje sporny od dekad i tak będzie zapewne w przyszłości. Zdolność do jej faktycznego narzucenia i sprawowania – już nie.

WALDEMAR OCHODEK,
GOSPODARZ TRZECH BACÓWEK PTTK W BIESZCZADACH

na szczycie

W tym roku dużym problemem jest zdecydowany spadek w ruchu turystycznym. Na Rawkach mieliśmy ponad 40 nocy bez nocujących gości, w Jaworcu rezerwacje spadły o 20 i kilka procent. (…) W czerwcu wiele rezerwacji zostało anulowanych przez strach przed spotkaniem niedźwiedzia. Mówimy o skali kilkunastu procent rezerwacji. Do tego praktycznie każdy turysta zagadujący w okienku o nocleg dopytuje o niedźwiedzie. Zanotowaliśmy wzrost sprzedaży dzwoneczków i innych środków zapobiegawczych. Niedźwiedzie zawsze były bardzo aktywne. Realne incydenty, bo wiele jest informacji zwyczajnie nieprawdziwych, były związane raczej z uprawianiem zbieractwa, a nie turystyką pieszą.

ANJA RUBIK,
TOP MODELKA, ZAŁOŻYCIELKA FUNDACJI SEXEDPL

Twój STYL

Chciałam, żeby SEXEDPL oferował konkretne rozwiązania. Jeżeli widzimy problem, analizujemy go, tworzymy kampanię społeczną, ale równolegle pracujemy nad rozwiązaniami, które mogą coś zmienić. To nasz znak rozpoznawczy. Dlatego gdy podjęliśmy temat przemocy, od razu uruchomiliśmy też Antyprzemocową Linię Pomocową. Pod numerem 720 720 020 codziennie od godz. 9 rano do 11 w nocy czekają specjaliści i specjalistki, którzy udzielają wsparcia.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl b1b16130d5

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

BEZAHODNIMAIDU

ORUNARZUMOIPZECY

BOATMUIYKSĘCILI

BEZ ZACHODU NIE MA MIODU, FORTUNA ROZUMOWI PRZECZY, BOGATEMU I BYK SIĘ OCIELI



Aby język giętki...

PROF. KRZYSZTOF POMIAN
O PAŹDZIERNIKU '56

Największy ruch społeczny, jaki zdarzył się w Polsce do powstania Solidarności. Kluczowa data dla kilku pokoleń.

LECH WAŁĘSA DO DONALDA TUSKA

Nie mamy wyboru, Ojczyzna w potrzebie. Staję z Panem w pierwszym szeregu niezależnie od okoliczności.

ROMAN GIERTYCH O KAROLU NAWROCKIM

W moim świecie pan Nawrocki jest uważany za alfonsa dostarczającego dziewczyny Niemcom.

DAWID OGRODNIK O MORALNOŚCI

Jest jak mięsień. Jeśli jej nie ćwiczysz, padasz na pysk przed pokusami.

PROF. ANDRZEJ WOJTYNA
O ADAMIE GLAPIŃSKIM

Polskiej gospodarki i polskiego społeczeństwa nie stać na dokończenie kadencji przez obecnego prezesa NBP.

MAJA OSTASZEWSKA O ROZCZAROWANIACH

Im jestem starsza, tym mniej mam cierpliwości do bylejakości.

MARYLA RODOWICZ
O PRZYSZŁOŚCI

U mnie nie ma etapu „już wystarczy".

KUBA WOJEWÓDZKI O CELIBACIE

Kiedyś przeczytałem, że celibat w zakonie krzyżackim to tradycja przechodząca z ojca na syna.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl b1b16130d5

MAU — Magdalena Rytel-Wierzbicka



Kryjówka

Głównymi bohaterami obrazów Magdaleny Rytel-Wierzbickiej są koty. Obdarzone ludzkimi cechami, figlarne, zamyślone, tajemnicze. Artystka tworzy barwny, pełen humoru świat, w którym codzienne sytuacje nabierają baśniowego charakteru. Pod lekką formą kryją się subtelne refleksje, pozostawiające odbiorcy przestrzeń do własnych interpretacji. Magdalena Rytel-Wierzbicka jest absolwentką Liceum Plastycznego im. Wojciecha Gersona w Warszawie oraz Europejskiej Akademii Sztuk, gdzie w 2001 r. uzyskała dyplom z wyróżnieniem w pracowni projektowania graficznego.

Galeria Sztuki STALOWA
Warszawa, ul. Stalowa 26
do 25 listopada



Tęsknota za słońcem



Zachód słońca



Szósta kawa

eprasa.pl b1b16130d5

STODOŁA

kabaret hrAbi

& Wojtek Kamiński

BYĆ FACETEM



11 LISTOPADA

Klub Stodoła, Warszawa

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl b1b16130d5

XXXIV TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM ARKADY KUBICKIEGO



ORGANIZATOR

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

PARTNER

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

historiaikultura.pl

26-29 listopada 2026

32 EDYCJA NAGRODY KLIO



OGŁOSZENIE LAUREATÓW 32. EDYCJI NAGRODY KLIO 26 LISTOPADA 2026

XXXIV TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO

ORGANIZATOR

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

MECENAS NAGRODY KLIO

STOWARZYSZENIE AUTORÓW I WYDAWCÓW COPYRIGHT POLSKA

eprasa.pl b1b16130d5